PANI



NUMER GWIAZDKOWY

Nr. 12 GRUDZIEŃ. CENA ZŁ 6.–



CUKIERNIA

ZIEMIAŃSKA

WARSZAWA • MAZOWIECKA 12


T. GRONOWSKI 1923
PLA KAT



Wielki wybór Luksusowej

PERFUMERJI

L. SŁUŻEWSKA

WARSZAWA BRACKA 23.



Maison Gustawa

KRUCZA Nr. 36. TEL. 507-68

NAJWYKWINTNIEJSZE KAPELUSZE.
NAJŚWIEŻSZE MODELE PARYSKIE.
ORYGINALNE CZAPECZKI PARYSKIE DO FUTER I STROJÓW WIECZOROWYCH.



Magazyn wykwintnego obuwia

p. f. LEON

Centrala: NOWY ŚWIAT 42

Filja: WIERZBOWA 5. Tel. 171-01



MAGAZYNY OBUWIA

W WARSZAWIE: MARSZAŁKOWSKA 130
WIERZBOWA 9

W ŁODZI: PIOTRKOWSKA 53



Zamiast kwiatów, które zaraz zwiędną, zamiast odwiecznych cukierków

Tel. 224-00 **Mme HENRIETTE** Tel. 224-00

WARSZAWA, MAZOWIECKA 6

przygotowała na podarki gwiazdkowe artystyczne lalki, poduszki, makaty, szale, torebki, puderniczki i in. drobiazgi. Dział ten pozostaje pod artystycznym kierunkiem p. Ellen Bychowskiej.


CARTIER-BRESSON
FILS & COTONS
"A LA CROIX"
NUANCES
SOLIDES


CB
PARIS


COCOA
FINEST AROMATIC
SIBUNION LONDON
TEA TEA
FINEST
SIBUNION LONDON
PURE
COFFEE



DELAGE
30 HP. 6 Cylindres
11 HP. 4 Cylindres
140 CHAMPS-ELYSÉES, PARIS.

Rapide et Silencieuse, Elle passe!
C'est une "DELAGE"

Jeneralne Przedstawicielstwo na Rzeczpospolitą Polską:

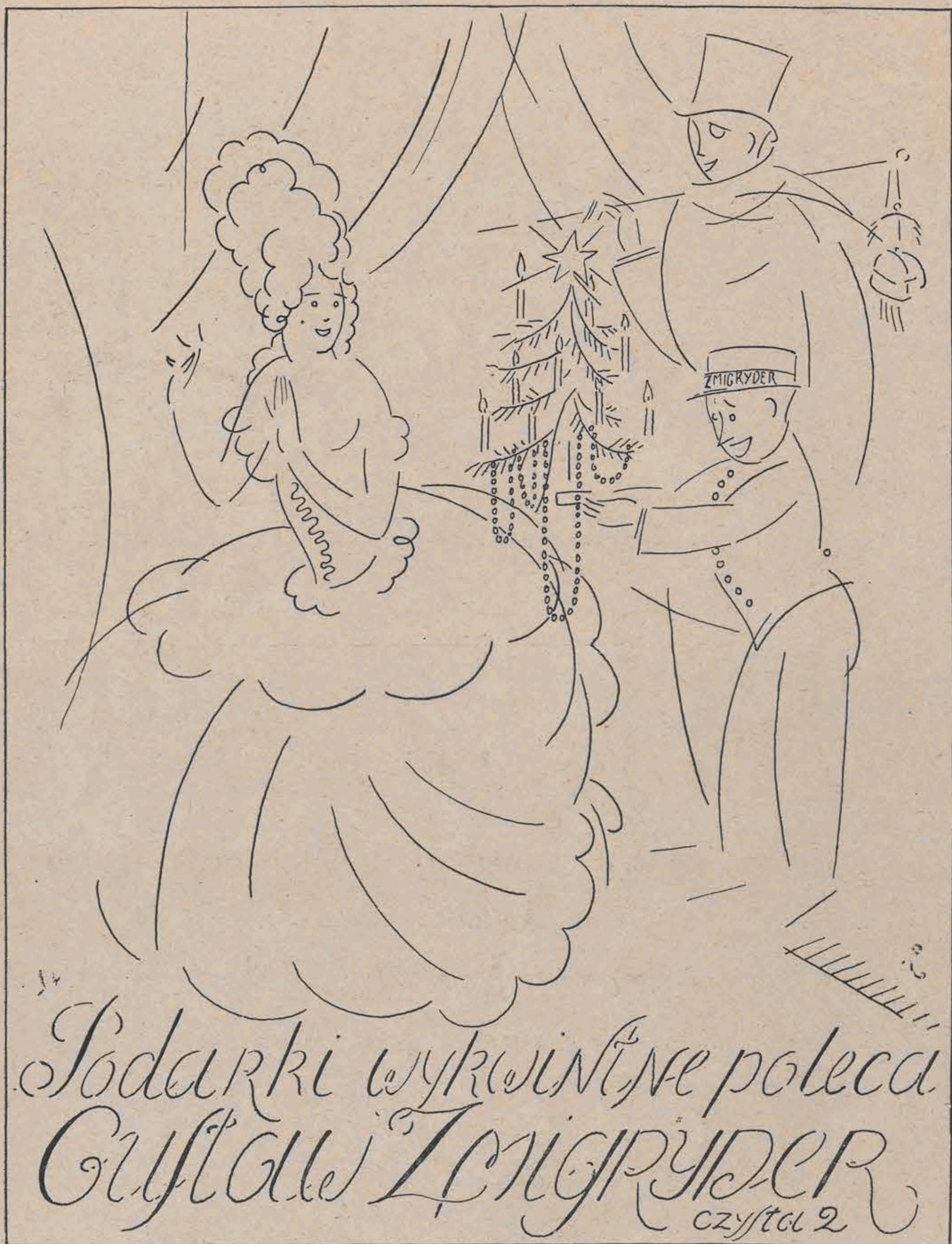
ZACHODNIE TOWARZYSTWO DLA HANDLU I PRZEMYSŁU SPÓŁKA AKCYJNA

Salon Wystawowy: Senatorska 26. Tel. 33-32. — Biuro sprzedaży: Senatorska 10. Tel. 290-91


Szampańskie
LOUIS DE
BARY
Reims


UNDERWOOD

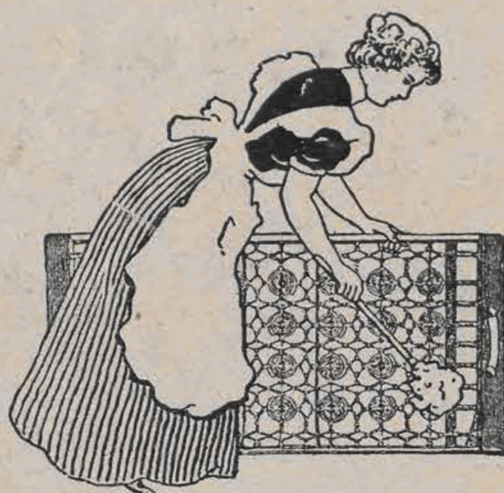



ŻMIGRYDER
Podarki wykwintne poleca
Gustaw Żmigryder
czysta 2



APARATY I LAMPKI WYROBU WŁASNEGO ORAZ FIRM: MARCONI, STERLING, S. F. R.

SPRZEDAŻ DETALICZNA W FIRMIE „KOMISPOL", KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 16.



MATERACE SPRĘŻYNOWE
KNIPPENBERGA

ANI KURZU, ANI MOLI, ANI ROBACTWA
HYGIENICZNE, ELASTYCZNE, TRWAŁE

Żądać we wszystkich magazynach

FABRYKA: OKOPOWA Nr. 14, TELEFON 290-94.

CRÊME DE BEAUTÉ
LIBERTI



NAJSKUTECZNIEJSZY ŚRODEK UDELIKATNIAJĄCY. MATUJE I WYBIELA CERĘ, USUWA ZMARSZCZKI, CZYNI SKÓRĘ RĄK AKSAMITNĄ.

Sprzedaż we wszyst. aptekach, drogerjach i perfumerjach.

SKŁAD FABRYCZNY:

Warszawa, Marszałkowska 62. Tel. 224-39.



MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ
„MICHALINA"
Elektoralna №7.

WYTWORNA
BIELIZNA
DAMSKA
SUKNIE
BLUZKI
TRYKOTAŻE

TELEFON 189-78.

NA ŚWIĘTA! *NA ŚWIĘTA!*

CUKIERNIA
K. *WIŚNIEWSKI*

MARSZAŁKOWSKA RÓG ŻÓRAWIEJ

Po gruntownem odnowieniu i rzęsistem oświetleniu poleca swoje wyroby znane ze swej dobroci.

Kalia

PERFUM
MYDŁO
PUDER
LOTION

J. & S. STEMPNIEWICZ
PERFUMY i KOSMETYKA · POZNAŃ

ODDZIAŁY:
WARSZAWA KS. SKORUPKI 8. — KRAKÓW RYNEK GŁÓWNY 46. — RADOM PIASKI 12.

FUTRA
K. STASZEWSKI
K. MASŁOWSKI
KRUCZA 26
PRZY HOŻEJ.
TEL. 223-70

Po cenach hurtowych w detalu
nabywać można, oszczędzać dużo
WYROBY
TRYKOTAŻOWE i POŃCZOSZNICZE
w wielkim wyborze jako to:
SWETRY, KOSTJUMY, KAMIZELKI, ŻAKIETY, POŃCZOCHY JEDWABNE, FIL D'ECOSSE, FLOHR, ORAZ UBRANKA I SUKIENKI DZIECINNE
w znanej firmie
NISENSZAL i GRÜNSTEIN
W WARSZAWIE, PRZY UL. BIELAŃSKIEJ 5. TEL 146-09.
Fabryczny skład wyrobów trykotowych firmy „Nigr".



BEZZAWODNE
FARBOWANIE
WŁOSÓW
NA WSZYSTKIE KOLORY
„HENNĄ L'OREAL"
TYLKO W FIRMIE
BOLESŁAW *MAZURKIEWICZ*
NOWY-ŚWIAT 40 (GDZIE KINO „PAN"). TEL. 233-60

K. Brokowski
KREDYTOWA 8



W DUŻYM WYBORZE

Suknie,
Kostjumy.
Okrycia.



WYKWINTNE TRYKOTAŻE



POŃCZOCHY

Wydawnictwa Gwiazdkowe

GEBETHNERA I WOLFFA

(WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE)

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

KSIĄŻKI OBRAZKOWE:

Dzieci i rzeczy 2.55
Kot w butach 3 15
Nasze kochane zwierzątka 2.55
Podróże Guliwera 3.15
Śliczna książeczka 6.30

Jak się dzieci bawiły. Autolitografje barwne Marji Werten. Wierszyki Janiny Mańkowskiej 2.65

KSIĄŻKI DLA MŁODSZYCH DZIECI:

Andersen H Baśnie, opracowane przez C. Niewiadomską Z 12 rys. W. Szyndlera. Wyd. 6 . . . . karton . . 6.50
Homolacsowa M. Kudełek na wsi. Opowieść dla małych dzieci, z barwnemi ilustracjami . . . . karton . . 8.40
Konopnicka M. Na jagody. Książeczka leśna. Z licznemi ilustracjami w tekście . . . . karton . . 4.—
Okołowiczówna St. Robinsonek i inne powiastki dla młodszych dzieci . . . . karton . . 2.30
Rogoszówna Z. Dzieci pana majstra. Opowieść fantastyczna wierszowana żartobliwie. Dla dzieci do lat 10. Z 52 rys. czarnemi i 3 kolorowemi K. Mackiewicza . . karton . 4.20
— Piosenki dziecięce. Muzykę na tle motywów ludowych napisał St. Colonna Walewski. Graficznie ozdobił Bartłomiejczyk. Nuty napisał A. Kraiński . . . . . .
Urbanowska Z. Złoty pierścień. Opowieść dla małych dzieci. Z ilustr. A. Norblina . . . . karton . . 2.40
Zaleska J. M Bajeczki prawdziwe, podług Zuzanny Kornas. Z 6 ilustr . . . . karton . . 2.40

KSIĄŻKI DLA STARSZYCH DZIECI I MŁODZIEŻY:

Anczyc Wł. Duch puszczy. Opowiadanie z borów amerykańskich według d-ra Birda. Z 6 rys. St. Sawiczewskiego. Wydanie 8 . . . . karton . . 6.—
— Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej Z 8 obrazkami rys. W. Gersona . . . . karton . . 5.50
— Przypadki Robinsona Kruzoe. Z 10 rys. i licznemi drzeworytami w tekście Wyd. 13 . . . karton . . 7 —
Barszczewski St. W 8 dni dokoła świata Powieść z niedalekiej przyszłości dla młodzieży. Z 10 ilustr i okładką Z. Grabowskiego . . . . brosz. . . 3.—
karton . . 4.20
Chodźko Ign. Pamiętniki kwestarza. Z 8 rys. E. M Andriollego. Wyd. skrócone w oprac J. Grabowskiego . . brosz. . . 5.40
karton . . 6.70
Gerson-Dąbrowska M. Wielcy artyści. Ich życie i dzieła. Z 90 ilustr. w tekście Wyd. 2 (w druku) . . . . .
Gomulicki W. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Z ilustr. K. Górskiego. Wyd. 4 . . . . karton . . 5.—
Grabowski J. Jak Tomek Kowalczyk do nieba się dostał. Z 20 rys. W. Szyndlera . . . . karton . . 4 20
— Wicek Swierszczyk i Karaluch Smalec Z 15 rysunkami W. Szyndlera . . . . karton . . 3 40
Grimm A. Z. Powieści z tysiąca i jednej nocy dla młodzieży. Z 6 ryc. . . . . karton . .
Mossoczowa M. Za tysiąc lat. Powieść fantastyczna. Z 15 rys. W. Szyndlera . . . . karton . . 4 20
Reid-Mayne kap. Dolina bez wyjścia. Przygody podróżników w górach Himalajach Przełożyła z angielskiego M. J. Zaleska. Z 11 ryc. . . . . karton . . 5 60

Stevenson R. Skarby na wyspie. Powieść dla młodzieży. Przetłumaczył W. P. Z 6 ryc. St Sawiczewskiego. Wyd. 2 karton . . 6 —
Umiński Wł. Wybór powieści dla młodzieży z portretem autora:
— Tom XII — W krainie wschodzącego słońca. Z 6 ryc. Biedrzyckiego . . . . 5 —
— Tom XIII — Biały mandaryn. Z 6 ilustr. Biedrzyckiego karton . . 6 —
— Tom XIV — XV — W głębinach oceanu. Z ilustr. Hładkiego . . . . karton . . 8.—
Zaleska J. M. Mieszkaniec puszczy. Powieść Coopera. Dla młodzieży oprac. Z 5 rys. P. Jankowskiego. Wyd. 6 karton . . 7.—
— Młody wygnaniec. Przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich. Opracowała według R. Rotha Z 8 rys St. Wolskiego . . . . karton . . 4.20

KSIĄŻKI DLA DOROSŁYCH:

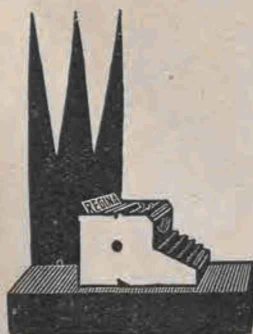
Askenazy Sz. Gdańsk a Polska Wyd. nowe z 62 ilustracjami brosz . . 7.50
opr. płóc. . . 12.—
Asnyk Adam (El... y) — Wybór poezyj. Wyd. 3 uzupełn. (Bibl. minjaturowa) . . . . 3.—
opr. w półsk. . . 7.50
Dębicki T. Z dziennika marynarza na pokładzie „Lwowa" z Gdańska do Rio de Janeiro i z powrotem (w druku) .
Goethe J. W. Faust. tragedji część I. Przełożył L. Wachholz Wstępem poprzedził S. Wukadinowic, prof. germanistyki w Uniw. Jagiel. (Bibl. min) 2.50
opr. w półsk . . 7.50
Grąbczewski Br. gen. Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji środkowej. Z 64 ilustr. i mapą (Podróże gen. Grąbczewskiego, tom I) . . . . 15.—
w oprawie . . 19.—
— Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus (Podróże gen. Grąbczewskiego, tom II) Z 82 ilustracjami i mapą . . . . 12 —
Konopnicka M Wybór poezyj. Wyd. 5 z portretem autorki. Bibl minjaturowa) 2.50
w oprawie . . 5 60
Oppman Art. (Or-Ot). Kronika mieszczańska. Imć Panów Barwinków, kupców krakowskich peregrynacya do Ziemie Świętej roku od przyścia na świat Zbawiciela 1584. Wyd. ozdobne w stylu druków XVI w 1.25
na papierze czerpanym . . 4.20
— Kronika mieszczańska. O Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim, o pięknej Zofce, córze Gąskowej i o Piórkosie z Francyej, historya wielce żałosna Lata Pańskiego 1574. Wydanie ozdobne w stylu druków XVI wieku . . . 1 25
na papierze czerpanym . . 4 20
Prus B. Faraon. Wyd. luksusowe in F-o, z 10 planszami dwubarwnemi, według kompozycji J. Holewińskiego. W opr. 50.—
Tokarz W. Sprzysiężenie Wysockiego i Noc listopadowa. Z licznemi rys. (w druku) . . . .
Wieś i miasteczko. Materjały do architektury polskiej. Tom I. w oprawie . . 20.—
na lepszym papierze w oprawie . . 27.—
Zaleski J. B. Wybór poezyj. Ułożył J Kallenbach Z portretem poety. (Bibl. min.) . . . . . w oprawie . . 6.50
Zan T. Triolety i wiersze miłosne. Wydał i przedmową poprzedził H. Mościcki. Wydanie wytworne na papierze czerpanym. (Tekst w ramkach złoconych rys. Brzozowskiego 12.50

KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA W OPRAWACH OD SKROMNYCH DO NAJWYTWORNIEJSZYCH.

Katalog nakładowy i katalog gwiazdkowy wysyła się na żądanie.



HENRYK ŻAK POZNAŃ



BIURO TECHNICZNE

„Grafika"

Albina Pieczarskiego

W WARSZAWIE

UL. SIENKIEWICZA 14. TEL. 140-09

(sklep frontowy)

POLECA

MASZYNY DO PISANIA „REGINA" NAJNOWSZEJ KONSTRUKCJI BIUROWE I PODRÓŻNE — NAJLEPSZE, NAJTRWALSZE, NAJTAŃSZE, NA DOGODNYCH WARUNKACH NUMERATORY RĘCZNE I SZAFKOWE.

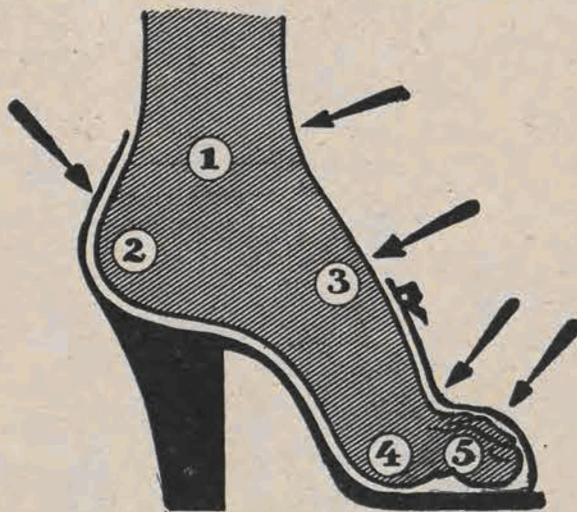
Która z Pań chce mieć białą delikatną rękę niech używa tylko

„KRASNA CRÈME"

PRZECIW CZERWONOŚCI, SZORSTKOŚCI I PĘKANIU SKÓRY RĄK

Żądać wszędzie.

STOPA WYDRĄŻONA



Główne dolegliwości:

1) Skłonność do wykręcania nogi w kostce, 2) odciski na pięcie, 3) bóle w podbiciu i sklepieniu stopy, 4) odciski na kłębach wszystkich palców, 5) wykrzywione palce, odciski.

NAJLEPSZY PODARUNEK NA GWIAZDKĘ — TO ZDROWIE I WYGODA.

Bowiem tylko zdrowie, możność swobodnego poruszania się dają Pani ów szyk i elegancję, opartą na dobrem samopoczuciu, których zastąpić nie można żadnemi sztucznemi środkami.

A czyż Pani może być zupełnie zdrowa i czuć się dobrze, jeżeli stopa jej w obuwiu na wysokim obcasie wygina się ku górze i, tworząc tym sposobem *„stopę wydrążoną"*, pokrywa się odciskami i nagniotkami i powoduje wykręcenie nogi w kostce.

Oczywiście niełatwo jest stąpać lekko i elastycznie na czubkach palców zbolałych od mnóstwa odcisków — niełatwo uśmiechać się wdzięcznie, jeżeli całą nogę przeszywają bóle reumatyczne, drętwieją łydki i bolą ścięgna.

A JEDNAK JEST RADA DLA PANI — otóż należy sobie kupić

„PNEUMETTE"

patentowaną wkładkę do obuwia, która za pomocą swojej miękkiej poduszeczki powietrznej daje oparcie wzniesionemu sklepieniu i podtrzymuje je łagodnie i bez bólu.

Jeżeli Pani chce przyjemnie przepędzić święta, uwolnić się od dokuczliwych bólów reumatycznych, odcisków i nagniotków powinna nabyć tę doskonałą wkładkę do obuwia.

„PNEUMETTE" nosi się zupełnie niedostrzegalnie i nie wymaga zwiększenia numeru obuwia, dzięki czemu noga Pani, zyskując na elegancji i lekkości, nie traci zupełnie przyrodzonego wytwornego kształtu.

Ten niezrównany przybór medyczno-ortopedyczny nabyć można:

W Warszawie — w firmie Centrala Handlowa Pow. Warszawskiego S. A., Długa 50. — W firmie „F. Grędziński i S-ka", Marszałkowska 130.

W Łodzi: „F. Grędziński i S-ka, Piotrkowska 53. — W Zgierzu: R. Jungto, Skład Apteczny. — W Krakowie: „Drobner", Sp. Akc., Plac Szczepański. — W Bielsku: Filip Flamm, Jagiellońska 9. — W Katowicach: J. Kochman, ul. 3 Maja 6. — W Bydgoszczy: A. Przybylski, Gdańska 15. — W Poznaniu: Organizacja Obywateli Pracy, Nowa 10. — W Toruniu, W. Orczykowski, Kopernika 30.

Z wszelkiemi piśmiennemi zapytaniami zwracać się należy do: CENTRALI HANDLOWEJ POW. WARSZAWSKIEGO, S. A. Oddział „PNEUMETTE", Warszawa, Długa 50 (Pasaż Simonsa).

Żądajcie naszego bezpłatnego ilustrowanego prospektu !!!



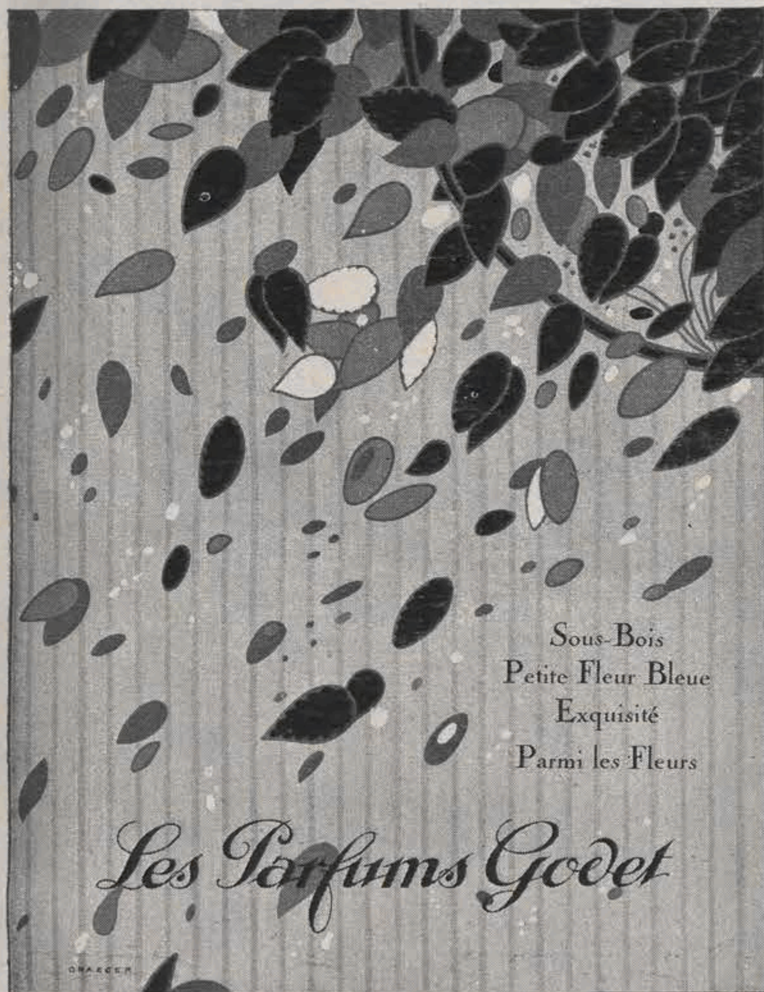
NOWOŚCI
SEZONOWE

KONOPKA & REDULSKI

MARSZAŁKOWSKA 130 TEL. 50-01

WEŁNY JEDWABIE
WELWETY PLUSZE

MATERJAŁY NA UBIORY MĘSKIE



POLECAMY RÓWNIEŻ

WYTWORNY PUDER

WE WSZYSTKICH
ZAPACHACH

DO NABYCIA
TYLKO W PIERWSZORZĘDNYCH
PERFUMERJACH



ZAKOPANE KRUPÓWKI

NA

UPOMINKI GWIAZDKOWE

SPORT—PODRÓŻ

WYKWINTNA GALANTERJA

GRY TOWARZYSKIE

MAH JONGG

modna gra staro-chińska



PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE
I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 12 GRUDZIEŃ 1924 ROK III

TREŚĆ:

C. d. na odwrocie

„RADZĘ PRZECZYTAĆ" *Billy.*

NOTATNIK „PANI": Literatura przez *J. Brodzkiego.* Sztuka przez *W. Huzarskiego.* Teatr przez *J. Lechonia* i *C. Jellentę.* Muzyka przez *C. Jellentę.*

WKŁADKI KOLOROWE:

Odwieczna Arlekinada *T. Gronowskiego.*

Egzotyka *Al. Rzewuskiego.*

Wigilja „Intime" *Zygm. Kamińskiego.*

Helena z Radziwiłłów Hr. Józefowa Potocka *z portretu Laszlo.*

OKŁADKA: *Tadeusza Gronowskiego.*

NUMER ZDOBILI: *Zofja Stryjeńska, Irena Pokrzywnicka, Wacław Borowski, Edmund Bartłomiejczyk, Tad. Gronowski, Jerzy Zaruba.*

REDAKTOR NACZELNY: *Marjan Dąbrowski.*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Gustaw Żmigryder.*



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowogrodzka 26, m. 5. tel.: 234-65 i 70-21.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 8292.

ODDZIAŁY REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

we Lwowie, J. Kuczabiński, ul. Turecka 2; wZakopanem, J. Mieczysławski, willa „Orawa"; zastępstwo na Stany Zjednoczone A. P., The Polish Importing Co. New York, 16 St. Marks Place i Księgarnia Ludowa, 956 Milwauke Avenue, Chicago.

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Pani" (Sp. z o. odp.).

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 12 GRUDZIEŃ 1924 ROK III



GWIAZDKA „PANI"
PRZEZ
WACŁAWA BOROWSKIEGO



* * *

Dzieciątko boże, leżące na sianie!
Pusto jest wokół, ziemia jest zmarznięta,
Nikt nie przybieżał na Twe powitanie,
Napróżno słodkie wyciągasz rączęta.

Śnieg tylko w białe kwiaty stroi drzewa,
Siwy mróz tylko śliczne tka koronki,
Wiatr, wierny służka, pieśni Tobie śpiewa,
I gwiazdy dzwonią tak, jak złote dzwonki.

Ludzie nie przyszli, bowiem pastuszkowie,
Którym ligawka pastusza obrzydła,
Na sejmach radzą pilnie, a królowie
Nie mają złota, myrrhy i kadzidła.

A Ty wciąż wracasz, piękny i radosny,
Z dobrą nowiną na nasz szlak tułaczy,
Posiejesz kwiaty, święty zwiastun wiosny;
Gdy rozpacz wzejdzie, — umierasz z rozpaczy.

Ale nie będziesz samotna, Dziecino,
Bo żeś jest Miłość, co nad śmiercią władnie,
Więc wielka miłość północną godziną
Przyjdzie do Ciebie i do stóp Ci padnie.

Przyjdą do Ciebie, o Dziecino, w gości
Daleką polską drogą obłąkaną
Ci, których za to, że są sercem prości,
Świat się wciąż lęka, w niebie zapomniano.

Duchów gromadka Tobie się pokłoni,
Co w miłość wierzy i wciąż w słońce leci,
Wiecznie za dobrą nowiną w pogoni:
Malarze, grajki i my — wierszokleci.

Ze strachem spojrzą aniołowie boży,
Zlęknie się słodko Twoja Matka święta,
Kiedy huf taki krzykiem noc zatrwoży,
Tylko Ty z śmiechem wyciągniesz rączęta.

Ach, co to będzie! Grajek zadmie w flety,
Malarz osiołka wymaluje z wołem,
A najweselsze z wszystkich, wierszoklety
Otoczą Ciebie roześmianem kołem.

Ach, co to będzie! Nim księżyc zagaśnie,
Nim słońce złote promienie rozplecie,
Takie Ci cudne opowiemy baśnie,
Jakich nikt nigdy nie słyszał na świecie.

Stajenka śmiechem zahuczy radosna,
Anioły skrzydła z radości rozwiną,
Zakwitnie ziemia, myśląc, że już wiosna,
A Ty, szczęśliwa będziesz, o Dziecino!

A potem biedna, jako my nędzarze,
Każesz gwiazd narwać na niebieskiem polu,
I dasz każdemu śliczną gwiazdkę w darze,
Taką jak serce: złotą, pełną bolu...

KORNEL MAKUSZYŃSKI





LULAJŻE JEZUNIU...
(KOLĘDA)

Andante (♩ = 76) — dolce

opracował prof. Henryk Melcer

Andante — pp — con pedale — simile — ppp

Lu-laj-że Je-zu-niu mo-ja pe-reł-ko, lu-laj-że Je-zu-niu mo-je pieś-ci-deł-ko. Lu-laj-że Je-zu-niu lu-laj-że lu-laj, A Ty Go Ma-tu-lu w płaczu u-tu-laj. Lu-laj-że Je-zu-niu lu-laj-że lu-laj, A Ty Go Ma-tu-lu



u-pła-ka-nu u-tu-la. Lu-laj-że przy-jem-na oczkom Gwia-zdecz-ko.

sempre pp

cresc. mf

Lu-laj naj-ślicz-niej-sze świa-ta Sło-neczko. Dam ja ma-leń-kie-mu

piękne ja-błuszko Ma-tu-ni ko-cha-nej Dam Mu ser-du-szko,

Diminuendo

Dam ja ma-leń-kie-mu piękne ja-błuszko Ma-tu-ni ko-cha-nej



pp

dam Mu ser-dusz-ko. Cyt, cyt, cyt! za-sy-pia ma-łe Dzie-ciąt-ko, patrz, jak to

pp

śpi, ni-by ma-łe kur-cząt-ko, Cyt, cyt, cyt! wszyscy się stąd za-bie-raj-cie,

dim. sempre diminuendo

Mo-je-go Dzie-ciąt-ka nie prze-bu-dzaj-cie, Cyt, cyt, cyt! wszyscy się stąd za-bie-

dim. sempre diminuendo

poco a poco rallentando ppp

raj-cie, Mo-je-go Dzie-ciąt-ka nie prze-bu-dzaj-cie

8

poco a poco rallentando ppp pppp



Rys. Zofji Stryjeńskiej

JEST TU PRZED NAMI...

Jest tu przed nami wyrysowana podłoga w kratkę, widzimy trochę drewnianego pułapu, z boku białe okno, za nim czarna noc, w głębi stoi drzewko na okrągłym stole, wysoko płonie lichtarz.

Może kto nie wie?!

Wiadomo, wiadomo, co się tu dzieje. Tu się dzieje nasze Boże Narodzenie, znane, kochane, na pamięć umiane, nibyto oklepane, a przecie zawsze nowe, choć z roku na rok jesteśmy starsi i mądrzejsi.

Wesoło płonie lichtarz, panienka w sukniach po= włóczystych podaje opłatki, srogi wielmoża przyniósł pęczek kwiatów, w głębi się cieszy zawsze potrzebny lud.

We Francji będzie inaczej, pognie się to wszystko zaraz w jakieś „Ludwiki" i inne style, których się uczy cały świat. A w Niemczech gotyk, zapinany na błyszczące guziki sterczeć będzie zaraz ze wszystkie= go, a w Angji ciepły fotel przy kominku stanie na

pierwszem miejscu, a we Włoszech gałęziami fjołków i mimozy może się na ten dzień przybierają, a w Hiszpanji, — oprócz Gibraltaru, — może tylko wołają „sodrillas, sodrillas", jeżeli takie słowo istnieje,—i nic już robić nie potrzebują, bo już raz nazawsze wszystko mają.

W nowych krajach napewno na ten dzień dopiero czegoś nowego szukają, gdy tymczasem w Karyntji niema z tem żadnego kłopotu, już dawno rzecz najpotrzebniejsza jest, — bo przecie tam jest kasztanów do jedzenia bez liku.

W górach wylatują ucieszone narody na góry, w dolinach nigdzie nie idą, bo są ciągle u siebie.

Łotysze też coś pewnie wymyślili, — Estończycy też. Ludzie z północy lubią, żeby się w zimie rodziło, — tak długo mają tej zimy, czasu im wtedy zostaje co niemiara!

A południowcom — co! Może wszystko jedno?!

Ale na ten dzień południowcy też starają się bardzo, z pewnością pod rozprażonemi gwiazdami na suchym piasku przychodzi im coś tego dnia do głowy.

A w Ameryce jednej i drugiej, gdzie tyle maszyn, a w Australji, gdzie nikt prawie już nie bywa, tak jest strasznie daleko?

A u narodów, które nie wierzą w to wcale, tylko mają inne wierzenia?

A jeżeli jeszcze dodać do tego wszystkiego Saharę?!

U narodów, u ludzi, u krajów, u ziem, u mórz, u gwiazd?

Jakże ogromny jest ten świat przedziwny!

Połowy tu nie słyszymy z tego, co się dzieje!

Połowy nie widzimy!

Czas nas przenosi, miejsce nas przenosi, — czy mamy choćby tyle sposobności, żeby się sobie jakoś takoś przypatrzeć?

Ale d n i a t e g o patrzymy przed siebie...

W dzień narodzin musimy być razem. Ten srogi pan i panna z warkoczami, ludzie i rzeczy z innych wieków, a także z naszego i Hiszpanin — jeżeli jest słowo „sodrillas" — i Łotysze nad morskim brzegiem rybę łowiący w łapciach, Afganistan i Beludżystan, Duńczycy, Syrdarja i Amurdarja, Gwadalkwiwir i machina Atwooda, Pekin, Tygrys i Eufrat, Indjanie, Korsykanie, Wendetta, Turcy i Bułgarzy, wszystko cośmy czytali, widzieli, nie czytali, Tarzan, Duch Puszczy, Sto lat myśli polskiej, co było i co jest, sklepy, koncerty, fabryka, mechanika, trudne prawa naukowe, i wszyscy mądrzy głowacze...

Pochylmy się razem.

Co słyszymy?

Słyszymy słaby oddech, — jakby ktoś piórkiem gołębia wachlował powietrze.

Co widzimy?

Widzimy w powijakach maleńką kukiełkę.

Dotknijmy.

Pod maluśką piersią bije serce, — jak groszek.

Słyszymy p r z y s z ł e g o c z ł o w i e k a. Eufrat rzucił się w ramiona Gwadalkwiwira, Wisła poleciała płynąć do Afganistanu, moje dzieci łapią się za głowy na widok błyszczącej choinki, można oszaleć z radości — słyszymy przyszłego człowieka.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI



PASTERKA

Mojemu Bratu

Ptaki, niby dzwoneczki, cieszą się kolendą:
Chrystus nam się narodził i nowe dni będą.

Do stajni betleemskiej, aż od brzegów Wisły,
Z ptakami smukłe sarny dziwować się przyszły.

I prawie przyfrunęły z krain cudzoziemskich,
By swe pióra przyrównać do skrzydeł anielskich.

Za niemi, zadyszana rzesza zwierząt, w biegu
I dwa gołębie spadły, jak dwie garście śniegu.

I kwiaty, choć to zima, czas mroźny i cichy
Niosą mirrę, kadzidło i złote kielichy.

Wiatry się, jak psy wierne, pod progiem pokładły,
A ziemia odetchnęła i gwiazdy upadły.

A mały Chrystus, smutny, w drzwi patrzy i czeka,
By pośród witających zobaczyć człowieka.

JERZY LIEBERT

Bliskie, a dalekie



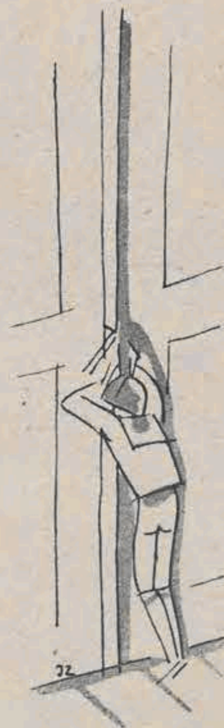
Jeżeli cierpię niekiedy na *„febris sentimentalis"* to dzieje się to właśnie w okresie przedświątecznym, co wraz ze śniegiem budzi wspomnienia dobrych tych czasów, kiedy się to miało lat siedem i oczekiwało z radosnym niepokojem św. Mikołaja.

Dom wtedy pełen był tajemniczych przygotowań, dźwięków, zapachów, pełen tej wymownej krzątaniny, świadczącej, że coś wielkiego miało się stać i że miało się stać niedługo...

Chciałbym znów podkradać się do zamkniętych na dwa spusty drzwi salonu i wciągać przez dziurkę od klucza ten kochany i jedyny, tyle mówiący o bliskiem dla nas dzieci szczęściu, zapach choiny!..

Chciałbym znów, odświętnie ubrany wypatrywać przez zamrożone okno znaku z nieba—pierwszej gwiazdy zwiastującej dobrym ludziom, że czas wieczerzy wigilijnej już nadszedł...

O jakże wielkie wszystko było wtedy i pełne znaczenia!.. I stół z pachnącym sianem pod obrusem, i nakrycie zapasowe dla nieznanego gościa, i opłatki białe i różowe, i dwanaście potraw tradycyjnych..



Nigdy się już potem nie jadło ani takich barszczów czerwonych jak wino, ani takich ryb wyśmienitych i pełnych strasznych ości, ani kompotów tak słodkich, ani onej pszenicy z makiem i miodem!..

I nigdy już potem nie wydawało takich okrzyków radości, jak wtedy, kiedy drzwi salonu otwierały się — bo to niebo otwierało się wtedy!..

Drzewko płonęło, iskrzyło się tysiącem cudów, a dokoła zmaterjalizowane marzenia: koń drewniany i pałasz i bajki o królewnach...

I nigdy już potem nie wyglądało się tak wspaniale jak wtedy, kiedy w ubranku marynarskiem i czapce ułańskiej z pałaszem w ręku na koniu drewnianym hasało się dookoła choinki.

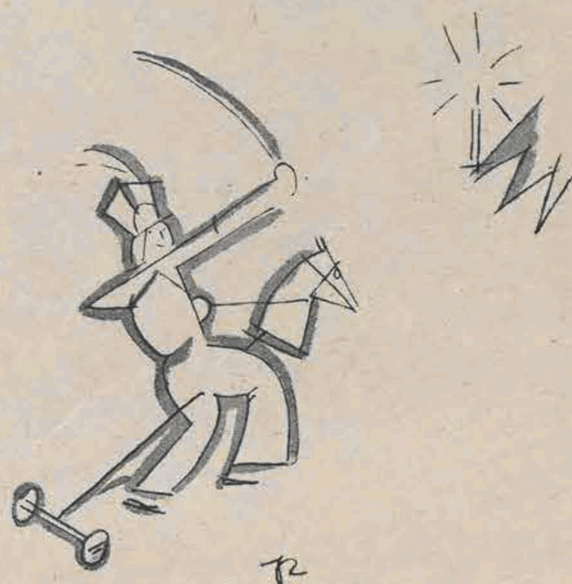
A kiedy potem półprzytomnym ze szczęścia i sennym ze znurzenia słuchało się kolęd o pasterzach aniołach — to jakby obcowało się z nimi... I nigdy już potem gwiazdy nie były bliższe.



Chciałbym też, choć raz jeszcze spędzić *reveillon* paryskie, dać się porwać tej wesołości zagłuszającej wszystko, wesołości, jaką młodzież z całego niemal świata wyładowuje w ten dziwny wieczór, podlany winem i podpalony beztroską...

Stoliki zamawia się zawczasu—całe miasto ucztuje w knajpie.

Któż zliczy ilość gęsi i indyków zjedzonych w parę tych godzin, albo ilość wina wypitego?!.









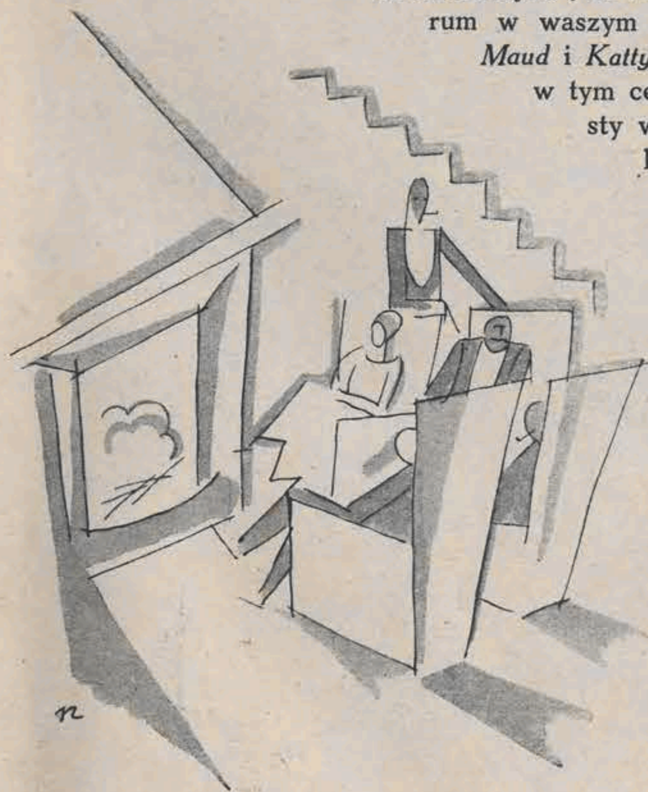
Któż opisze wszystkie te szaleństwa Paryża, przebranego w szatę błazeńską, czyniącego ze starców malców niesfornych, zdolnych do bicia się trzepaczkami i tańczenia jakiegoś dziwnego fandango. I te korowody pijanych, splecionych w jakąś karmanjolę grzechu i wesołości...

I włóczęgę po knajpach z uczepioną u boku jakąś cudną Ninon, biorącą nas najwyraźniej za kogo innego... I królującą nad wszystkiem, niezapomnianą piosenkę paryską...

Jeżeli *réveillon* paryskie jest świętem ulicy—to angielskie *Christmas* jest wyłącznie świętem rodzinnem. Już w przeddzień zawijają do portów okręty niezliczone z najegzotyczniejszych nieraz kolonij pochodzące—to *„Sweet Home"* zwołuje rozproszonych po całej kuli ziemskiej synów do swego ogniska.

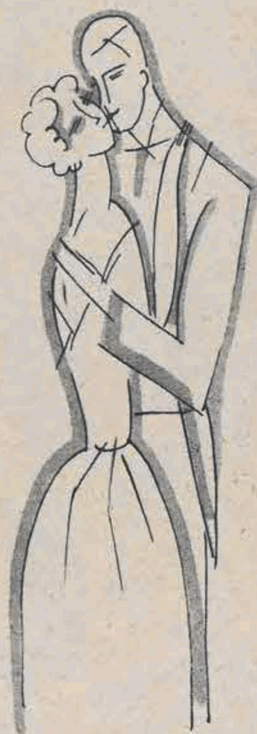


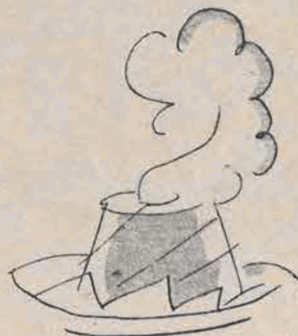
I wiem, że znów jesteście wszyscy razem prawie, że *„around the fire"*, że wesoło jest u was i ciepło, że płonie rum w waszym puddingu i że całujecie słodkie *Maud* i *Katty* pod gałązką jemioły, specjalnie w tym celu zawieszonej... I że nigdy prosty wyraz *„Home"* nie ma więcej uroku, jak wtedy.



Że nie mam lat siedmiu i że nie jestem w Paryżu, ani w Londynie, martwię się zawczasu... Święta warszawskie cechuje bowiem brak poezji, humoru, kina i tramwajów...

Nie wiem doprawdy co będę robić... Chyba pozostaje tylko *Mah-Jong*, ale i to niepewne... *I. Z.*





TRIUMF Sgo MIKOŁAJA.

Z ostatniej wycieczki na ziemię wrócił Święty Mikołaj bardzo smutny.

Gwiazdkowa podróż nie powiodła się zupełnie... Ludzie przyjęli dary Świętego ozięble...

Gorzej! Pozwalali sobie nawet na troszeczkę ironji!

— Jakże tam poszło Staruszku? — zapytał się przy furcie niebieskiej Św. Piotr. — Mina jakoś, widzę, nietęga...?

Święty Mikołaj westchnął ciężko:

— Oj, nietęga, Pietrze, nietęga! Zupełnie mi się ludzie zmienili... Przemądrzałe to wszystko, a zimne, a drwiące... Prezenty moje już nie cieszą... Strój — (prawda, że chodzę w starej kapocie, ale na te ciężkie czasy nie będę przecież zaczepiał Pana Boga o nowy przyodziewek...) — Strój, powiadam Ci, całkiem wyśmieli...

Najgorzej dzieci!

Takie to było dawniej serdeczne, a miłe! Tak się cieszyło z byle drobiazgu! Wyczekiwali pode drzwiami! Śpiewali mi śliczne kolendy... A teraz? — Nic!

Zdziwił się Św. Piotr.

— Nic, powiadasz?

— Nic.

— Jakże to może być?

— Nie wiem.

— Przecież ludziska zawsze lubili prezenty?

— Ano, lubili. A teraz już nie! Przynajmniej moich — nie.

Zadumali się obaj staruszkowie, zafrasowali.

Zapytał po chwili zadumany Św. Piotr:

— A coś im zaniósł, Kochany?

Święty Mikołaj rozłożył ręce.

— To samo, co innych lat... Nawet ci powiem, Pietrze, że się w naszych warsztatach niebieskich grubo poprawiło... Zabawki ładniejsze, nie prowadzimy już tej niemieckiej tandety... Zresztą, odkąd w te sprawy wdała się Matka Boska, takie ślicz-



nie robią u nas rzeczy, że podziw bierze... Wiadomo, niewieści gust delikatniejszy... Więc, uważasz, zaniosłem dzieciakom koniki, żołnierzy, lalki... Jakie lalki, powiadam Ci...

— No, i — ?

— Nic.

— Nie do wiary!

— Poczekaj, jak ci szczegóły opowiem, jeszcze się więcej ździwisz...

— Więc, naprzykład, wchodzę do jakiegoś domu, zacny dom — stukam — otwierają.

— Kto?

— Święty Mikołaj. — Do dzieci.

Proszą wejść.

Wchodzę... Widzę chłopca i dziewczynkę. Jedno może mieć z osiem, drugie z dziesięć latek... śliczne dzieci.

Ano, daję chłopcu bęben — krzywi się.

— Co mi po bębnie — powiada.

Pytam: — Czego chcesz, malcze?

A on: — Myślałem, że mi Radio przyniesiesz...

Dziewczynka wcale się lalką nie ucieszyła.

— Eee — powiada — taka lalka...?

Mówię do małej: — A jakąże chciałabyś mieć laleczkę?

Powiada: — Żeby miała dessous. —

— Jakie znów dessous? —

Mała w śmiech:

— Pewnie, że nie barchanowe, proszę pana...

— A to dopiero nieznośny szkrab!

— Czekaj Święty Pietrze, to dopiero początek.

— No?

— Wchodzę do innego domu, jeden tylko chłopiec. O, mądrala widzę... Żywy wzrok, oczy, jak węgle. Ładny, mówię Ci, aż przyjemność na niego popatrzeć...

Tak mnie ten dzieciak za serce wziął...

Posłuchaj:

Daję malcowi trąbkę.

— Phy powiada, trąbka? Jabym wolał gramofon...

Święty Piotr wziął się za głowę.

— To dopiero!

Tymczasem Święty Mikołaj, widać bardzo rozgoryczony, opowiadał coraz to nowe historje...

— Gdzieindziej, jeszcze gorzej. Jakieś dwie dzierlatki zażądały odemnie, żebym im zrobił... Jazz-band! Słyszałeś Ty kiedy o czemś podobnem?

Święty Piotr zamyślił się.

— Jazz-band...? Nie słyszałem nigdy.

— Ano, właśnie. — U stróża, w tej samej kamienicy, spotkał mnie znów despekt.

Pomyślałem sobie: Tamto były dzieci bogaczy, zepsute przez zbytek... Spróbuję u ludzi niezamożnych... Wpadłem, powiadam Ci, z deszczu pod rynnę! Ledwom wszedł, otoczono mnie kołem. — „Ooo, Święty Mikołaj!" — Widzę, dzieciarni, jak maku. Nic się przynajmniej pod tym względem nie zmieniło. Dobrze. Daję najstarszemu — żołnierzy. A tu nagle Stróż na mnie, słyszę, syczy: — „O, z czem to przychodzą do proletarjackich dzieci... Z żołnierzami! Chytra ta burżuazja, bardzo chytra... Tylko, że my się na to już nie weźmiemy..."

— Tak powiedział?

— Tak powiedział!

— Chyba nie Polak to był? Polacy zawsze lubili wojsko!

— Ale! — Naturalnie, że Polak... Chciałem się z nim wdać w rozmowę, to sklął mnie tak szpetnie, jak tylko stróż w Warszawie potrafi...

— I tak Ci się wszędzie wiodło, Święty Mikołaju?

— Wszędzie...

Święty Mikołaj zaczerwienił się nagle i powiedział półgłosem:

— W jednym tylko domu przyjęli mnie bardzo grzecznie... Ale właśnie wpadłem...

— Jakto?

— Bo to były żydy....

. . . .

Przyszła nowa Gwiazdka. Śnieżna, mroźna, iskrząca.

Pan Bóg zawołał przedtem swojego Drabika i nakazał surowo:

— Tylko w tym roku, mój Kochany, bez szwindlów! Żadnych mi proszę nie robić półtonów, czy ćwierćtonów! Gwiazdka, to Gwiazdka. Zrobisz rzetelny śnieg, duże, widoczne gwiazdy — i żeby mi się to wszystko błyszczało, jak należy!...

Wiadomo było w niebie, że z Panem Bogiem niema żartów. Jak rozkaz, to rozkaz! Więc dekoratornie niebieskie wykonały ściśle polecenie Boże.

Nie żałowano bieli cynkowej, choć to farba droga. Ziemia uczyniła się bielutka. W sprawie niebieskawych, głębokich tonów, które są tu i ówdzie potrzebne, zwłaszcza na brzegach borów, posłano po niebieskiego Fałata.

Ten podmalował śniegi kobaltem, czy czemś takiem — sekret on tylko posiadał!

Wypadło znakomicie.

A gdy nadszedł zmierzch, kiedy już miano zapalać w górze pierwsze gwiazdy, udał się Święty Mikołaj w doroczną wędrówkę, na ziemię.

Niósł tym razem ciężar nieduży:

Samą brzezinę... Samą brzezinę!



I nie wdawał się z ludźmi w długie konwersacje: Wsuwał przez drzwi miotłę, chrząkał znacząco i mówił grubym basem:

— W tym roku rozdaję Wam miotełki brzozowe. Jakby przyszło co do czego, mogą być na przyszłą Gwiazdkę — żelazne!

Dziwna rzecz.

Jakoś nikt nie kpił tym razem ze Świętego Mikołaja. Nietylko dzieci, ale i dorośli przyjmowali te prezenty z pokorą...

I wszyscy spuszczali oczy.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI





KREMOWE RÓŻE

Z CYKLU: DJALOGI PLĄSAJĄCE

DJALOG II-gi

Pokój stołowy w bogatym domu Ryszarstwa. Wieczór wigilijny. Przy stole siedzi mąż i żona, Ryszard i Zuzu; on we fraku, w butonierce goździk, ona w modnej sukni balowej, głęboko dekoltowana.

Bronzowy pająk rzuca z góry rzęsiste światło na olśniewający obrus i rżnięte kryształy.

U drzwi lokaj w liberji.

RYSZARD *(do lokaja)* Czarną kawę i bakalje proszę nam podać w salonie.

LOKAJ *(wychodzi).*

ZUZU: Kiedy mi pokażesz choinkę?

RYSZARD: Zaraz.

ZUZU: Zaczynam być niecierpliwa, jak mała dziewczynka. Już dawno błyszczą gwiazdy na niebie, a ty mi ciągle każesz czekać.

RYSZARD: Najpierw musimy zjeść wilję. Taki porządek. Choinka ze wszystkiem, co się pod nią znajduje, odbiera apetyt.

ZUZU: Zapominasz, Ryszardzie, że to, co się znajduje pod choinką, już otrzymałam od ciebie rano, i teraz, spojrzyj mój drogi, rzuca snopy bezgłośnych iskier z mojego palca.

RYSZARD: Niemniej jednak choinka jest choinką. Kazałem tam przenieść wszystkie kwiaty, jakie otrzymałaś w ciągu dnia. Pełny salon.

ZUZU: I te, które otrzymałam od Feliksa? Dziwne kwiaty. Wyglądają, jak lilje, ale to nie są lilje. Mam wrażenie, że Feliks przysłał mi je cokolwiek złośliwie. Jak gdyby chciał powiedzieć: Wyglądasz na niewinną lilję, ale jesteś...

RYSZARD: ...różą. Istotnie, te dziwne lilje są jakby różami. Posiadają ten sam przepych zmysłowy, co róże.

ZUZU: Masz słuszność. Chociaż są białe, wyglądają na bardziej pąsowe, niż róże, które otrzymałam od Stefana, a te przecież są aż czarne!

RYSZARD: Również przeniesiono je do salonu.

ZUZU: Chce mi się pić, nalej mi jeszcze wina.

RYSZARD *(nalewa wina w przysadzisty kieliszek).*

ZUZU *(umaczala w tym winie swoje śliczne usta).*

RYSZARD: I co jeszcze dostałaś na gwiazdkę?

ZUZU: Wiesz o wszystkiem. Ach, nie! Nie wiesz, co mi przysłała matka z Paryża. Przysłała mi „O miłości" Stendhala w czarującej oprawie zamszowej. A ojciec przysłał mi z Rzymu „Fizjologję małżeństwa" Balzac'a w niebieskawym pergaminie. Musieli się chyba umówić!

RYSZARD: Obydwie te książki popychają kobietę do zdrady. Jedna romantycznie, druga bardziej gnuśnie, a każda niepotrzebnie, bo kobiety dadzą sobie radę i bez książek.

ZUZU: Czy to znaczy, że gdybyś był cenzorem, tobyś je obłożył pieczęcią zakazu?

RYSZARD: Wówczas, moje dziecko, rozchodziłyby się jeszcze szybciej. Zresztą, śliczna Zuzu, niema takiej książki, któraby zdeprawowała kobietę, jak niema takiego dzieła, któreby kobietę uczyniło cnotliwą.

ZUZU: Masz na myśli kobiety doświadczone. Ale te inne, które jeszcze nie przeszły przez doświadczenie...?

RYSZARD *(lekko wzruszył ramionami)* Życie to doświadczenie. Kto żyje, ten doświadcza.

ZUZU: Wartoby jednak w jakiś sposób... zrażać kobiety do zdrady.

RYSZARD: Ależ to się dzieje, droga Zuzu, dzieje się na wielką skalę. Tylko to nie jest rola książek. To jest rola mężczyzn. Kochankowie masowo zrażają kobiety do zdrady małżeńskiej.. Bez skutku.

ZUZU: Nie wszyscy kochankowie są jednakowi.

RYSZARD: Wszyscy są dokuczliwi. Jedni dlatego, że zazdrośni, drudzy, że obojętni.

LOKAJ *(wnosi na tacy kopertę wąską i długą, jak parasol)* Dla jaśnie pani *(podaje pani Zuzu).*

ZUZU *(rozdziera kopertę; z papieru wysuwają się na dwóch bardzo długich twardych łodygach dwie kremowe róże; zachwycona Zuzu zawołała)* Piękne!

LOKAJ: Do dużej koperty, proszę jaśnie pani, przypięta jest mała koperta z adresem *(wręcza tę małą kopertę).*

ZUZU: Dziękuję. Może Józef odejść.

LOKAJ *(wychodzi).*

ZUZU *(otwiera małą kopertę; czyta)* „Kocham panią. Nieznajomy". *(Zuzu z wdzięcznym uśmiechem przygląda się listowi; po chwili)* Bardzo piękne róże. Po przeczytaniu tych kilku słów widzę, że jeszcze wypiękniały. Cóż ty na to, Ryszardzie?

RYSZARD: Na co? Na ten anonim? Pokazuje się, moja droga, że list niepodpisany może czasami sprawiać przyjemność nietylko wysyłającemu. Prawdziwy gentleman jest gentlemanem nawet w masce. Ludzie eleganccy umieją wyciągać najroskoszniejsze wnioski nawet z zwyczajów tak nikczemnych, jak notowane zbyt często, niestety, przez wielką historję i małą ustną kronikę, strzelanie z za płota. Oni z za płota rzucają kwiatami.

ZUZU *(jeszcze raz czyta półgłosem)* „Kocham panią. Nieznajomy".

RYSZARD: Czy nie uważasz, droga Zuzu, że zakochany Nieznajomy, to dla kobiety najpiękniejsze imię męskie?

LOKAJ *(staje na progu)* W salonie wszystko gotowe.

RYSZARD: Chodźmy, Zuzu. *(wstaje)* Nie zapominaj, że punktualnie o dziesiątej obiecaliśmy być u Lubonieckich, a teraz już jest... *(spojrzał na swój bransoletowy zegarek).*

ZUZU *(wstała; w rączce trzyma róże; z uśmiechem)* Podaj mi ramię. Wchodzimy oficjalnie na pokoje świętego Mikołaja.

RYSZARD *(podał ramię Zuzu; wyszli z pokoju jadalnego, idą przez kurytarz, stają u drzwi salonu. Drzwi są otwarte, ale zasłania je szczelnie gruba kotara).*

RYSZARD *(do lokaja, wyprostowanego u futryny)* Rozsuń portjerę.

LOKAJ *(pociąga za sznurek).*

ZUZU: Ach! *(stoi na progu, wsparta o Ryszarda).*

RYSZAR *(po chwili)* Droga Zuzu święty Mikołaj zaprasza cię pod choinkę.

ZUZU: Nie widziałam choinki, któraby się śliczniej jarzyła!

RYSZARD: Na lewo w wazonie pąsowe róże Stefana, na prawo w krysztale dziwne lilje Feliksa.

ZUZU *(wchodząc)* A co leży pod choinką?

RYSZARD: Dzikie zwierzęta. Ostrożnie! Nazywają się niebieskie lisy.

ZUZU *(z okrzykiem radości całuje Ryszarda, biegnie ku choince).*

RYSZARD *(do lokaja)* Podaj pani futro.

ZUZU: Ogromne!

LOKAJ *(nakłada futro na Zuzu).*

ZUZU *(zachwycona)* Ryszardzie, ty nie jesteś mąż, ty jesteś geniusz! Rano brylanty, wieczorem niebieskie lisy! co wobec ciebie znaczy Goethe, Szekspir?! Nigdy nie byłam tak wzruszona na „Hamlecie", jak teraz jestem w tym futrze!

RYSZARD *(do lokaja)* Trzeba zaświecić żyrandol.

LOKAJ *(przekręca kontakt; robi się bardzo jasno).*

ZUZU: Drugiego takiego futra niema w całej Warszawie!

RYSZARD: Bardzo malowniczo cię obejmuje.

ZUZU: Zbliż się. *(gdy Ryszard zbliżył się do Zuzu, ona podała mu czoło do pocałowania).*

RYSZARD *(pocałowawszy Zuzu, siadł w fotelu).*

LOKAJ *(podaje Ryszardowi filiżankę czarnej kawy).*

ZUZU *(patrząc w lustro)* I ja proszę kawy. W tych lisach jadę do Lubonieckich. *(Zdjęła futro, które wziął od niej lokaj)* Tam pod choinką jest jeszcze jakaś zabawka.

LOKAJ *(podaje Zuzu blaszany samochód).*

ZUZU: Czy to się nakręca?

RYSZARD: Nie. To jest model. Nowy typ karety samochodowej. Podłoga ogrzewana elektrycznością.

ZUZU: Och, a ja tak marznę w naszej limuzynie! *(pani Zuzu włożyła kawałek cukru do kawy i zamieszała).*
RYSZARD: Od dzisiaj nie będziesz marzła.
ZUZU: Jakto?
RYSZARD: Do Lubonieckich pojedziemy tym modelem.
ZUZU: Czy ja cię dobrze rozumiem, Ryszardzie?
RYSZARD: Spojrzyj na Józefa. Widzisz jego uśmiech?
LOKAJ: Proszę jaśnie pani, nowy automobil już czeka w bramie. Istne cacko!
ZUZU: Jakiego koloru?
RYSZARD: O kolorze pamiętałem, droga Zuzu. Granatowy.
ZUZU: Jestem zażenowana twoją dobrocią.
RYSZARD: Małe podarki wzmacniają przyjaźń.
LOKAJ *(wyszedł).*
ZUZU: Gdybyś był moim kochankiem, zakochanym kochankiem...! ale ty jesteś tylko mężem.
RYSZARD: Kochanek odznacza się pomysłowością jedynie w dokuczaniu. Wogóle, moja Zuzu, nic tak nie psuje miłości, jak miłość. Ludzie zakochani sądzą, że w miłości wystarcza kochać. Ani przez myśl im nie przejdzie, że miłość jest także wiedzą.
ZUZU: To prawda. Nikt nie bywa tak nietaktowny, jak kochanek.
RYSZARD: Nietaktowny? Nieraz wprost ordynarny.
ZUZU: Owszem. I ordynarny. Człowiek pozatem tak subtelny!
RYSZARD: Wprawdzie jest to jedyny człowiek, któremu się przebacza najcięższą obrazę, ale takie otrzymywanie ciosów nie potęguje miłości. Nieprawdaż?
ZUZU: Jeżeli nas obraża ukochany kochanek, to jak gdyby rozdzierał tajemnicę miłości. Przez to rozdarcie spostrzegamy coś, co powinno być na zawsze niewiadome, gdyby nawet było prawdą, a prawdą przecież nie jest, że bardzo ziemski jest materjał, z którego Bóg zrobił kochanka. Ale potem, kiedy się kochanek opamięta, jego boska namiętność zwiera nieszczęsne rozdarcie i tajemnica miłości zostaje restaurowana.
RYSZARD: Tylko że ta blizna nie jest mocna, nieprawdaż? bardzo łatwo pęka.
ZUZU: I znów się zwiera.
RYSZARD I znów pęka, aż cała tajemnica pójdzie w strzępy.
ZUZU: Jakże cudną rzeczą byłaby miłość, gdyby nie miała żądła!
RYSZARD: Jakże genialnym chirurgiem byłby człowiek, któryby miłości umiał wyjąć żądło! Ale, doprawdy, czasem się wydaje, że miłość i żądło to jedno! Wyjąłeś żądło, a z nim razem miłość.
ZUZU: To może... z tą miłością... niech już lepiej boli, byle tylko była.
RYSZARD: Nie wiem. Nie lubię bólu. Wogóle nie lubię wstrząśnień. Nawet zbytniej wesołości nie lubię. Ideałem moim jest pogoda, czyli spokój. Jedynym osiągalnym za życia przedsionkiem ponadboskiej Nirwany, jest spokój.
ZUZU: Ryszardzie... całujesz mnie coprawda rzadko... Powiedz, czy nie lubisz mnie całować?
RYSZARD: Wiesz dobrze, Zuzu, że lubię.
ZUZU: I ten pocałunek nie jest dla ciebie... wstrząśnieniem?
RYSZARD: Nie. Jest przyjemnością.
ZUZU: Więc wstrząśnieniem.
RYSZARD: Nie. Ja cię całuję spokojnie. Jest to duża spokojna przyjemność.
ZUZU: Hm! W takim razie...
RYSZARD: Chcesz się na mnie gniewać?
ZUZU: Nie gniewać... ale wolałabym, żebyś jednak tracił spokój, kiedy się do mnie zbliżasz.
RYSZARD: Chciałabyś, żebym się stawał dziki? Żebym cię pragnął udusić, lub rozszarpać?
ZUZU: Nie przeczę, drogi Ryszardzie, że byłoby to z twojej strony bardzo ładnie.
RYSZARD: Tak ci się zdaje, Zuzu. Nieraz mi przecież mówiłaś: „Ostrożnie, bo będzie siniak!"
ZUZU: Cicho bądź.
RYSZARD *(z uśmiechem zapala papierosa).*
ZUZU *(po chwili)* Zgaś żyrandol, Ryszardzie.
RYSZARD *(przekręca kontakt).*
ZUZU: Czarownie! Co tu kwiatów! A ta djamentowo świecąca choinka wygląda jak śliczna święta, zamieniona w drzewko.
RYSZARD: *A propos*... Czy masz prezent dla małej Lubonieckiej?
ZUZU: Naturalnie. Książkę.
RYSZAR: Jaką? Bo to bardzo poważne stworzenie.
ZUZU: *„O naśladowaniu Chrystusa".* Dlaczego się uśmiechasz?
RYSZARD: Myślisz, że to dla niej odpowiednie?
ZUZU: Odpowiednie dla każdego.
RYSZARD: Pewnie... ponieważ nikt w chrześcijaństwie nie naśladuje Chrystusa. Ale niema obawy, żeby mała Lubonieczka rozdała majątek ubogim.
ZUZU: Pod tym względem, kochany Ryszardzie, podobna jest do wszystkich chrześcijan na świecie.
RYSZARD: Niech ci się ta uwaga nie wyrwie przypadkiem w obecności hrabiny Agnieszki, bo szanowna harpagonini zawoła ze zgrozą, że obrażasz religję.
ZUZU: Mój Ryszardzie, ja także nie jestem za rozdawaniem majątku. Społeczeństwo chrześcijańskie, złożone z samych biedaków, nie posiadałoby tego uroku, jaki posiada obecnie.
RYSZARD: To prawda. Ubóstwo tylko wówczas jest pociągające, gdy się nie potrzebuje liczyć z pieniędzmi. Hrabina Agnieszka, naprzykład, żyje, odmawiając sobie wszystkiego. Na operę chodzi tylko wówczas, gdy ją zaproszą do loży. Jada z apetytem tylko na obiadach proszonych. Książek nie kupuje, bo to „zbytek". Nawet „Kurjera Warszawskiego" codziennie pożycza. Służbie mało płaci, żeby jej „nie psuć", ale wymaga od niej w imię boże cnót najznakomitszych niewolników starożytności pogańskiej. A siedzi babsztyl na grubych kapitałach.



ZUZU: Spojrzyj na zegarek.
RYSZARD: Najwyższy czas, jedziemy. *(wstaje).*
ZUZU *(również wstała)* Podaj mi z fotela róże od Nieznajomego.
RYSZARD: Przypuszczałem, że raczej powiesz: „Podaj mi niebieskie futro".
ZUZU: Podaj mi futro.
RYSZARD *(podaje Zuzu palto i kremowe róże).*
ZUZU *(potoczywszy wzrokiem po salonie)* Jeszcze raz dziękuję ci, Ryszardzie, za dzisiejszy dzień.
RYSZARD: Otrzymywałaś dzisiaj kwiaty i prezenty nietylko ode mnie. Tam stoją pąsowe róże od Stefana. W krysztale bieleją zagadkowe kwiaty od Feliksa.
ZUZU: Na ramionach mam błękitne lisy; na palcu brylant, który mi podałeś w pudle, wyłożonem konwaljami.
RYSZARD: Gdyby ci święty Mikołaj kazał wybierać?...
ZUZU: Wybierać?
RYSZARD: Gdybyś się musiała wyrzec niektórych prezentów, aby móc zatrzymać inne? Którebyś wybrała?
ZUZU: Dlaczego zadajesz mi takie pytanie?
RYSZARD: Ponieważ widzę, że najczęściej szukasz oczami kremowych róż na długich łodygach. Na pąsowe róże, otwarcie mówiące miłość, spoglądasz rzadziej. Na tamte grzeszne kwiaty, kuszące, na „upadłe lilje", dwuznaczny dar Feliksa, też spoglądasz rzadziej. Nie mówię o konwaljach. Powiedz, co w dzisiejszym dniu najbardziej cię wzruszyło?
ZUZU: Najbardziej? *(po namyśle)* Cały dzień dzisiejszy jest nierozerwalny. Nie wyrzekłabym się niczego, co dzisiaj zaszło w moim kręgu. Ale bez tych bezimiennych róż dzisiejszy dzień, Ryszardzie, byłby dla mnie pozbawiony najwspanialszego swego blasku, tajemniczego blasku, który niejako wskazuje głębokości, nie demaskując ich jednak. Jesteś otoczona głębiami, mówi ten blask, płynący z dwóch kremowych róż na długich łodygach, obejmują cię głębie, ogarniają cię głębie, kochają cię głębie, którym się możesz powierzyć bezpiecznie, jak snowi. Te kremowe dwie róże dają mi cały świat niepojęty i już nie potrzebuję go rozumieć, aby go się nie bać. Zapadam bez lęku w otchłanie, składające ten olbrzymi świat, którego nie rozumiem, jakbym zapadała w sen, którego także nie rozumiem, a który posiada przecież nieograniczoną moją ufność. Posiadam twoją przyjaźń, Ryszardzie. Znam cię, Ryszardzie. Pąsowe róże od Stefana, to miłość. Znam Stefana. Ale te kremowe róże, to miłość, płynąca ku mnie... zewsząd. Nieznany mi głos niewidzialnego kochanka wyznaje mi tkliwość. Mówi do mnie wszechświat, który mnie otacza, nazbyt wielki, abym go znała, tak potężny, że przejmuje strachem wszystkich, posyłających ku niemu najbardziej zuchwałą myśl. Bałam się do dzisiaj ciemnej nocy, a oto ciemna noc przybywa do mnie, jako kremowe róże i powiada mi bezgłośnie, że mnie kocha. Stopniał mój lęk. Nie boję się ciemności, nocy, żywiołów, wszechświata. Odtąd nie jest mi straszne Nieznane. Dałeś mi futro, brylant i samochód. Ale najpiękniejszy tegoroczny dar świętego Mikołaja, to ofiarowana mi ufność w Niewiadome. Nie wyrzeknę się niczego: ani niebieskich lisów, ani samochodu, ale najbezcenniejszy dar podchoinkowy, którym mnie dzisiaj wzbogacono, to dwie kremowe róże na długich łodygach.
RYSZARD: Dostałaś rumieńców.
ZUZU: Chodźmy.
RYSZARD: Lubię, cię, Zuzu.
ZUZU: Mówiłeś, że już najwyższy czas.
RYSZARD: Chwileczkę. Wszechświat, Nieskończoność, bezimienny Nieznajomy, czeka na odpowiedź... na moich ustach *poste-restante*. Pocałuj.

WACŁAW GRUBIŃSKI



WIECZÓR WIGILIJNY

Iskrą gwiazdy pierwszej znaczony, ten wieczór jedyny jest pomiędzy wszystkiemi: pamięta się go co rok i wyliczyć można ile razy i jak go się spędzało, na wsi, w mieście, w wojsku, w smutku, w radości, w weselu, a zawsze w spowinięciu mgły błękitnej, nieba czystego, znakiem gwiazdy znaczonego.

Naprzód w malutkiej rybackiej wioseczce, gdzie stary błogosławił opłatkiem, do świętego podobny Józefa, powaga, smutek, o umarłych wspomnienie — za oknem domku cmentarz tuż, gdzie czarne krzyże, opodal morza brzeg szmerem, szelestem, syczeniem znaczony, odwiecznie w pracy swej nieustający i dzisiaj mimo uroczystej chwili pluskiem upartym bijący w piach.

Potem punkt świetlisty, o linję daleką z dawnemi wieczorami znaczony, oprzytomnienia chwila pośród upojenia bezmiernym losem, losem, dniem pijanym, nocą pijaną, sercem dygocząсem z zachwytu, z roskoszy, z sentymentalizmu: złociste treny, fortepjany, butelki, kinkiety—i jedno spojrzenie ku chmurom, jedna minuta: iskra pojmana ręką niedbałą, chwila zawahania się: a może? I gwiazda, gwiazda pomiędzy festonami chmur.

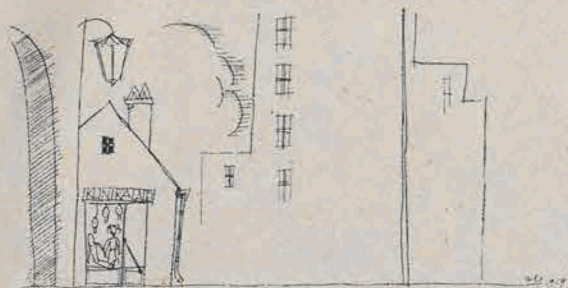
Albo samotność. I może nazawsze? zamyślenie, zamyślenie przez cały dzień pogrzebowy! Aż zadużo smutku, aż zadużo myślenia, aż zadużo tego jednego pytania, którego nie rozwiąże nawet niebo wieczorne i wigilijna nagła cisza, jak chciwa śmierć spadająca na miasto, przez cały dzień rozdygotane. Spływa ona z białej góry śnieżystego nieba i tysiącem ust wypija nas wszystkich, rozmdlewa serca, oczy, głowy i szeptem śmiertelnym kołysze, kołysze...

Chodź, usiądź, dzisiaj inny wieczór, od wszystkich tamtych odmienny, do wszystkich tamtych podobny, ciszą swą, i gwarem, i znakiem. Cisza ta, jak niebo ogromne, odbija się w twoich źrenicach, rozszerzonych smutkiem rozstania, gwiazda przegląda się w nich nieziemskim blaskiem i głos wieczoru jest jak słodycz dawnych oczu. Oto dzisiaj ostatni nasz wieczór i nie mówimy sobie nic. Nie mówmy, nie mówmy, słowa to zgasłe gwiazdy i w wieczór wigilijny błyskają, jak umarłe płomienie.

Patrz, patrz tylko we mnie, nie w niebo. Spojrzyj we mnie, jestem wielki jak niebo i chmurny! Rozedrzyj, rozedrzyj te chmury, odpędź je białemi rękami, jak skrzydłami łabędzicy, odkryj ją, ową zasłonę ciężką, jak świat. Patrz, patrz — nie mnie się zapala pierwsza wielka gwiazda!

Jarosław Iwaszkiewicz

PAMIĘTNIK MIŁOŚCI.



KLINIKA LALEK

Przy Jasnej jest sklepik: klinika lalek,
Przytułek chorych sierot i ubogich kalek.

Stoją w oknie niemytem i patrzą, jakgdyby
Utracone dzieciństwo wołało z za szyby.

Mało kto tam przystanie, popatrzy życzliwie,
Mój Boże, co to kogo obchodzi właściwie.

Nikt ich nie zna, nie lubi, kalekich rupieci,
Twoich sióstr i braciszków, biednych, brzydkich dzieci.



GŁOWA

Zapodziała się, znikła najśliczniejsza twa głowa,
Złotem sypie bronzowem, w białym puchu się chowa.

Woła skądś i przywabia, każdym włosem całuje,
Nic nie widzę, nie słyszę, całym sobą cię czuję.

Ach, już wiem gdzie się chowasz, ach, już wiem gdzie się gubisz,
Jak cichutko zasypiasz, jak mię kochasz i lubisz.

Co ci śni się wśród nocy, jak poruszasz się we śnie,
Jak obracasz się, tulisz i jak budzisz się wcześnie.

Budzisz, budzisz się ciepła, rozsypana, rozśmiana,
Niebo moje poranne, — głowo, głowo kochana!



OBŁOK

Zasnuwasz mię, zawlekasz, jak obłok wysoki,
Cały światłem objęty i pełen pogody
Odbijam cię, jak woda odbija obłoki:
Powtarzam w sobie każdy szczegół twej urody.

I zatapiam się w tobie, najdroższy widoku,
Rozprowadzam cię wkoło, roztaczam i mnożę,
I poprzez pamięć czuję cię na każdym kroku,
I poprzez myśli czuję cię o każdej porze.

I niema więcej szczęścia, niż w tem podobłoczu,
Gdy wodzę się za tobą podróżą skrzydlatą:
Wtedy w niewysłowionem spojrzeniu twych oczu
Dojrzewam, promienieję i świecę, jak lato.

POEZJE
KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO
z cyklu
„PAMIĘTNIK MIŁOŚCI"
Rysunki T. Gronowskiego



Niewinne Plotki

Nie wiem, czy wszyscy zauważyli, że coś tajemniczego krąży w powietrzu, że człowiekiem—skądinąd wcale rozsądnym — wstrząsa nagle dreszcz i na twarzy tego człowieka zjawia się głupkowaty wyraz jakiegoś niepojętego zachwytu. Człowiek taki podnosi ni stąd, ni zowąd oczy do nieba, zawraca białkami, jak murzyn z jazz-bandy i cicho rży do środka. Ciekawy objaw! Długo nie mogłem pojąć, co to znaczy? Wreszcie epidemja dotknęła moich osobistych przyjaciół. Ponieważ są to ludzie wybitnej inteligencji, przeto ten ciekawy i niepojęty zachwyt wyraża się u nich inaczej, bardziej artystycznie. Taki naprzykład wielki malarz, jak Skoczylas, nagle—idąc—przystaje, poczem zwraca się twarzą ku zachodowi i zaczyna pociągać nosem, jakgdyby coś gdzieś zwietrzył. Węgrzyn, w samym środku najboleśniejszej tyrady don Juana, na jedno mgnienie oka zaniemówił i tylko spojrzał porozumiewawczo na innych aktorów, a im pod szminką pokraśniały gęby. Junosza Stępowski ni stąd, ni zowąd zaczyna się cieszyć, jak dziecko i uderza dłonią o uda, jak kogut skrzydłami.

Ha! Co to jest? Kamil Mackiewicz rzuca się ze szlochem radości w ramiona Kamila Witkowskiego, Świdwiński w milczeniu wymownie rozradowanem ściska dłoń Grusa, jakaś wielka, bezgraniczna radość ciska się z oczu Tuwima na okulary Lechonia. Lechoń w napadzie radosnej furji dochodzi do tego, że kupuje sobie na kredyt ubranie tak perwersyjnie wykwintne, jak smoking, Tadeusz Herse w niesłychanem podnieceniu ściska na środku ulicy Zmigrydera. Co to jest u djabła?

Lorentowiczowi wyzłociła się radośnie broda, Krzywoszewski zachwyconemi usty szepce, jak w gorączce, niezrozumiałe: „spotkały się trzy Marysie, najpiękniejsze w „Świecie", — Boy pokrzykuje, albo porozumiewawczo robi do mnie oko, Kaden ściska Bandrowskiego, Miłaszewski ofiaruje z dedykacją swój przekład „Don Juana" Langemu, Szyfman posyła kwiaty Osterwie, Osterwa Szyllerowi, Ilski Młynarskiemu, Majdrowiczówna Malickiej, Messal Niewiarowskiej.

Straszne rzeczy, jakaś orgja serdeczności, jakaś dobroć epidemiczna, jakiś zachwyt wspaniały, promienisty, złocisty. To samo — podobno — dzieje wśród polityków. Korfanty każe sobie codziennie rano grać „Warszawiankę", Stroński baczy pilnie „ne quid detrimenti Respublica capiat". A inni!...

Coś się stało, coś jest w powietrzu, coś ma być. Ale co? Obejrzałem się po świecie. Jaki był, taki jest. Nudny i goły. Nic się nie zmieniło w Warszawie. Odrapali jeszcze jeden dom i Or-Ot dostał jeszcze jeden order. Nikt w dalszym ciągu nie ma pieniędzy, w dalszym ciągu Kopernik siedzi na swoim cokole, a Hoesick u Lursa.

A jednak coś się stało.

Jak legawiec, kiedy kuropatwę węchem poczuje i oczy wytrzeszcza, tak dusza człowieka, coś poczuła, i węszy, i strzyże, i jakąś nieludzką napełnia się radością. Myślałem z początku, że ta radość niesamowita stąd pochodzi, iż Reymont dostał nagrodę Nobla. Nie to! Powiedziano potem, że Kościelski ofiarował mirosławską piwnicę swoim autorom, ale cudowna pogłoska okazała się mylną. Wersje takie, że Mortkowicz zmienia nazwisko na skromniejsze: Norwid, albo takie, że Przybyszewski ma zostać Lencem, okazały się błędne. Podawanie faktu, że źródłem radosnego niepokoju jest przyjęcie u Gustawa Beylina, okazało się przesadą.

Cóż się więc stało u licha? Zofja Stryjeńska ma nową suknię balową, którą nosi od samego rana dla zamanifestowania radości, Magdalena Samozwaniec nie pisze nowej komedji w Nicei, tak jest wzburzona, — co to wszystko znaczy?

Otóż stała się rzecz wspaniała... Stało się coś, czego jednym tchem człowiek nie wypowie. Coś, co radosnem szaleństwem dotknęło dusze czyste i czyste serca. Coś, co radością napełniło pracownie malarzy i nory poetów. Coś, co życie umili. Co naprawi chmurne dusze i skwaśniałe wątroby...

Cóż, do stu tysięcy numerów „Wiadomości literackich"!

Ha! Przyjaciele! Wszyscy patrzą na Zachód i pociągają nosem. Słońce przyjeżdża w beczkach. Cło na wino będzie zniesione!

Hej, kolęda, kolęda!

Kornel Makuszyński



RYS. ZYGMUNT KAMIŃSKI

WIGILJA „INTIME”.

U Wandy Landowskiej w Paryżu

Pomiędzy artystami polskimi w Paryżu Wanda Landowska jest zapewne obecnie najwybitniejszą i najciekawszą postacią, tak ze względu na jej wszechświatową sławę i niesłychaną popularność, jak i na jej niezmordowaną działalność artystyczną. Nawet samo ukazanie się Wandy Landowskiej na estradzie już wzbudza zainteresowanie i sympatję. Spokojna, stylowa sylwetka, zawsze spowita w powłóczystą czerń, imponuje widzowi szlachetną dumą artystki i jakąś bolesną cichą tęsknotą, jeszcze zanim palce czarodziejki dotkną instrumentu. Ten odcień smutnej zadumy cechuje zawsze Wandę Landowską od czasu śmierci ukochanego męża.



WANDA LANDOWSKA
przy pianinie Chopina Relikwja ta ofiarowana została jej po koncercie w Valdemosa (Majorka)

Tym razem udało mi się uzyskać tylko pobieżny wywiad ze znakomitą artystką, odkładając wyczerpujący aż do chwili, gdy, idąc za serdecznem jej zaproszeniem, odwiedzę ją na wiosnę 1925 r., po powrocie z „tournée" artystycznej po Ameryce, Klawicynistka polska pracuje obecnie nad historją swego instrumentu dla wielkiej encyklopedji muzycznej francuskiej, niezależnie od przygotowań do wyżej wspomnianej tournée. Nie jest to pierwszy występ Wandy Landowskiej w Ameryce, gdyż znakomita artystka koncertowała już w Stanach Zjednoczonych z niesłychanem powodzeniem, jak na pierwszy sezon, w tym tak przeładowanym wielkościami całego świata kraju. W samym New-York'u Landowska brała udział w ośmiu symfonicznych koncertach, a na ostatnim z nich entuzjazm słuchaczy przebrał wszelką miarę.

Niezmierne powodzenie miały również w tym roku w Paryżu historyczne koncerty Landowskiej na 3-ej Olimpjadzie; szczególnie głębokie wrażenie wywarł jeden z tych wieczorów w Teatrze Pól Elizejskich, z kantatą J. S. Bacha na sopran (Marja Barrientos) i małą orkiestrą, którą dyrygowała, stosownie do tradycji, przy klawicymbale sama Landowska. Szczególniej niezatarte wrażenie odnieśli słuchacze podczas „Passion" według św. Mateusza J. S. Bacha. Słynny Mengelberg przywiózł do Paryża swój chór, złożony z 500 osób, całkowitą orkiestrę, solistów i z niezwykłem powodzeniem wykonał to olbrzymie, a pełne grozy i wdzięku dzieło mistrza. Ewangeliście i Chrystusowi wtórowała Landowska na klawicymbale, wywołując najgłębsze wrażenie. Arcydzieło Bacha powtórnie odegrane będzie w New-York'u w kwietniu 1925 r.

Zanim jednak Wanda Landowska podąży do Ameryki, odbędzie ona jedyną swą w tym roku europejską „tournée" w Holandji. Z wielką też tęsknotą przypomina sobie słynna artystka Warszawę oraz Kraków i najchętniej pośpieszy znów do stron rodzinnych, gdy znajdzie nieco wolnego czasu. Tymczasem niestety, nie zanosi się na urzeczywistnienie tego marzenia. W maju usłyszy Wandę Landowską Madryt i Barcelona, potem Paryż i Londyn, gdzie odegrany zostanie, będący na ukończeniu utwór Manuela da Falla, znakomitego hiszpańskiego kompozytora. Jest to koncert na klawicymbał i małą orkiestrę, napisany specjalnie dla Landowskiej. Rzecz dziwna i znamienna: dźwięk, bogaty koloryt wskrzeszonego przez wielką artystkę polską staroświeckiego instrumentu, niezmiernie interesuje obecnie najmłodszych muzyków i zarówno Honegger, jak Auric, Strawiński i Poulenc zabierają się do wyzyskania różnolitych barw i kombinacyj dźwięków klawicymbału.

Wśród bogatych zbiorów Landowskiej, rzadkich wydawnictw i różnych cennych pamiątek osobistych, zaznaczyć trzeba przedewszystkiem prześliczny klawikord z XIII wieku, oraz fortepian Szopena, na którym mistrz grał w klasztorze Valdemosa na wyspie Majorce, gdzie przebył zimę z George Sand i jej dziećmi. Na tym fortepianie Szopen wypłakał swe preludja, gdy w samotności tęsknił za ojczyzną, tak bardzo daleką.

W październiku ukazała się w angielskiem wydaniu Knopfa w New-York'u, słynna książka Landowskiej „La Musique Ancienne" (Starożytna muzyka), która miała już 7 wydań paryskich. W książce tej znakomita artystka wykazuje piękno starej muzyki francuskiej i jej olbrzymi wpływ na ukształtowanie się i rozwój późniejszej muzyki europejskiej, a czyni to w sposób nadzwyczaj przekonywujący i bezstronny.

Paryż, w listopadzie.

DR. M. KASTERSKA

KONKURS PIĘKNOŚCI
REDAKCJI „PANI“



Fot. St. Brzozowski

HALINA DUNIN-ŁABĘCKA
otrzymała I-szą nagrodę na Konkursie Piękności redakcji „Pani“



Fot. „Studio"

KAZIMIERA SKALSKA
II nagroda



Fot. St. Brzozowski

JÓZEFINA WABIA-WAPIŃSKA
III nagroda



Fot. St. Brzozowski

JANINA KOTWICZÓWNA
IV nagroda



Fot. W. Kirchner

POLA EPSTEINÓWNA
V nagroda



NIECO O DON JUANIE



Minęło już przedstawienie „Don Juana“ Zorilli, dla tego bez obawy zaszkodzenia temu pięknemu widowisku, można powiedzieć, że kobieta, która, znęcona tytułem, poszła je oglądać, doznała zawodu. Don Juan! wyznaj, śliczna pani, iż, kiedy słyszysz to imię, jakiś luby a niepokojący dreszcz przebiega ci po ciele, wnętrzności twoje pulsują, ciepły baryton wnika aż do dna duszy kuszącą serenadą, usta twoje szepcą miękko „nie“, a całe ciało twoje powtarza „tak“ w rytm leciutkiego menueta. O, jakże daleko byliśmy w teatrze od tego wszystkiego! Serenady? Słodkie słówka? Aha, właśnie! Brudna szynkownia, brzęk kieliszków, kobieta jako przedmiot plugawych zakładów! Jesteśmy zresztą naocznymi świadkami jednego podboju Don Juana, widzimy go przy robocie. Założył się, że uwiedzie przeciwnikowi narzeczoną, i to w wilję ślubu: zadanie godne zaiste wielkiego uwodziciela. Ale oto jak się to odbywa. Przedewszystkiem, denuncjuje rywala przed policją , aby go unieruchomić w więzieniu; następnie przekupuje duennę, dostaje się do mieszkania, i tam, po ciemku, udając swego rywala, dostaje się w objęcia panny. Cóż za chamstwo, prawda? Tego typu są wszystkie jego czyny. Robi kobiety tak jak karambole, i tyle troszczy się o bicie ich serca, co bilardzista o leciutkie drżenie duszyczek z kości słoniowej, mieszkających zapewne w każdej takiej białej kulce. A kiedy wreszcie spływa na niego Łaska miłości, koniec Don Juana: pierzcha jego zuchwalstwo, zaczyna mówić o czystości, o pięknie duszy, gotów jest *uszanować* swą lubą... To wszystko, to nie to, prawda?

Czyżby Zorilla, ten narodowy uwieńczony poeta Hispanji, a ślicznie nam przyswojony przez Miłaszewskiego, sfałszował legendę? Przeciwnie, oddał ją aż nadto wiernie; jedynie może uszlachetnił ją romantycznie: bo Don Juan z autentycznej legendy jest z kobi tami bardziej konsekwentnym chamem. Zawód nasz, rozczarowanie, wynika stąd, że ów Don Juan z dawnego mitu zgoła nie był tem, czem go z biegiem lat później uczyniono; owym arcytypem kochanka, ba „kobieciarza“, którego imię stało się dziś potocznem godłem. Dawny Don Juan to junak, rębacz, to wcielenie buty, pychy, to nabój szalonej nieokiełzanej energji, idącej we wszystkiem do ostatnich krańców, do zbrodni, do bluźnierstwa. Hazard, to jego żywioł, w którym żyje jak salamandra w ogniu. To, że obok gry, wojny, pojedynków, butelki, i kobieta musiała się znaleźć w litanji jego pięknych czynów, to naturalne; po pierwsze jest młody i jurny, powtóre czyż może być efektowniejszy cel turnieju junactwa? Ale ta kobieta jest zwłaszcza czemś, czego ktoś broni, co trzeba komuś odebrać, punktem znaczącym wygraną, lewą w kartach.

Później zwolna się to przemienia. Jak dużoby o tem mówić. Ewolucja Don Juana jest jednem z najciekawszych zjawisk literatury: byłoby to piękne studjum do napisania, oczywiście nie dla profesora. Jak daleko posunęła się ta ewolucja, świadczy fakt, że w ostatniej swojej wersji (Lenormand) Don Juan stał się mężczyzną o nieświadomym pędzie homoseksualnym, który, przez tragiczną omyłkę płci, szuka — i oczywiście nadaremnie — zaspokojenia w kobiecie: stąd jego niestałość... Cytuję to raczej dla osobliwości, na marginesie, mimo że ma to swój sens. Ale główna, zasadnicza różnica jest ta, iż Don Juan stał się z biegiem czasu symbolem nawskroś erotycznym, czem w pierwotnej swej postaci nie był. *Bluźnierstwo*, oto w dawnej legendzie główny motyw jego winy i kary. Osią tej legendy jest dramat *świętokradcy*, nie uwodziciela; nawet u Zorilli rywal Don Juana, don Luis, wcale nie gorszy łotrzyk od niego, potraktowany jest z dobrotliwem pobłażaniem. O te damskie sprawy nie robionoby tyle hałasu!

Odbywająca się stopniowo przemiana symbolu jest poniekąd owocem rosnącego pacyfizmu społeczeństw. W miarę jak układ społeczny staje się bardziej praworządny, nadmiar indywidualizmu zmienia koryto. Już za Ludwika XIV junak dawnego typu uchodziłby za bandytę. Furja temperamentu, męska ambicja czy próżność zaczynają bardziej szukać ujścia w kobiecie: coraz bardziej z akcesorjum staje się ona celem. I metody jej zdobywania muszą się przystosować do nowoczesnych warunków. W epoce, gdy kobieta była strzeżona jak rzecz, stawała się własnością tego, kto był dość śmiały aby po nią sięgnąć. Nie miała wyboru. Nowy Don Juan musi się bardziej liczyć z jej wolą, trafić do jej chęci, zwłaszcza iż, w miarę zmniejszania się niebezpieczeństw rzemiosła, coraz więcej spotyka się z konkurencją.

Bo, z drugiej strony, pacyfizm rozszerza kadry Don Juanów. W epoce, gdy kobiet strzegły żelazne kraty i wrzeciądze, zbrojne pachołki i straszna zemsta zazdrosnego męża lub srogiego ojca, karjera uwodziciela nie wszystkim była dostępna. Trzeba było być urodzonym zabijaką, aby się puszczać na tak drogie kupowanie wątpliwego szczęścia; a typ zabijaki zawsze pono był dość odległy od owego typu „artysty na kobiecie“, jaki dziś chcemy widzieć w Don Juanie. Po-

dejrzewam, że prawdziwy amator kobiet, który chciał sycić swoje marzenia nie narażając co chwila gło=wy i nie dokazując owych heroicznych cudów walecz=ności, krył swe gorące serce nieraz raczej pod sukien=ką duchowną niż pod zbroją... Z dwóch nieśmiertel=nych typów Moliera, bodaj że Tartufe wydaje mi się większym kobieciarzem niż Don Juan, a jego zmysło=we, szelmoskie, dewocją ciała przesycone oświadczy=ny złożone Elmirze, podobniejsze są do stylu dzisiej=szego uwodzicielstwa, niż zimny i zuchwały styl mo=lierowskiego Don Juana. Otóż, w miarę jak karjera— że tak powiem — Don Juana stawała się nie tak nie=bezpieczną, stawała się tem samem dostępną znacznie szerszemu kręgowi mężczyzn: obok osiłków i ręba=czy wychyliły głowę różne typy, i ludzie z sercem, i ludzie z mózgiem, i ludzie z wyobraźnią... Znaleźli się i ci, dla których kobieta jest nietylko bramką do wzięcia na footbalu junactwa, ale jest całym światem, przedmiotem wyłącznego zainteresowania, ich pasją. Z jednej strony tedy ewolucja samego typu, z drugiej rozszerzenie kadrów stwarzają *nowego Don Juana*.

Mimo to, problem donjuanizmu jest wciąż, w grun=cie, dość złożony. Możnaby rzec, że istnieją wyjąt=kowe organizacje, w których odczuwanie kobiety wy=bujało tak, jak np. sensacje kolorów u malarza lub tonów u muzyka. Ale jest tu pewna zasadnicza różni=ca. Muzyk, malarz noszą swój świat wrażeń we wła=snej duszy i panują w nim dowoli. Artysta na kobie=cości, natomiast, zależny jest od instrumentu, którym jest kobieta: musi (o tyle o ile przynajmniej) uzyskać zgodę swojego Stradivariusa, nim go dobędzie z pu=zdra i ujmie natchnioną dłonią. Otóż tutaj rzecz się komplikuje: obok warunków psychicznych, występu=je kwestja warunków fizycznych. Dusza płomienna, oddychająca miłością kobiety, ba, wszystkich kobiet, zdolna je pojąć, zdolna spalić je swym żarem, oddają=ca im wszystkie włókna swego czucia, może być za=mknięta w niewydarzonem ciele; może się kojarzyć z chorobliwą nieśmiałością. Przykłady: Rousseau, au=tor *Nowej Heloizy;* Stendhal, autor traktatu *O miło=ści*. Z drugiej strony, w każdym salonie widzimy ła=dnych i tęgich chłopców, którym ko=biety gromadnie idą w ręce (t. zn. po=zwalają się uwodzić) i którzy liczą na tuziny swoje zdobycze, mimo że, w gruncie rzeczy, ani ich kobieta zbytnio nie interesowała, ani nie ma=ją o niej wiele pojęcia. Ta ironiczna rozbieżność uzdolnień jest może przy=czyną, że kobiety są naogół, tak mało zadowolone z mężczyzn.

Ale wszak musi się zdarzyć, od cza=su do czasu, iż przymioty ciała, du=szy i serca skojarzą się w osobie jed=nego człowieka? Zapewne; ale ten rzadki feniks gotów mieć może to dzi=wactwo, iż będzie widział więcej szczęścia w ramionach jednej kobiety którą kocha, niż w trudach upędzania się za stoma inne=mi, których nie kocha: i to zatem nie byłby Don Juan! Don Juan tedy, klasyczny Don Juan, ta postać nie=mal mityczna, musi stanowić skojarzenie osobliwych warunków. Obok elementarnych przymiotów bujne=go kochanka, jest w nim coś z artysty, a coś ze sports=mana. Mówi o kobiecie jak poeta, a poluje na nią jak na dzika; z kaprysem fantasty łączy pedantyzm zbie=racza; . ciekawością amatora, oschłość zawodowca. Zadaje sobie nieskończenie wiele trudu, aby kobietę zdobyć, ale nie korzysta z tej zdobyczy; nie ma cza=su poić się wonią kwiatu, który rozwinął z pączka: trzeba mu iść dalej, wciąż dalej! W rezultacie, kosztu=je może z kobiety tylko tego, co w niej najbanalniej=sze i najmniej osobiste; przechodząc, sieje ziarno mi=łości, które zbierać będą inni, mniej świetni, ale mniej spieszący się od niego. Jest instytucją użyteczności publicznej. I dla tego słuszną jest owa tkliwość kobiet, jaka towarzyszy mu aż do schyłku życia: powinnyby się wszystkie znaleźć na jego pogrzebie, niosąc wień=ce z napisami: *Niestrudzonemu... Zasłużonemu...* etc. Drugie tyle wieńców powinienby otrzymać od swoich następców w sercu tych kobiet.

Porównałem Don Juana do wielkiego artysty; ale czyż nie możnaby go porównać także do wielkiego wodza, polityka, do wielkiego inżyniera? I tu uja=wnia się pewien tragizm tej postaci; jej specyficzny rys, na który nikt, zdaje mi się, dotąd nie zwrócił uwagi. Wszędzie gdzie *czyn* wznosi się na wyżyny genjuszu, staje się już sprawą ducha, który tworzy śmiałe plany, obmyśla je, ożywia swym wewnętrznym ogniem, sama zaś materjalna realizacja szczegółów zdana jest pomocniczym rękom. Napoleon sam nie nabijał armat, genjalny inżynier sam nie obciosuje kamieni, wielki dyplomata nie kopjuje aktów.

Otóż on, Don Juan, musi robić wszystko osobiście: jakże to ścieśnia sferę jego działań! Cała ekonomja talentu, genjuszu polega wszak na tem, aby go użyć do tego co potrafi *tylko on sam*, a zwolnić od re=szty, gdy tymczasem każdy podbój Don Juana za=czyna się od wysokiego artyzmu, a kończy na tem, co, w rezultacie, mógłby robić każdy!



Gdybyż tylko to! Ale oto spójrz=my dalej: sędziwy wódz może odno=sić zwycięstwa na polu bitwy mimo, że ręka jego nie udźwignęłaby mie=cza; wielki uczony patrzy jak dzieło jego prowadzą dalej uczniowie. Sztu=ki Don Juana przekazać się nie da: tragiczną zaś igraszką losu im bar=dziej rośnie jego kapitał wiedzy, do=świadczenia, artyzmu, subtelności, tem bardziej wątleje siła ich realizacji; i przychodzi moment, w którym ten wielki człowiek może sobie powie=dzieć już za życia: *Qualis artifex pe=reo!*

BOY-ŻELEŃSKI

WSPÓŁCZESNE AUTORKI POLSKIE

ZOFJA NAŁKOWSKA

I.

P. Zofja Nałkowska, rozpoczynając swój żywot twórczy, doznała szczególnego olśnienia własną osobą. Nic dziwnego. Żadna z naszych pisarek nie znalazła w sobie, w siedemnastym roku życia, takiego skomplikowanego bogactwa myślowego, inteligencji tak jasnej i chłodnej, poczucia stylu tak zdecydowanego, panowania nad sentymentem tak łatwego, zdolności do gry pojęć tak wyrafinowanej. Stanęła odrazu pod znakim samouwielbienia, które się nazywa narcyzyzmem.

Prawdziwy narcyzista literacki ma świadomość swej treści wewnętrznej i treść tę podziwia. W idealnym swym kształcie narcyzyzm jest zgoła objektywny: autor bada samego siebie i opisuje zjawiska swego ducha z lubością, jakby opisywał roślinę lub krajobraz. Własne życie stanowi dla narcyza literackiego rodzaj tematu do epopei subjektywnej. Odgraniczyć artystę dość wyraźną linją od jego treści życiowej — oto zadanie narcyzisty. Zadanie— trudne, często bowiem wchodzi w grę egoizm i przeszkadza w doborze barw śmiałych i szczerych. Narcyz ma skłonność do odnajdywania w sobie zagadek i do przeświadczenia, że nikt na świecie zagadek podobnych nie posiada. Zjawisko staje się naprawdę interesującem, gdy zagadkę taką odnajdzie.



ZOFJA NAŁKOWSKA

Narcyzyzm p. Nałkowskiej objawił się najmocniej w dwóch pierwszych opowieściach: „Kobiety" i „Książę". W każdej z nich postać główna, którą autorka najczulszą otacza opieką, nosi odmienne nazwisko; ale już po kilku djalogach i aforyzmach poznajemy, że mamy do czynienia z tą samą wciąż osobą. Janina Dernowiczówna, wycieniowana subtelnie, ponętna w swojem kłamstwie psychologicznem, cokolwiek dziecinna w swym filozoficznym stosunku do życia,— ma w sobie wiele bezwiednej poezji, którą odkupuje swe literackie sztuczności. Dernowiczówna nie ma zupełnie temperamentu. To też umie pisać wymownie o bajeczności uścisków, pocałunków i ekstaz miłosnych. W sercu jej rozesłano „bezkresne pola lodowe". I dlatego mężczyzna, którego kochała, nie chce być jej mężem; i dla tego drugi mężczyzna, któremu oddała miłośnie swe ciało, ze wszystkich kobiet ją tylko *duszą* kochał, nie zmysłami.

„Zawsze — mówi Janina z goryczą — to samo: kiedy wyciągniesz ręce po życie, dadzą ci śmierć". Rozmiłowana jest do szału w swej urodzie i rozumie. A nadewszystko kocha własną rzekomą nieuchwytność, własne poczucie nadzwyczajnej wyższości i sfinksowości. Jest z tych, „co popełnili grzech cięższy, niźli pierworodny: jadła z drzewa świadomości, że niema złego i dobrego". Mądrość przytłacza ją do tego stopnia, że woła: „za mądra jestem czasem na moje słabe siły". Stylem dla niej jest mówić dziś o swych smutkach, jutro zaś o swojej słonecznej filozofji życia. Janina kocha życie szalenie. Lubi nawet cmentarze, bo patrzy tam na triumf życia nad śmiercią i wtedy już nie boi się śmierci.

„Śmierć — mówi — zabija jednostki tylko, przypadkowe przejawy życia, a samo życie trwa. Byłam zawsze i zawsze będę. A śmierć śpi cicho pod mojemi nogami". Z takich rozumowań chce Janina budować poczucie swej siły. W rozmowach „stosownie do psychiki przedmiotu, zmienia rodzaj swej kokieterji—i dla tego stoi zawsze na wyżynach sztuki". Człowieka, który ją kocha, zamknęłaby chętnie do ładnej klatki, by odciągnąć go zupełnie od świata. Dawałaby mu dużo jeść, a nie pozwoliła rozmawiać z ludźmi, ani czytać, by dla niej tylko zachował całą swą życiową energję. I w tej klatce odwiedzałaby go czasami"... Gdy klęczy u jej stóp, zazdrości mu „niesłychanej roskoszy ukorzenia się przed jej siłą"; kiedy usypia na jej kolanach, ona myśli zawsze o innym, to jest o tym, który jej kochać nie może. Odyssea życiowa Janiny jest w gruncie rzeczy uboga. Dramat jej wewnętrzny polega właściwie na tem, że we wszystkiem, co mówi, myśli i robi, dopatruje się

efektów scenicznych, literackich i malarskich; że każdy swój ruch i uśmiech widzi zgóry, zanim się uśmiechnie lub poruszy. Wskutek tego jej refleksjom braknie organicznego związku z życiem. Wydarzenia jej codzienne wynikają z teorji, kształtują się podług niej i rozwijają. Gdy sobie Janina ten proces uświadamia, rzuca zdanie: „życie jest—mimo wszystko najważniejsze; należy mieć tyle kultury myślowej, by nie zapominać o tem nigdy". Na „ważność" życia Janina reaguje wędrówką po innych duszach kobiecych. Są tam różne typy: żony, ascetyczne kochanki, uczone, a nawet — prostytutki. We wszystkich Janina znajduje jedynie reminiscencje literackie, strawestowane poetycznie. Najciekawszą jest zawsze w poszukiwaniu własnych kształtów przez kształty cudze. W tym narcyzyźmie rozsiano wiele pierwszorzędnego piękna wyrazu, ale zaginął po drodze bunt społeczny autorki, który wypowiadał się w takich słowach: „Głównym motywem tragedji kobiety jest przeciwstawiająca się instynktom i interesom mężczyzny potrzeba trwałej miłości. Dążymy do tego, by abstrakcyjny typ kobiety, dokonawszy się, zaginął, jak zaginął oderwany typ mężczyzny. Z tego poziomu zaczniemy się z nimi rozwijać—jako ludzie. Szamotanie się, walka żywiołów—nowe stawanie się, tylko już nie w tej czarnej sferze kobiecości, która nas przecież dusi".

Ten nieszkodliwy bunt nie przeszkadzał dalszemu rozwojowi n a r c y z y z m u autorki. W „Księciu" Janina nazywa się Alicją, ale jest tą samą wciąż postacią, obracającą się śród tych samych ludzi. Od Janiny nauczyła się Alicja jednej tylko tajemnicy, a mianowicie — jakie lustra więcej schlebiają, lepiej uwydatniają piękność i różne „wytworności". Alicja kocha „ogromnie swoje zalety, ale nieskończenie więcej swoje wady". Myśl, że może nie jest najpiękniejszą, „wprost zatruwa jej życie". Najdroższe jej pragnienie polega na tem, aby linja „przeprowadzona przez jej życie była równie wytworna, jak linja jej bioder". Cnota najpiękniejszą i najcenniejszą wydaje się Alicji wówczas, „gdy połączona jest z uświadomieniem jej głupoty, bezcelowości, bezpożyteczności. Kocha siebie za to wszystko, co w niej jest „piękne, dziwne, kapryśne, bezsensowne, nęcące; za to wszystko zwłaszcza, co w niej „zupełnie bezpożyteczne" i co „kiedyś tam, za ciasną krainą wszystkich horyzontów, bezmiernem bogactwem i fantastycznością piękna zwróci na siebie olśniony wzrok najpiękniejszego z bogów". Wierzy, że popełnianie „zręcznych niezręczności stanowi w niej wdzięk zupełnie szczególny". Szuka więc sposobów przypodobania się, mnoży je dowolnie. Alicja daleka jest od wszelkich złudzeń demonizmu. „Nie jestem — mówi — zła, skoro nie wierzę w zło". Poza swoją rzekomą pięknością i pięknością swego życia, „najbardziej kocha na ziemi czar nieprzeparty zwodnej gry i słodszy jeszcze czar zapomnienia o grze — dla płomieni ciała". Te niegroźne wcale płomienie zajmują Alicję o tyle, o ile w nich twarz jej zyska na krasie. Miłość jej jest tylko objawem zwodnej igraszki mózgowej. We wszystkiem Alicja troszczy się wyłącznie o efekt pozy. Raz jest młodą panterą, która wygrzewa się lubieżnie na słońcu i liże swą śliczną, lśniącą sierść, a potem wskakuje na drzewo, już to gwoli wyostrzenia sobie pazurów, już to gwoli sprawności ruchów całego ciała, już to dla przypodobania się samcowi. To znowu jest, wychowaną w atmosferze lodowatego idealizmu, młodą poetką, która „w nic nie wierzy", ideału żadnego nie ma i dla tego z czarującym sceptycyzmem o ideałach rozmawia. Najczęściej jednak Alicja jest odsuniętą od „salonów", bardzo inteligentną kokietką, rzuconą w sferę jej „radykalji", gdzie „brudny kołnierzyk i zaniedbane maniery nie stanowią z a s a d y, ale stają się łatwo drugą naturą". T. zw „rewolucja" była jej potrzebna, jako jeszcze jedno zwierciadło. Śród rewolucjonistów, poza mimowolnem, pseudo-wytwornem poszukiwaniem tęgich bicepsów, przepaścistych oczu i tym podobnych nadzwyczajności, Alicja szuka jeszcze wielkich charakterów, w nieustannem przeświadczeniu, że — nawet w tych charakterach dojrzy swój własny wizerunek. Takim wielkim charakterem jest działacz, nazywany konspiracyjnie „Księciem". Poznawszy go, Alicja mówi sobie: „oto jest człowiek, z którym chciałabym mieć dziecko". „Książę" musi mieć „styl", jaki jest Alicji „potrzebny", musi mieć różne „wytworne" upodobania. Nie wierzy on w walkę. Idea rewolucyjna pociąga go „nie jako systemat naukowy, ale jako gigantyczny w swej utopijności rozumnej przejaw wiecznej, boskiej w nas tęsknoty do słońca niewidzialnego". Dawniej Alicja kochała egzotyczne rośliny, rzadkie kamienie, stare rzeźby, naczynia drogocennej roboty, perspektywy kolumnowe z białego marmuru. Teraz zapewnia, iż otrząsła się „z tej martwej narkozy piękna, bo stanęła oko w oko z bohaterstwem". Jest to, oczywiście, dalszy ciąg jej narcyzowych złudzeń. Alicja i w Księciu kocha siebie taką, jaką się „tylko przez jego oczy ujrzeć mogła". Zawsze i wszędzie pragnie dla siebie... lustra. Siebie więc szuka w cierpieniach Księcia, siebie widzi w jego bohaterskim czynie rewolucyjnym, siebie wielbi w jego torturach więziennych, o sobie wypowiada odziane w bogatą draperję słowa, gdy myślą przeżywa jego śmierć na szubienicy. W spojrzeniu na ludzi rewolucji p. Nałkowska usiłuje objawić swoją wielką *tęsknotę stylu* — jedyną rzeczywistość nieuświadomioną we wszystkich jej narcyzowych troskach.

Z biegiem lat samouwielbienie autorki wyczerpało cały *zewnętrzny* materjał kultu, t. j. piękną linję bioder, niepokojące uśmiechy, przerażającą mądrość, imponujące objawy wytworności, wszystkie zasoby kokieterji. Wraz z głębszem wejrzeniem w samą siebie, rozpoczyna się proces rachunków życia wewnętrznego. Zjawiska oglądane tracą swe znaczenie objektywne, dusza chce „wracać do domu swego" i stamtąd patrzeć na życie.

Przesunięcie punktu ciężkości ku zjawiskom duszy stało się pierwszym etapem wydobywania się p. Nałkowskiej z ponęt i czarów *narcyzyzmu*. W długiej wędrówce od siebie do innych ukazała utalentowana autorka giętki, wyrazisty i dostojny język i wybitną inteligencję. Zwolna kształtować się zaczyna nowe jej oblicze pisarskie.

Jan Lorentowicz

Polskie Orlątko

„Sto armat grzmiało nad jego kołyską i króla Rzymu dano mu nazwisko".

Ileż to łez wzruszenia wywoływały na obliczach nadobnych Warszawianek ostatnie sceny tylekroć w Rozmaitościach warszawskich powtarzanego „Orlątka" Rostanda. Dzieło Rostanda zawdzięcza swe wielkie powodzenie w Warszawie różnym czynnikom, ale niemały wpływ miał na nie i sentyment do „Króla Rzymu", sentyment odziedziczony po pradziadach, którzy, nie bacząc na ciężary, jakie ponosili w związku z utworzeniem Księstwa Warszawskiego i rekwizycjami na rzecz wojsk francuskich, z wielką odnosili się wdzięcznością do twórcy Księstwa, zwycięskiego Cesarza Francji.

To też mieszkańcy Warszawy z zainteresowaniem czytali wówczas biuletyny o stanie zdrowia cesarzowej, a niecierpliwość ich wzrastała, gdy za paryskim Monitorem ogłaszała Gazeta Warszawska i Gazeta Korespondenta Warszawskiego, że „od kilku dni czynią się w Paryżu wielkie przygotowania do obchodu rozwiązania cesarzowej" i że „wczoraj około 8=ej wieczorem zaczęła czuć cesarzowa pierwsze bóle, które w nocy zwolniały a nade dniem ustały".

Radość więc powszechna zapanowała, gdy biuletyn oficjalny zwiastował: „Dziś, dnia 20 marca o godzinie 9=tej i 20 minutach spełniły się nadzieje Francji. N=Cesarzowa szczęśliwie wydała na świat Syna. Król Rzymski i N=Matka jego dobrze się mają".

Skwapliwie czytała Warszawa, a zwłaszcza płeć piękna szczegóły o rozwiązaniu i złączonych z niem uroczystościach paryskich; jak to Napoleon, wiedząc o niecierpliwości ludu paryskiego, rozkazał aby sto jeden wystrzałów armatnich zwiastowało Francji to wielkie zdarzenie; jak to odbierał Cesarz powinszowania od książąt i urzędników; jak to widać było mieszkańców Paryża ze wszech stron ukazujących się w oknach i gromadzących się na ulicach, a liczących wystrzały; jak to Król Rzymski w kaplicy pałacu Tuilleryjskiego przez kardynała W. Jałmużnika z wody ochrzczonym został; jak to Rada municypalna w Paryżu uchwaliła 10 tysięcy franków dożywotniej pensji dla pazia Gevers, który zwiastował jej narodzenie się syna Napoleona; jak to pani Blanchard ze szkoły wojskowej na powietrze puściła się balonem dla rozgłoszenia wiadomości o narodzeniu się króla rzymskiego po miastach i wsiach. Mówiąc nawiasem, pani Blanchard „spuściła się w St. Thiebault przy Lugny, gdzie jej wiatru zabrakło i stamtąd powróciła do Paryża. Po jej odjeździe wzniósł się balon, który o sześć mil dalej spadł w jednem miasteczku".

Pilnie czytano wszystkie te wiadomości i radowano się szczęściem Napoleona. Teatr Narodowy w Warszawie był w tym czasie istnem zwierciadłem nastrojów Warszawy. Ile tylko razy nadażała się po temu sposobność, odbywały się w teatrze przedstawienia okolicznościowe (urodziny, imieniny, zwycięstwa, i t. d.) już to Cesarzowi, cesarzowej, już to księciu i księżnej warszawskiej, a królestwu saskiemu poświęcone.

Nie pozostał też głuchy teatr na wieść o urodzinach Króla Rzymskiego.

Znakomity aktor Alojzy Żółkowski napisał melodramę w jednym akcie p. t. „Dziedzic tronu polskiego". Utwór, dzisiaj całkiem już zapomniany, a pozbawiony wszelkiej wartości literackiej, poświęcił Żółkowski rezydentowi cesarza baronowi Bignon.

„A son Excellence Monsieur le baron Bignon resident de Sa Majesté l'Empereur des Français, Roi d'Italie ect. ect. prés Sa Majesté le Roi de Saxe, Duc de Varsovie ect. ect.

Monsieur le Baron!

Veuillez agreer avec bonté la pièce ci=jointe faite a la gloire de Sa Majesté le Roi de Rome, et que j'ai l'honneur de dedier a Votre Excellence.

Je suis avec respect, Monsieur le Baron de Votre Excellence le très=humble et très obcissant serviteur.

Aloys Żółkowski.

Varsovie le 15 Juin 1811.

Utworu tego, odegranego z okazji chrzcin „Orlątka", a nie mającego dla naszej literatury dramatycznej żadnego znaczenia, nie może pominąć historja Teatru Narodowego. Jest on bowiem nader charakterystyczny ze względu na to, jak teatr warszawski reagował na wszelkie wydarzenia z losem Napoleona związane.

W przedstawieniu tem, które poprzedziła jednoaktówka: „Trafiła kosa na kamień", występowali następujący artyści: panna Ebel (o której recenzenci gazet warszawskich wyrażają się w tym czasie z dużemi

pochwałami, choć radzą jej popracować nad głosem. „Jest on przymiotem najistotniejszym dobrego aktora i on to wszystkie czucia objawia; tłumaczem jest na=miętności, wznosząc się lub opadając, przechodząc w żywość albo czułość, przedziera się do duszy słucha=cza"), panna Pięknowska, (która, „oprócz pięknego śpiewu okazuje talent tragiczny"), panna Nacewi=czówna (córka zdolnego, lecz zbyt alkoholowi poświę=cającego się aktora), a dalej: ojciec sceny polskiej Bo=gusławski, świetny śpiewak Szczurkowski, uwiecznio=ny w „Nocy listopadowej" Kudlicz, Wąsowicz, Zda=nowicz, Zieliński, Okoński, Krzesiński, Szymanowski i Wolski.

Treścią melodramy, pozbawionej niemal całkiem akcji scenicznej, jest przyjęcie na dworze cesarza We=spazjana z okazji pierwszego ukazania ludowi syna ce=sarskiego Tytusa. Oczywiście Wespazjan — to Napo=leon, a Tytus — Król Rzymu.

O znaczeniu urodzin Tytusa — Króla Rzymu — mó=wi w pierwszej scenie wielki mistrz obrzędów, Dole=bella: „Państwo nasze, tak ogromne, spokojność swoją dopiero zakładać mogło na urodzeniu się tej drogiej dzieciny". Odpowiada mu urzędnik wojskowy Hel=vidius: „Trudno wyobrazić zapał wojsk cesarskich; z niewymowną oni radością widzą, iż ten tron, za któ=rego chwałę z upodobaniem wojowali, już osieroco=nym nie zostanie".

Dla urozmaicenia melodramy i okazania dobroci Ce=sarza wprowadza Żółkowski miłość Eponiny, córki dumnego pretora Hypparka ku ubogiemu Lycyniuszo=wi; cesarz podpisał umowę ślubną między zakochaną parą, a Hyppark, chcąc nie chcąc, musiał jej pobłogo=sławić.

Sceną jednak centralną sztuki jest scena audjen=cjonalna, w której cesarz odbiera hołd od posłów róż=nych narodów. Jest więc i Aul, poseł Germanów, jest poseł syryjski i afrykański, jest poseł Scytów, Indatyr, w którym upostaciował Żółkowski przedstawiciela Polski.

„Kiedy niezasłużonem nieszczęściem — mówi In=datyr — kraj mój z liczby narodów wymazany i w nie=pamięci zagrzebany zostawał, Tyś, Panie, potężną pra=wicą swoją znakomitą część jego dźwignął. Ty Panie, niepojętą myśl, iżby kiedy mógł istnieć nasz naród, po=jętą uczyniłeś: to też wdzięczność nasza żadnych nie zna granic, i przebacz łaskawy Panie zuchwałości mo=jej, z którą powiem: „że miłość nasza ku Tobie zale=dwie nie przewyższa miłości Twoich własnych podda=nych".

Drugą sceną, skupiającą uwagę widzów było poka=zanie ludowi Tytusa, który zwraca się do niego ze sło=wami: „Narodzie kochany! Cesarz jest moim Ojcem, a ja będę waszym".

Przedstawienie zakończyły śpiewy:

DAMA CESARZOWEJ.

Nadziejo trwałej swobody,
Szczepie drogiego imienia,
I my, i liczne narody
Jednakie mamy życzenia:
Abyś długie przeżył lata,
Synu Cesarza nadobny,
I dla szczęścia tego świata,
Był Ojcu swemu podobny.

LYCYNIUSZ.

Mieszkaniec z nad Iny zdroju
Chyli czoło przed tym Mężem
Co mu wrócił przy pokoju,
Zdobyte zamki orężem.
Widziały i Nilu brzegi,
Jak pod jego rozkazami
Waleczne pułków szeregi
Alexandra szły śladami.

HYPPARK.

Gdzież nie znają jego czynów?
Gdzież nie zbierał on wawrzynów?
I z dalekich stron narody
Szlą mu swych życzeń dowody.
Długo kraj mężnego Scyty,
Leżał mogiłą okryty,
Ale go ręka Cesarza,
Nowem dziś życiem obdarza.

DOLABELLA.

Świat wie twój zamiar życzliwy,
Że utrudzonego bojem,
Cesarzu Wielki i tkliwy!
Chcesz go obdarzyć pokojem.
Lecz gdyby jeszcze do wojny
Kraje Cię jakie wzywały,
Rozkaż, a lud ten spokojny,
Pobiegnie za Tobą cały.

CHÓR.

Niechaj żyje pełen chwały
Nasz Cesarz wielki, etc.

Melodramę Żółkowskiego całkiem dziś zapomnia=no. Obrazuje ona radość i nadzieje, jakie łączono z na=rodzeniem Króla Rzymu. Niezawodnie przed stu laty wywoływała ona niemniejszy entuzjazm Warszawia=nek od tego wzruszenia, które maluje się dzisiaj na ich obliczu podczas przedstawień „Orlątka".

Tylko, że dzisiaj powoduje wzruszenie efekt teatru, a wtedy moment dziejowy.

WIKTOR BRUMER

Kino i Pani

Szanowna Pani, szlachetna Piękności!

Z każdego kąta dochodzą Panią pochlebstwa, z każdego spojrzenia w lustro wyłania się pokusa, ludzie namawiają, próżność kobieca nęci — o, słodkie udręczenia! W takiej męce żyjesz, o piękna Pani, upojona reklamami o legendarnych karjerach gwiazd filmowych, o ich fenomenalnych dochodach, o zdobyczach serc miljarderów i o cudownych krainach, w których nieprzerwane promienie słońca lubieżnie muskają nagie cuda ich kształtów, spowite w — błony filmowe.

Szepczą ci w ucho, twoi wielbiciele: Pani — o, Pani stworzona jesteś do kina, bo dopiero tam urok twoich oczu znalazłby swój zasłużony wyraz, a rysy twoje, przechodząc przez całą gamę przemian od roskosznej boleści cierpienia do niemniej roskosznej radości używania, u nóg twoich spętają chmary wielbicieli całego globu ziemskiego.

A krewni i znajomi błagają cię, o Pani, abyś się tu u nas nie marnowała, gdzie ci jest ciasno, gdzie mąż nie może ci sprawić nawet tych toalet, których uroda twoja wymaga, a cóż mówić o tysiącu drobiazgów, które ci się należą, gdy taka Mary Pickford albo Pola Negri kąpią się w zbytku. A czy ich piękność da się wogóle z twoją porównać?



Autor artykułu, grający rolę studenta-rewolucjonisty w filmie „Jakich wiele"

Dlaczego taka Liljana Gish ma używać roskoszy klimatu lub Norma Talmadge roskoszować się wieczną wiosną kalifornijską, skoro ty, o tyle piękniejsza i bardziej dystyngowana, masz tu marznąć w lekkiem futerku i w bardzo pospolitych tramwajach ocierać się o niemiłosiernie pospolitą publikę.

Taki chór wielojęzyczny rozbrzmiewa gdzieś codziennie na całym globie zasianym mirażami świetlnych widowisk, jako śmiały protest przeciw niedocenionym darom natury, spuszczonym — na pewne domorosłe wielkości.

Bo kobieta nowoczesna, wypychając monopol mężczyzny w tak różnych dziedzinach społecznych stanowisk, zatrwożyła się o swą dawno wypieszczoną rolę: kochanki i towarzyszki mężczyzny, jego ideału czy hetery, słowem czynnika, stale jego spokój życia zakłócającego. Bo tej odwiecznej, jego i własną krwią zdobytej roli, na ten lub ów sposób romantycznej, nigdy się kobieta nie wyrzeknie.

W porę przybyła nowa sztuka iluzorycznych „przeżyć", romantycznych przygód i świetnie przyprawionego szarpania nerwów ludzkich na wiecznie bujnym terenie zmysłów i — „pure sex'u". Co za rozległa skala „zgrywania się", — od Ledy do Kleopatry, od Afrodyty do Messaliny, od jakiegoś Kopciuszka do jakiejś Dziewicy Orleańskiej, od Lukrecji Borgia — do pustynnej Atlantydy. Cóż roskoszniejszego, jak być w pierwszej części zbiedzonym podrzutkiem, katowanym przez przybranych rodziców, w trzeciej sprzedawać fiołki na ulicy a la Raquel Meller przy dźwiękach Violettery, w piątej wpaść w ręce jakiegoś międzynarodowego sprzedawcy żywego towaru, aby wreszcie w ósmym akcie napotkać na swej udręczonej drodze życia — owego wyśnionego margrabiego z dawnej arystokratycznej rodziny, który wraz nią przez dwa akty musi cierpieć i kochać, zanim w nagrodę za czystość swego serca, nasza bohaterka wykryje tajemnicę swego „wysokiego" urodzenia i — padnie w objęcia ukochanego miljardera.

Cały sentymentalizm lśniący tysiącem barw, od dosyć gminnego przewracania oczu, do pewnych nawet bardzo szczerych odruchów i uczuć niekłamanych, od rozpłakanych nad niedolą ludzką oczu do każdej formy skandalu ludzkiego, owitego w jakąbądź formę ludzkich ułomności — to wszystko ma swą rozpętaną plastykę, ma dziko oszołamiający zapach perfum, zdolnych uwieść najcnotliwszego mężczyznę, ma roskosznie podniecającą muzykę i woła:

— Chodź, pójdź w me objęcia, uczynię cię panią serc ludzkich całego świata — pójdź!!

. . . .

I gdyby jedno stutysięczne z tych proroctw się speł-

niło, od jutra świat nie mógłby się opędzić od przebogatych i przesławnych gwiazd filmowych, a biedni mężczyźni, skazani na rolę potępionych niewolników, od rana do nocy musieliby siedzieć w kinie, kręcić te roskoszne cuda świata i — podziwiać.

Ale na szczęście nasze, a na nieszczęście tych niezliczonych niedoszłych pożeraczek serc ludzkich, Genjusz, co wyrównuje wszystkie wypukłości i wklęsłości Damy Fortuny, jakoś nas obronił przed tym strasznym zalewem zbyt jednostronnych potoków szczęścia. Bo Lampa Alladyna. która swojem czarodziejskiem światłem kinowem opromieniła może nieco zaniedbaną w literaturze, względnie chwilowo na bok usuniętą rolę kobiety na rynku światowym — równocześnie jednak w swej djabelskiej przenikliwości demonstruje niespodziewanie pewne braki piękności ludzkiej, ukryte dla oka laika i niedostrzegalne często ani na fotografji, ani przy bliskiem obserwowaniu w naturze. Niespodzianki bywają fatalne.



Taki „jeden z wielu" pięknych domów w Kalifornji oddany do zdjęć

Niejednokrotnie tak zwane próbne zdjęcie nagle wykazuje jakieś bardzo niekorzystne skrzywienie nosa, lub pewien niesympatyczny grymas ust, jakieś zgrubienie policzka, niszczące nieskazitelność profilu lub niekorzytne osadzenie oka! Proporcje szyi, karku, linja biustu, ramion czy nóg, — nagle na ekranie z całą brutalnością odsłaniają wobec chłodnego oka krytyka niewidziane dotąd braki i usterki.

Barwiki oka w swym składzie chemicznym rozmaicie mogą działać na błonę filmową i bywają nieraz źródłem niemiłych pomyłek, a otwieranie ust może wywoływać takie dziwne skróty i takie nadwyrężenie musków twarzowych, które z pięknej czynią twarz pospolitą i banalną. Tego rodzaju złośliwe odkrycia utrudniały lub zamykały wprost karjerę kinematograficzną wybitnych zresztą zawodowych aktorek, uchodzących za piękności sceniczne, których już same nazwiska dla firm kinowych stanowiły wielką przynętę.



„Jedna z wielu" w Santa Barbara

Zapominają też często domorosłe kandydatki na gwiazdy filmowe, że jakkolwiek tak zwane obycie sceniczne nie jest koniecznym warunkiem powodzenia filmowego, to jednak talent aktorski, prawdziwy, niejednokrotnie utorował drogę do filmu wybitnym sławom scenicznym, których banalnie pojęta „uroda" łatwo mogła być zakwestjonowana. Niedocenianie talentu scenicznego jest więc również jedną z bardzo częstych pomyłek w kalkulacjach bajkowej przyszłości filmowej. Poza wyglądem ekran wymaga gestu, postawy i wyrazistości linji twarzy i całego ciała.

A wreszcie, Szanowna Piękności — d u s z a.

Jakiekolwiek świat nowoczesny znalazł sposoby na wytwarzanie pewnych efektów optycznych i jakimibądź wymysłami otoczył figurę ludzką, stwarzając nowe dla niej możliwości — niczem nie zastąpi jednak tej siły promieniowania ze sceny czy z ekranu, jaką posiadała zawsze i posiadać będzie dusza ludzka. Talent aktorski — niezależnie zresztą od pozascenicznych takich lub owych właściwości i przymiotów – posiada właśnie ten cudowny dar promieniowania. Słowa wypowiedziane ze sceny zapładniają słuchacza w teatrze, jak pewne spojrzenia, odruchy, pewien nowy zmysł optyczno-uczuciowy, galwanizują widzów i na chwilę wyzwalają ich zupełnie z prozy i trzeźwości, wśród których dokonywa się seans.

To pewne działanie poprzez skórę ludzką, poprzez ekran płócienny, podobnie do działania radioaktywnego — stworzyło te nieprzebrane masy zapatrzonych i zmagnetyzowanych widzów kinowych całego globu ziemskiego. Nie wolno się łudzić, że rzeczy mniejsze i czysto zewnętrzne tę siłę posiadać mogły. One też nie stworzyły nigdy artysty na scenie i nigdy go nie dostarczą „sztuce" filmowej.

Jeżeli, piękne Panie, oprócz swojej urody macie jeszcze te cudowne czynniki siły wewnętrznej odśrodkowej — i umiecie dać jej pełny, bardzo bogaty wyraz, wasza kandydatura godna jest rozpatrzenia. Ale tylko wtedy!

Nie zapominajcie wszakże, szlachetne Panie. że dusz, które na to miano zasługują, jest tak mało na świecie, że prawdziwych ludzi jest znikoma garstka na całe masy półczłowiecze, że rola wasza w życiu może być obfita w takie przygody i roskosze o całej skali rozciągłości, od bardzo ziemskich do najświetniej elizejskich, jakich żaden najsprytniejszy scenarjusz kinowy dostarczyć wam nie może.

Zostańcie w takim razie z nami, żywymi ludźmi — i promieniujcie!

RYSZARD ORDYŃSKI

Przyjęcie w Pałacu Potockich przed stupięćdziesięciu laty i teraz

Nie ja, nie ty, nie Jaś,
Nie Staś, nie Adaś,
Ani żaden z nas,
Tylko Sas.

Takie kartki krążyły przed elekcją króla na Woli. Brano się do korda, do łbów, do kabzy, do spódnicy, do ozora. Głosowano na innego mniej, na siebie samego więcej. Wreszcie siurpryza! Krążące kartki zawiodły. Nie obrano Sasa mocnego, tłustego, do psów strzelającego, obrano właśnie Stasia. Tak, Stasia Króla Najjaśniejszego, filozofa, w poszepty sztuki zasłuchanego, suknię dla pani Grabowskiej obmyślającego.

Obrano i ogłoszono, złota kareta z ośmioma hiszpańskiemi ogierami to obwieściła.

A gdy się zbliżył dzień patrona, to w pałacu Potockich, podówczas Lubomirskich, gala, dla uczczenia Króla pomazańca Jasnego. W jedną bramę wjeżdża, w drugą wyjeżdża pojazdów chmara, z pajukami, hajdukami, drabantami, karłami, lauframi, gigantami.

W przystrojonych strażach dolnych tysiąc głów podgolonych, tysiąc fryzur pudrowanych, okrytych zamiecią śnieżną, jak bór litewski; jest i fiolet biskupi koloru śliwki dojrzałej i karmazyn koloru pomidora przejrzałego.

Kapela basetlostrunna poloneza zagra, karoca kryształowa podjedzie, z karocy Król aksamitnogłowy wysiądzie. Bleiwasem polerowany, szminką podkreślony, puchem łabędzim pudrowany.

Na Króla spotkanie gospodarz marszałek orację wypowie. Mówi i upaja się, zaniemówi i także upaja się, a zewsząd oklaski.

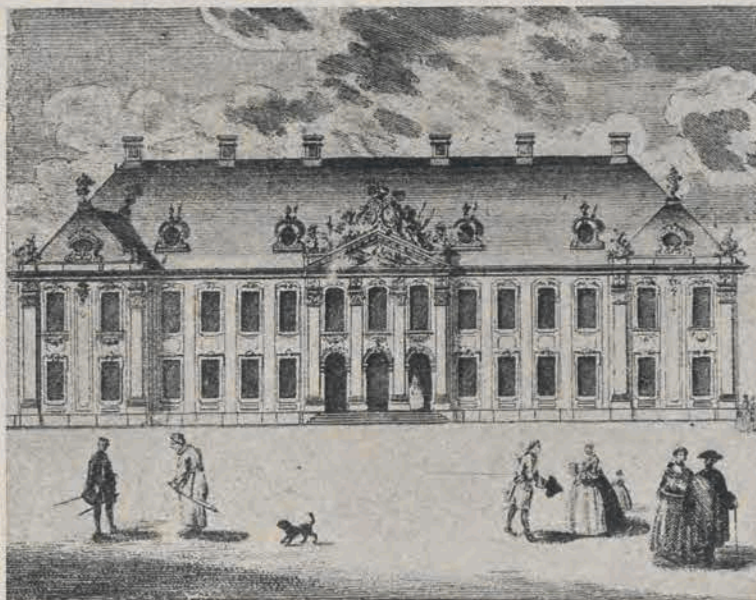
Podwoje wszystkie rozwarte, Król z gospodynią bal otwiera, sto par zwolna się przesuwa.

Król ma Katarzynę-Katię w palcach, panią Pompadour w nogach, Venerę pod pachą.

Katarzyna w minjaturze, pani Pompadour w kolorze pończoch, Venera Tycjana w tabakierce.

Danserka króla ma okręt na fryzurze, namiot chiński w tiurniurze.

Okręt z korala z kotwicą i bałwanami, namiot z jedwabiu papuziego w bujne ptaki i motyle jaskrawe. Trochę bielidła, trochę czerwienidła.



PAŁAC POTOCKICH PRZED 150 LATY

Dalej Ks. Kazimierz, brat królewski, podkomorzy z Magdaleną Sapieżyną.

Ks. Kazimierz w motylim kolorze, nankinowym fraku, umalowany, wyszminkowany, zadumany. O czem? Ano, o minaretach, chałupinkach, łaźniach, ananasach, małpach. Z temi najgorzej. Kolekcjonuje nie nie gemmy, nie kamee, nie wykopaliska, nie porcelany, a małpy. Lecz bez powodzenia. Gryzą się, topią, wieszają, zdychają. Lecz dziś na bok frasunek o małpach, gdy cudna Magdalena u boku. Nabok Józefka czarnooka, nabok Truskolaska zielonooka. Nabok, gdy cudna pokutnica z Magdalii ma robę tak przezroczystą, jak przezroczyste są jej myśli, zachcenia.

Dalej Ks. Adam, generał podolski, pan Puławski z krajczyną z Ossolińskich Potocką.

Cudna, z sobolemi ogonkami, z potrzebami z djamentu, w hajdawerach.

Wczoraj królowa Cythery,
Żądała tylko nektaru,
Dziś włożyła hajdawery,
Pono odjeżdża do Baru.

Wczoraj jeszcze królowała przed Grabowską, dziś kontusz przywdziała i do Konfederacji Barskiej przystała.

Dalej Ks. Marcin Lubomirski z generałową Grabowską. Do tej wszyscy lgną. Dworacy z ukłonami, poeci z wierszami.

Do czego jej tam nie porównują. Do Ewy, do Venery, do anioła jasnego, do żebra Adama poczciwego, do rosy chłodzącej, do małmazji grzejącej. Na łono jej sypią śnieg i śnieg rumienią, potem ten śnieg wstydzą i każą mu płakać, jako bobrowi, potem do dołków na podbródku się przyczepią i nosek grecko-italsko-sarmacko-masoński do dołków przystawią, wreszcie każą jakimś tam żonom z jej boków wyłazić.

Tak powie Kostka Potocki, Węgierski, Trembecki.

Tak będzie na balu, dopóki będzie królową miłości, z koroną z róż świeżych splecioną.

Potem to już tam ją zrobią ospowatą, garbatą, pękatą, malowaną, dyssydentką, Grabiną.

Dalej Ks. Andrzej Poniatowski z Mniszchówną Potocką, od Maryny carowej w prostej linji idącą. Od Maryny i trzech Dymitrów samozwanych, czy od Maryny i jednego Dymitra samozwanego, zawszeć to od carowej, choć w bocznej linji, ze wszystkich boków nawet, bo to i z Maryną było kuso i z Dymitrem jeszcze kusiej.

A dalej powaga.

Aranda, hiszpańsko-kastylijsko-toledańsko-portugalski poseł w portugałach, z wdową po Janie Klemensie Jaxie Białostockim Branickim, koronnym.

Stackelberg, moskiewsko-niebolszewicko-carycowski poseł, w majtkach jedwabnych, cudzem złotem błyszczących, z Izabellą z Flemingów z kibicią, wszem wobec wszystkie kasującą.

I jeszcze pani Dębińska, udająca teraźniejszą myśliwą, więc ubrana; pani Kossowska, udająca dawniejszą myśliwą, więc rozebrana. Kasztelanowa Oborska we fioletach z jakichś względów fioletowych, generałowa Czartoryska w koronie z jakichś względów koronowych.

I dalej szereg bez końca matron czarnoubranych celnych piękności.

A rozmowa na balu. Trochę tam króla Stasia uszczypnąć by chcieli. Coś niecoś, maluczko, ale szczypnąć. Kasztelanowa Kamieńska jakieś tam nieprzystojności pończoszne mu wypomni, Magdalena Sapieżyna jakieś tam przystojności pończoszne mu przypomni. Karpiński powie „tam baba królem, tu król babą".

Zresztą, wszyscy go kochać będą, szafarza światła nieznużonego.



Z portretu Baciarelego
KS. MARSZAŁKOWA Z CZARTORYSKICH LUBOMIRSKA
gospodyni balu z r. 1780



Rzeźba Łazienkowska
ALEKSANDRA z Grabowskich KRASICKA
jedna z uczestniczek balu z r. 1780

Tak będzie na balu wtedy.

A w lat trzydzieści znowuż asambla w tych podwojach.

Książę Kliwji i Bergu dla cesarza bal wydaje. Przyszedł w mundurze starej gwardji, szaro i prosto, w ręku trójgraniasty, ten co to uchylał korony setne. Przy Napoleonie ułańska kurtka, granat, karmazyn i szlifa srebrna — to ten, co ślubował mu biel pióropusza, Ks. Józef, marszałek, wódz.

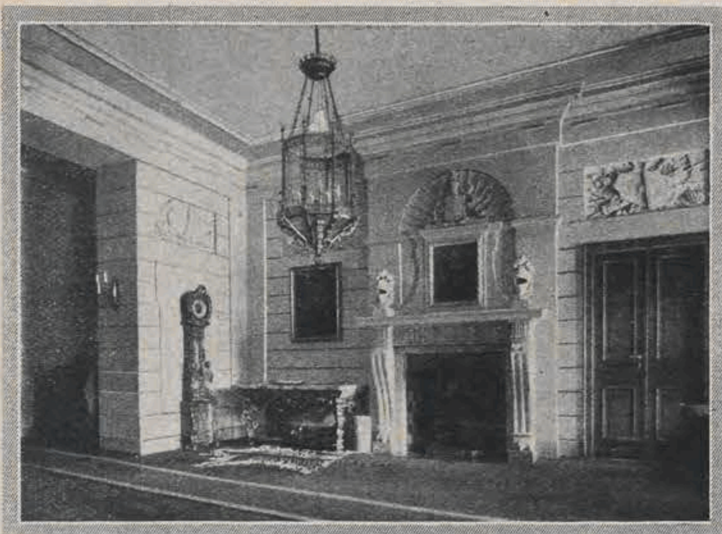
Napoleon prześwietne grono pań widzi, może niepotrzebnie gdzie niektórą pannę o dziecko zapyta, może niepotrzebnie stuletnią koniuszynę Kicką, czy karmi dziecko, zapyta. Zresztą z panią Anastazową Walewską poznanie tu robi. Ta go przywiąże, pocieszy, na Elbie odwiedzi, wierną mu będzie. Tak było ładnie, poco potem za jakiegoś Ornana się przeszła? To nam z idylli liścik utrąci. Nie figowy, lecz wawrzynowy. — To były świetne podówczas przyjęcia w pałacu przez Fontannę Architekta stawianym, Kamzetzera rzeźbionym.

A teraz, roku Pańskiego tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego znowu podwoje się rozwarły. Na cel dobry, na ulżenie doli dzieciom, hr. Helena Potocka przyjęcie robi.

Menueta tańczą w tych salach, gdzie sam król dzierżył złotą pałeczkę. Aksamitnego „Don Juana" tańczył.

Pudrowane świecą głowy
I czarowne wabią oczy.
Świat leciutki jak motylek,
Byle użyć kilka chwilek.

A jak tańczą. Niech z kryształowej gabloty powiedzą sewrskie damy malowane, choćby tam nawet mniszka była, niech sam Walezjusz Clouetowski z radości rumieńca zielonego dostanie jak ma suknię zieloną, niech chocolatiera Chardainowska z podziwu



GŁÓWNE WEJŚCIE PAŁACU POTOCKICH
z portretami rodzinnemi



SALON PRZECHODNI
z meblami krytemi gobelinami

czekoladę wywróci, niekoniecznie na pukle pudrowane, niech porcelanowy August II zazdrości, a nie pęka, bo dobry.

Cudnie. A w tańcu śpiewy, jeden czar.

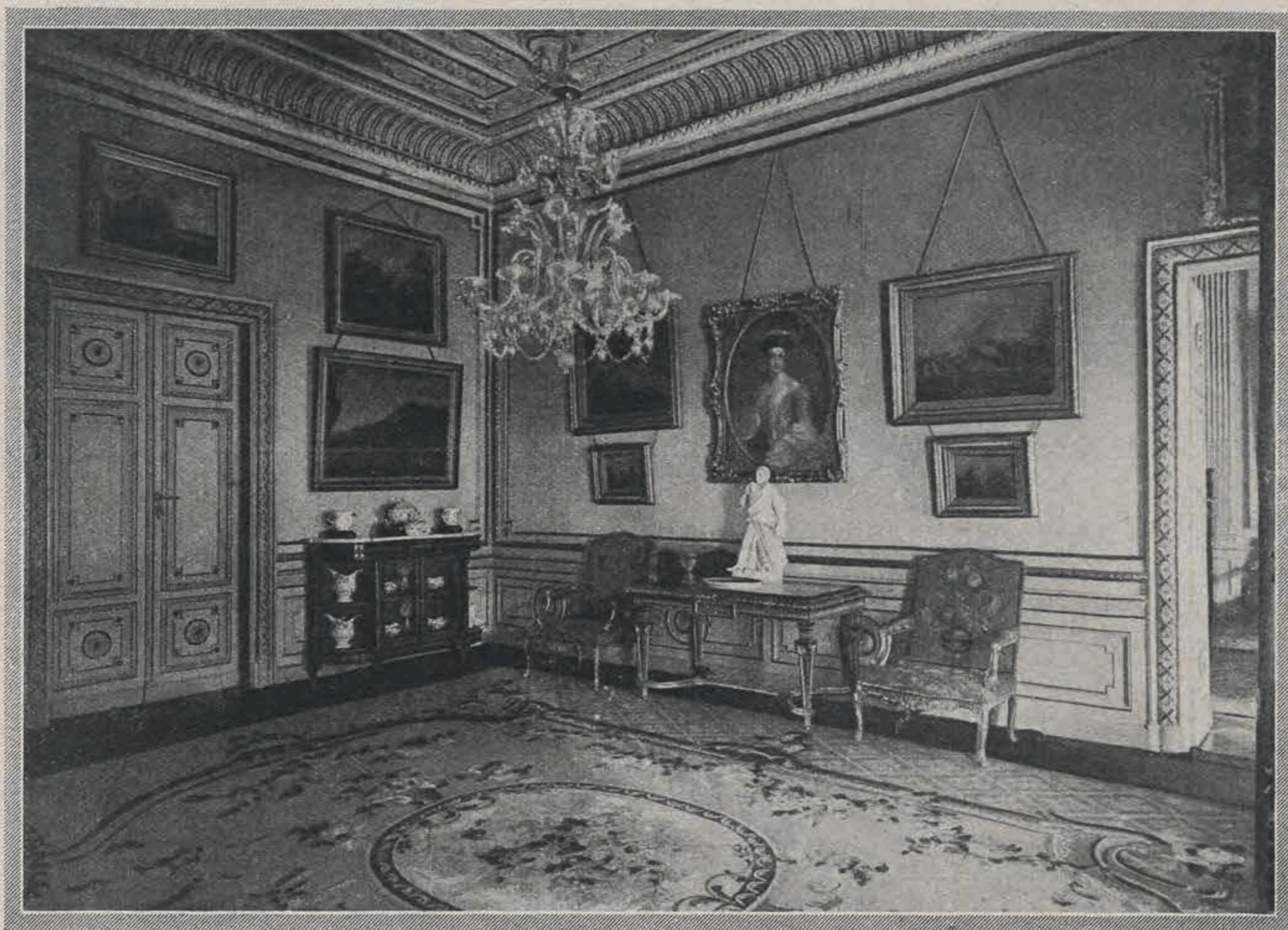
A potem.

Hej dziewczyno jeszcze w tany,
Może mazur odbijany.

No i polonez. W kontuszach z wylotami, z pasem złotolitym. Potem biesiada w sali z Gerardem. W sali, gdzie Davout powiedział w pasji Badeniemu „zdjęliśmy z was jarzmo pruskie", a ten mu na to „zdjęliście, ale z butami".

I dalej biesiada. Z portretów prababki bacznie patrzą na świetne grono wnuczek tu dla dobrej sprawy zebranych. Patyna i rumieniec życia dziewczęcy łączą się wzajem. Z obić adamaszkowych penduły wydzwaniają, jak wtedy, przed laty. Ożyły więc znowu dobre w pałacu wspomnienia.

Swoje podanie, swoją przeszłość i dzieje mają te mury, w arabeski barwne złocone.



BUDUAR HR POTOCKIEJ Z PORTRETEM LASZLO



SALA BIAŁA
z berżegami, fajansem belwederskim i porcelaną korecką



SALON ZIELONY
z supraportami i meblami czypendal

Był tu nawet zwrot oka na Zygmuntów panowanie. Stanisławowa Potocka dla odświeżenia pamięci, a zahartowania serca, umyśliła kiedyś sprawić Juljanowi Niemcewiczowi ucztę i przenieść Wajdelotę naszego ku czasom złotym Zygmuntowym. Była tu Barbara Radziwiłłówna w sukni półksiężycami usianej, była Bona w welonie od stóp do głowy z rubinami i perłami naprzemiany, był sam król Zygmunt August w srebrnej lamie i płaszczu złotoczarnym haftowanym.

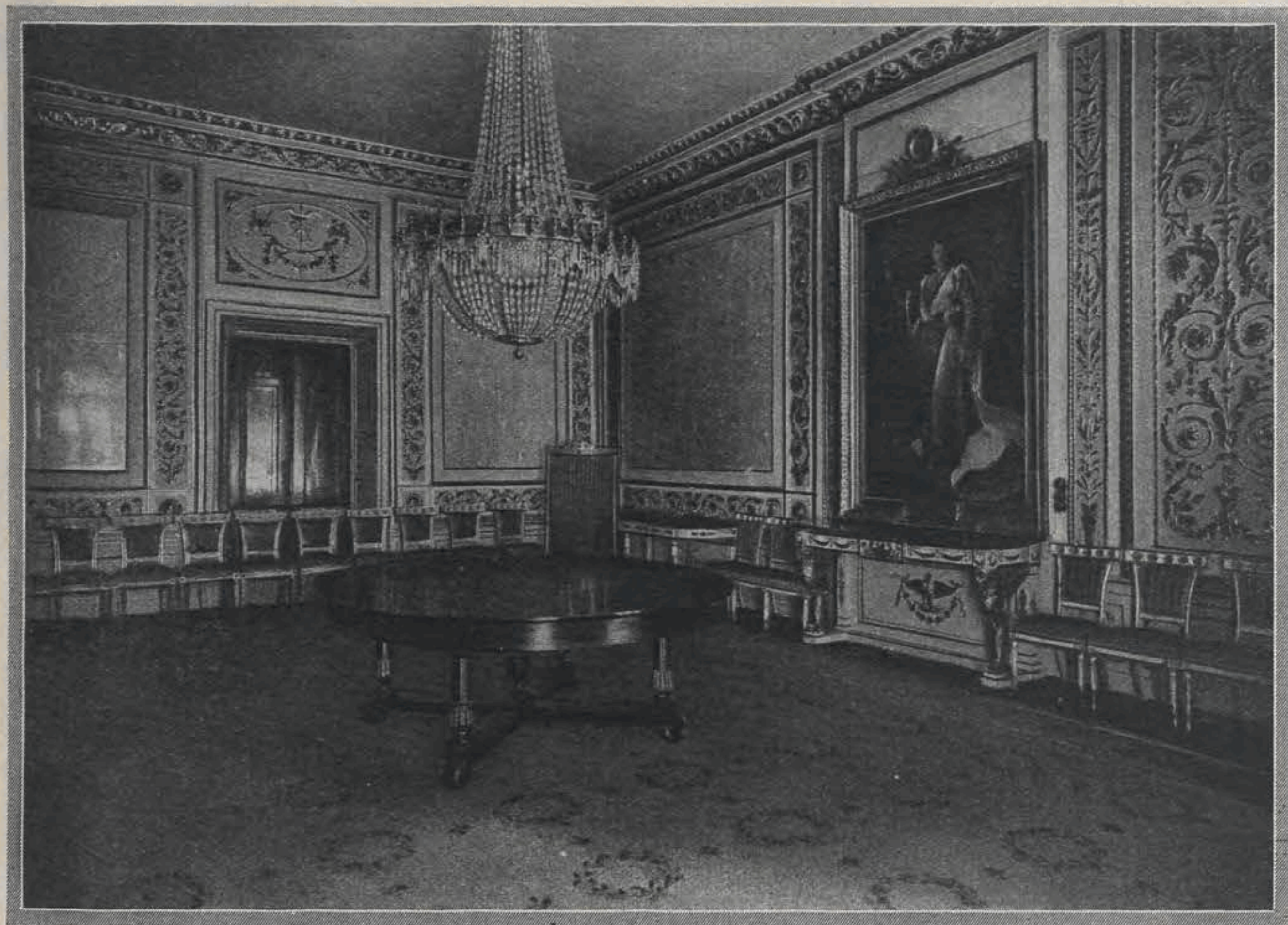
Królewski stół miał zastawę z roztruchanów, puharów, mis pozłocistych i chińskiej farfury. W pośrodku orzeł cukrowo cynamonowo pieprzny.

Potrawy bez liku dymiły. Bobrowe ogony, łosie języki, bażancie uda, cukrowe jajeczniki.

Takie przyjęcia stare mury pałacu pamiętają.

Snać zapisanem, było w księdze przeznaczenia, staremu kasztelowi, by znowuż w dawnym zajaśniał blasku, by znowuż podwoje z mahoniu dla dobrej sprawy się rozwarły.

ANTONI URBAŃSKI



SALA JADALNA W PAŁACU POTOCKICH ZA NAPOLEONA I TERAZ

UCZESTNICZKI TEGOROCZNEGO PRZYJĘCIA W PAŁACU POTOCKICH



Z portretu J. Jaroszyńskiej

P. HELENA FRANCISZKOWA PUŁASKA



Z portretu gen. Kaweckiego

P. EWELINA Z SOBIESZCZAŃSKICH SOKOŁOWSKA
prawnuczka hr. Kemorowskiej z balu z r. 1780



P. JADWIGA JAROSZYŃSKA
prawnuczka hr. Krasickiej uczestniczki balu z r. 1780

Autoportret



HR. HELENA Z RADZIWIŁŁÓW JÓZEFOWA POTOCKA

Z PORTRETU LASZLO



Magja Drogich Kamieni wedle nauki Filozofów i doświadczeń wielu szlachetnie urodzonych Dam i Kawalerów

spisał

Witold Bunikiewicz



O MĄDREJ DAMIE I TRZECH CHÓRACH DROGICH KAMIENI

Po szatach poznajemy pana, po rozumie filozofa a poetę po jego dziełach, wytworną zaś damę poznać tylko można po jej klejnotach i sposobie noszenia drogich kamieni. Trzy są bowiem rodzaje strojenia się w klejnoty: dla kochanka, dla świata i dla samej siebie. Dama mądra i wytworna nosi je tylko dla samej siebie, powtarzając za wielkim stoikiem rzymskim: *charitas ab ego*, co należy tłumaczyć na język pospolity: jeśli się sobie podobam, podobać się muszę kochankowi i światu. Jeśli dama podoba się tylko sobie samej a u innych znajduje pobłażenie lub zgoła nawet litość, wtedy jest albo niemądrą, albo niewytworną, lub oba te błędy posiada razem.

Ponieważ mniej jest kobiet brzydkich niż niemądrych, co już niejednokrotnie stwierdzili filozofowie i poeci, przeto wiedzieć im należy, iż posiadając w swem ręku takie talizmany jak drogie kamienie, mogą zabrać z nich wszystkie blaski i barwy i stać się tak drogocenne i poszukiwane jak djament, szafir i rubin, tak piękne jak opal, dobre jak turkus, anielskie jak szafir i szczodre jak ametyst. Najbrzydsze nawet mogą wydać się pięknemi. Trzeba tylko wiedzieć jak używać kamieni, kiedy się w nie ubierać, a kiedy chować w ukryciu, jak je ze sobą łączyć i rozdzielać.

Dama głupia ustroi się w djament i ametyst lub turkus i szafir, lub będzie nosiła opale wraz z turkusami, niewiedząc o tem, iż spajając te klejnoty na jednem ciele wytwarza złą influencję i choćby była najurodziwszego oblicza wyda się szkaradą, a dowcip jej stanie się płaski i wulgarny. Jako w niebie są chóry archaniołów, cherubinów i serafinów, tako są trzy chóry drogich kamieni: chór pierwszy pochodzi z planet a zatem djament przynależy do Merkurego, rubin do Wenery, szafir do Urana, turkus do Saturna, opal do Jowisza, a ametyst do ziemi. Inni filozofowie inaczej rozdzielają kamienie między planety, ale nie mają racji.

Chór drugi nazywa się gwiezdnym i tam patrzą: topazy, onykse, beryle, jaspisy, granaty, chryzoprasy, agaty, chalcedony, heliotropy, hyacenty, sardonity i siła innych pięknych kamieni, których jest tyle, ile gwiazd, tylko, że nie wszystkie są jeszcze znane, ale szukać należy.

Do chóru ziemskiego zaliczają: perły, korale i bursztyny, choć niektórzy filozofowie odnoszą perłę do słońca, albowiem zrodziła się ona ze łzy boskiej, uronionej nad grzechem pierworodnych rodziców, dlatego tak piękną jest, iż zaćmiewa nawet djamenty. I to trzeba wiedzieć, aby nie nosić klejnotów z różnych

chórów na raz, bo wtedy kamienie są smutne i wzajemnie sobie zazdroszczą.

Perła tylko, która należy do trzeciego chóru lubi być razem z djamentem i dobrze jest, gdy jest z nim razem, bo z tego płynie wielkie zdrowie do krwi i ucieszają się humory.



KLEJNOTY SZANOWAĆ NALEŻY I NIE CISKAĆ NIMI ZA PSAMI

Drogie kamienie szanować należy i nie nosić ich wedle zachcenia albo uroczystości albo dla barwy szaty lub pokazania swego bogactwa i pychy lecz wedle wskazówek uczonych mężów, którzy wypróbowali ich własność i wiedzą jak je zażywać. Nie należy ich ganić i łajać a nadewszystko nie rzucać nimi za psami, bo wtedy urażone wielce rozsypują się w piasek albo uciekają od właściciela, mszcząc się okrutnie swej krzywdy.

Zdarzyło się, iż dobrze urodzona dama dworu księcia Bretanji, Anna de Castiliac, rozgniewana srodze na suczkę, która sypiała z nią w jednej łożnicy i nagabywała zbyt natrętnie szlachetnego kochanka swej pani, łapiąc go to za łydki, to za lędźwie, cisnęła w uniesieniu spiną wykładaną drogimi kamieniami, którą zwykle zdobiła swą szatę.

I źle uczyniła, bo kamienie za dotknięciem psiego cielska zmieniły się w pospolity piasek, czem poruszona do żywego dama straciła już tego wieczora wszelką chęć do pieszczoty, a rozżalony kochanek wyszedłszy z jej komnaty, znalazł natychmiast pocieszenie w osobie księżnej Rosamundy, krewnej króla hiszpańskiego. Tak więc poniosła lekkomyślna dama dwie straty naraz.

Gorzej jeszcze wyszedł pan de Chasseloup, który wraz z królem Ludwikiem zdobywał Ziemię świętą. Chcąc nie narażać na pokusy swej małżonki, obwarował ją pasem cnoty, a klucz nosił na pancerzu, umocowany na złotym łańcuchu. Mawiał zaś: jeśli wrócę, a zamknięcie będzie nienaruszone, dam w podarunku mojej żonie klejnot, zdobyty na poganinie. A był to wielkiej cudności szmaragd.

Nie wiedział co go spotka. Skoro wojna się skończyła pan de Chasseloup, chcąc wypróbować cnotę swej małżonki, przebrał się w żebracze szaty i nieporznany przez nikogo pytał wieśniaków jakie hrabina wiedzie życie pod nieobecność męża, kogo przyjmuje w domu i którzy młodzieńcy dopraszają się jej łaski. Lecz nic zdrożnego nie usłyszał. Jeszcze dzień drogi dzieliło go od małżeńskiej komnaty, gdy wypadło hrabiemu przejść przez las, w którym ukrywali się chętnie opryszki. Dla bezpieczności włożył więc drogocenny kamień w kromę chleba, którą otrzymał od dobrych ludzi jako jałmużnę. Szczęśliwie docierał już do celu, gdy o stajanie od zamku obsiadła go sfora dzikich psów. Ratując swe członki od kalectwa, ciskać począł chlebem ukrytym w sakwie i zapomniał o upominku dla żony. Skoro się wydostał na bezpieczne miejsce zrozumiał dopiero co uczynił, ale psy jakby zapadły w ziemię. Opowiedział więc skruszony szpetną swą przygodę małżonce, a zacna pani rozeźliła się okrutnie i jęła mu czynić wyrzuty:

— Wierności ci dochowałam, zamknięcie znalazłeś nienaruszone i dobrze już zardzewiałe, co jest dowodem, że niepozwoliłam go poruszać. Wiedz o tem, że gdy podarunek twój psy zjadły to i psy zjedzą moją cnotę.

I odtąd wierności pełna hrabina przyjęła sobie kilku wielbicieli i zmieniała ich często, co przyprawiło pana de Chasseloup o wodną puchlinę, z czego niebawem umarł. Przyczyną zaś tego nieszczęścia był klejnot rzucony za psami.

Djament



JEGO NATURZE. Djament jest najkosztowniejszy ze wszystkich kamieni, a dla swych cnót wszelkich cenią go wszystkie narody. Arabowie zwali go „almas“, Grecy „adamas“, Indowie, u których się głównie znajduje, „iraa“, a Italowie „uno diamente“. Francuzi i Hiszpanie wysoko sławili jego moc i wytrzymałość ale obowiali się jego trucizny. Agricola w księdze 7. cap. 9. „O naturze kamieni“ nazywa go niezniszczalnym, Serapio w rozdz. 391. pisze, że łączy on w sobie dwie natury: zimną i gorącą. Zimnym zimno podwaja, a gorącym wzmaga gorącość; co należy tłumaczyć, iż mogą go nosić wszystkie osoby z wyjątkiem dziewic i młodzieńców, albowiem ci mają krew wartką i bardzo pochopną do rozgrzania.



JAMENT CZUŁY JEST NA WSZELKĄ INFLUENCJĘ I DŁUGO JĄ ZACHOWUJE. Słusznie mawiał kawaler de la Tour, że djament w wielkiej jest cenie u miłośników i siła jego zależy nietylko od wielkości i szlachetności ale także od ręki, która ją dawa, albowiem klejnot ten bardzo jest czuły na wszelką influencję i długo ją zachowuje. Wypraktykowano nawet wielu sposobami, iż ten, kto go dawa w upominku, winien pomyśleć, co chce uzyskać od osoby obdarowanej, a pewnie mu się spełni, chyba, że influencja jest ze wszystkiem niepomyślna, ale to się rzadko zdarza. O takim przypadku opowiadał lekarz króla Ludwika XII. Leciwy hrabia Trepizonty, o którym wiedziano, iż krew się w nim ścinała z wyparowania ciepła, ofiarował w zamiarach miłosnych pannie de Chasteauneuf djament wartości 1000 dukatów i nie wywoływał w niej żadnych afektów, choć tego pragnął. Przeciwnie, podarunkiem swoim sprawił, iż pannę nawiedziła taka oziębłość, że nietylko w niczem mu nie była powolna, ale na jego widok trzęsła ją zimnica. Miały jej to bardzo za złe panie dworu, aż wytłumaczył medyk królewski, iż zimnica panny de Chasteauneuf nie pochodzi od jej przyrodzonych humorów, ale od krwi hrabiego, którą przesiąkł djament. I aby zwalczyć złą influencję poradził pewnemu młodemu oficerowi ofiarować pannie djament znacznie nawet mniejszej wielkości. I zaraz przeszła zimnica i nastąpiło krwi ogrzanie, tak jako przewidział lekarz.



NOTY DJAMENTU W KAŻDYM DNIU SĄ INNE. W niedzielę, jako w dzień triumfu Zbawiciela najprzystojniej nosić djament. Wtedy moc jego jest największa a barwy najpiękniejsze. Djament używany w poniedziałki i wtorki traci znacznie swą siłę, chyba, że jest to w czasie uroczystych świąt: Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy, Zesłania Ducha Św., wtedy wydaje się osobliwie pięknym. W środę i w piątek staje się trującym, a w czwartki i soboty wzmaga odwagę męską.



JAMENT PRZYDATNY JEST WOJOWNIKOM. Filozofowie twierdzą, iż waleczni mężowie stroili się chętnie w djamenty a rycerze króla angielskiego Ryszarda stale go nosili, gdyż zdradził im pewien czarodziej maurytański, że zdobiąc się djamentem będą niezwyciężeni. Nie chciała temu dać wiary pani Klotylda i gdy mąż jej wyruszył na wyprawę, zabrała mu potajemnie pierścień, który zwykł był wkładać przed walką. Jakoż szlachetny rycerz nie powrócił z wojny lecz legł w pierwszej bitwie. Gdy król się dowiedział o przyczynie śmierci wiernego swego wasala i o niecnym postępku jego żony, kazał ją wrzucić do ciemnicy lecz nakłoniony przez swego spowiednika zmienił wyrok i wypędził z swego kraju złą żonę. Podobno umarła ona w klasztorze odkupiwszy postami i pokutą niecny swój uczynek.



TRUCIZNACH ZAWARTYCH W DJAMENCIE. Różne są zdania, co do trucizn zawartych w djamencie. Uczniowie Klaudiusa Saumesiusa chemika, twierdzą, iż uczony ten mąż, który napełnił świat cały wielką światłością, umarł skutkiem trucizny zawartej w djamencie. A stało się to z tej przyczyny, iż pan Saumesius twierdził uparcie, iż djament zażyty w proszku powraca młodość i czyni siły nie zniszczalnemi. (D. c. n.).

taniec



„Wsparłszy się na ramieniu Cezara, czuję, żem się oparła o świat“ *).

Pani Olga zamknęła książkę i położyła piękny owal twarzy na obu dłoniach, zamyślając się poważnie.

Tak podobno powiedziała Kleopatra po szeregu różnych kochanków, których gięła w cienkich, kapryśnych palcach, jak lalki z wosku i odrzucała później od siebie z grymasem nudy. Aż kiedyś przyszedł mężczyzna. Wtedy to Kleopatra, wsparłszy połyskującą pierścieniami i złotem rękę na muskularnym ramieniu Cezara — tak powiedziała. Pani Olga wie, że wiele bardzo mówi kobieta dla wywołania dużego efektu, ale żeby mieć okazję do takich słów, trzeba urodzić się królową i spotkać naprawdę mężczyznę. O jakże rzadkie są te oba wypadki!

Ta cudowna równowaga, którą w momencie powiedzenia musiała czuć Kleopatra!

Pani Olga odłożyła książkę. Już nie chce czytać, mądra poezja wywołuje refleksje i zupełnie niepotrzebnie pogłębia jej wymagania na temat mężczyzn. Za chwilę idzie na dancing. Niechętnie wyobraża sobie na jasnem tle ściany czarne kwadraty smokingów, wąski pasek krawatu przy białym kołnierzu, a nad tym starannie wygolone twarze z niewyzyskanem zupełnie miejscem na wyraz.

Pani Olga zna dobrze swoich partnerów, upijała się dotąd z duża pasją



*) Norwid: „Kleopatra“.

tańcem, winem i zapachem własnych perfum. Najsłabiej jakoś działały słowa tych panów, nigdy nie były dotąd na poziomie nietylko jej wymagań, ale nawet atmosfery tańca.

Pani mruży ogromne oczy. Może to były dotychczasowe kaprysy Kleopatry, a kiedyś przyjdzie i Cezar? Dość nieprawdopodobne, a może... Jednak dużo bardzo zmieniło się od tej pory, wprost zawrotnie powiększyła się ilość wynalazków, a zmniejszyła kultura użycia, ale mimo to trzeba koniecznie żeby stało się coś ważnego nareszcie i w jej życiu. W tym celu pani Olga siada przed toaletą. Starannie, wolno przedłuża kąty ogromnych oczów, przyciemnia długie rzęsy. Później pokrywa równo białym pudrem twarz i ramiona, a usta maluje śmiało na kolor bezwzględnie czerwony. W uszach zawiesiła dwie ogromne perły na migotliwym sznureczku brylantów i włożyła głęboko maleńki kapelusz z fontanną piór rajskiego ptaka, aż wreszcie mięko osunął się szlafrok haftowany w złote i srebrne ornamenty. Pani Olga stoi teraz przed lustrem w koszulce związanej srebrną wstążką i z uśmiechem słusznej pewności siebie otwiera flakon nowych perfum. Później czarna wąska suknia o zupełnie prostej linji tancerki egipskiej, sznurek ogromnych pereł na szyję, kilka złotych, czarnych i srebrnych kółek na obnażone ramiona. Nakoniec płaszcz i białe pachnące rękawiczki.

Jeszcze jedno wiecznie ciekawe spojrzenie w stronę lustra, jeszcze jeden piękny uśmiech dla próby samego uśmiechu, ten niezawodny blask śnieżnych zębów w czerwonej oprawie warg i tajemnicze, chłodne zmrużenie oczów.

Pani Olga wychodzi z domu. Odsuwając drobną ręką portjerę przy drzwiach, uśmiecha się teraz zupełnie inaczej z odrobiną grymasu na ustach i łagodnego buntu między cienkiemi łukami brwi.

Tak, stanowczo wygląda zbyt dobrze na to, co ją spotkać może—wystarczyłoby znacznie mniej mądrego wyrafinowania i szlachetnego sentymentu — a więcej czegoś nad czym wykwintna Pani nie zechce się nawet zastanowić.

Orkiestra gra dziwaczną, egzotyczną melodję.

Pani Olga z dużym wdziękiem sączy likier przez długą słomkę i z poza rzęs i patrzy na salę.

Bardzo uprzejmie nie słucha tego, co mówią dwaj panowie przy jej stoliku, mówią rzeczy nikłe, ale sylwety ich są dostatecznie dekoracyjne, aby chętnie wybaczyć rażące braki intelektu.

Na sali tańczą.

Światło lamp żółte, stłumione abażurami, zasnute dymem papierosów. Muzyka gra cicho, rytmicznie najnowszą melodję. pełną niepokojących akcentów. Tempo czai się, zamiera i nagle wybucha jak przenikliwy, nieopanowany niczem krzyk dzikiego człowieka w upalną noc podzwrotnikową. Jeszcze chwila, a o białe ściany dancingu powinien uderzyć zmysłowy śmiech bronzowej dziewczyny, błysną nad jest ustami białe zęby chłopca, zacisną się muskularne ramiona około gibkiego ciała i tańczyć będa nieprzytomni na tle szerokich liści baobabu, z poza których przeświecają, jak źrenice węża, zielone, spokojne wody Gangesu.

Nozdrza pani Olgi leciutko drgnęły i mrużą się długie rzęsy, a perły na białej szyi znagła ożyły, jak szereg krągłych oczów.

Ktoś przedstawia pięknego pana, który stanął przed nią pochylony w głębokim ukłonie.

Z poza mgły dymu papierosów, kobieta spojrzała na czekającego ją tancerza. Wygląda dobrze, nawet bardzo dobrze, od stóp do głowy wytrzymany w linji zupełnie „moderne“ — aż nazbyt może... no ale ta oszałamiająca reputacja najlepszego tancerza. Gorąca, pełna niepokoju muzyka, trochę wina w głowie i konieczna potrzeba tańca.

W takich warunkach ten pan jest zupełnie na miejscu.

Pani wstaje wolno bardzo, pamiętając aby każdy jej gest był doskonale harmonijny i, wdzięcznie przechylona w rytmicznej linji, opiera rękę na ramieniu pana, a pod kapeluszem z piór rajskiego ptaka rodzi się pełne pogodnej rezygnacji spotrzeżenie:

—Wiem już napewno, że nie stanie się nic ważnego dziś, ani pewnie nigdy, ale wsparłszy się na ramieniu dobrego tancerza mniej jednak tęsknię za Cezarem!

IRENA POKRZYWNICKA



Rysowała autorka

MALARKA—SZOFERKĄ

Noc. Okolice lasku Bulońskiego. Wracamy rozba= wieni w wesołem towarzystwie; szukamy auta. Zbliża się piękna limusina, prowadzona przez szo= fera o chłopięcym wyglądzie. Podajemy adres; przyglą= damy się szoferowi i budzą się w nas pewne wątpliwo= ści: do jakiej płci należy nasz szofer? Chłopiec czy dziew= czyna?

Po przyjeździe na miejsce, zapytuję:

„Czy pan nie jest kobie= tą?"

Lekki potwierdzający uśmiech. Przygladam się bli= żej; widzę, że ma oczy „sło= wiańskie", jak nazywają Francuzi jasne oczy, o smęt= nem, głębokiem wejrzeniu.

Zawiązuje się rozmowa; okazuje się, że ten „pan" jest Polką. Umawiam się na spotkanie nazajutrz w „Café du Dôme" na Montparnas= sie, stacji zbornej artystów i cyganerji z całego świata.

Przyszła punktualnie. Smu= kła, drobna, blada dziewczy= na, włosy krótko ostrzyżone, usta w niewesoły ułożone uśmiech, ruchy nieśmiałe, a mimo to zde= cydowane.

Widać odra= zu, że wie cze= go chce i to do czego dąży osiągnie z pe= wnością.

Dziwnemi kolejami to= czyło się jej życie. Urodziła się na Białej Rusi, od naj= młodszych lat pociągały ją dwie rzeczy: malarstwo i te= chnika. Rzeczy napozór wy= kluczające się wzajemnie, a mimo to w jej duszy układa= jące się w prze= dziwną harmo= nję. Kocha maszyny w pędzie; — kocha buhające loko= motywy, a chce i musi malować.

I oto „technika" daje jej zarobek — a w malarstwie znajduje ujście dla artystycznych przeżyć. Hołduje ku= bizmowi i widzi świat ze= wnętrzny w barwnych bry= łach, które z rozmachem i impetem przelewa na płótno.

„Jak sobie pani dała radę w wielkim a obcym dla niej Paryżu", — pytam w trakcie rozmowy.

Z najspokojniejszą miną odpowiada: „Przyjechałam z Rosji dopiero w zeszłym roku. Trzeba było żyć. Zna= łam trochę szoferstwo: posta= nowiłam więc zdać egzamin szoferski; potem, dzięki po= mocy przyjaciół, wzięłam so= bie na wypłaty samochód. Ponieważ malować można tylko w dzień — trzeba było szoferkę uprawiać nocami. Z początku ten tryb życia był trochę trudny, ale rychło przyzwyczaiłam się.

Niestety, doznałam jednak zawodu: wprost z kozła szo= ferskiego trudno było przejść do stalugi. Auto wymagało reperacji, pie= czołowitości, nie mówiąc już o tem, że by= wałam nieraz śmiertelnie zmęczona pę= dzeniem po tem wielkiem mieście i wy= stawaniem go= dzinami przed klubem angiel= skim, gdzie so= bie obrałam stały postój".

„I nic się pa= ni nie przytra= fiło w czasie tej „karjery"? Nie miała pani żadnych przy= gód romanty= cznych?"

Fedorowiczó= wna z prostotą



ZOFJA FEDOROWICZ
w ubraniu szofera



ZOFJA FEDOROWICZ W SWOJEJ PRACOWNI



Z. FEDOROWICZ MARTWA NATURA



Z. FEDOROWICZ MARTWA NATURA

ale nie bez melancholijnego rozczarowania powiada: „Nie, nigdy! Wszyscy myślą, że jestem chłopcem. Z tego też powodu klijenci moi, przeważnie starzy Anglicy, nie krępowali się w oznakach złego humoru i nieraz mi się coś „oberwało“ od nich! Głównym powodem niezadowolenia było to, że albo za prędko je chałam, albo nie zrozumiawszy z angielska wymówionej nazwy ulicy, pędziłam w zupełnie przeciwną stronę. Rzecz, która mi sprawiała prawdziwą przyjemność i nigdy nie żenowała, to były napiwki! Uczucia upokorzenia, którego się z początku obawiałam, — nie doznawałam wcale. Przeciwnie, z wielką satysfakcją liczyłam „pourboiry“. Wkrótce już nie będę miała tej satysfakcji. Samochód jest moją własnością; spłaciłam go co do grosza. Mam zamiar zgodzić szofera, którego będę posyłała na zarobek, a sama nareszcie będę mogła malować!“ Takiej koncepcji życia dla sztuki trudno odmówić oryginalności.

MIKA



Z. FEDOROWICZ RYCERZE

Paryż, w listopadzie.

W Paryżu

Wszystkie revues teatrów paryskich jak i music-hallów są poświęcone największej bolączce chwili— napływowi cudzoziemców. W jednej Djogenes szuka ze świecą prawdziwego paryżanina, w drugiej widzimy obóz ludzi bezdomnych, wygnanych ze swych siedzib przez cudzoziemców, w trzeciej pokazują za biletami na jarmarku prawdziwego autochtona, jako unikat, sławiąc jego zalety i t. d.

Są to okrzyki zbolałych serc, które chciałyby mieć Paryż dla siebie. Mógł się Paryż obronić przeed najazdem wrogów, ale ginie i zatraca swój charakter wobec inwazji murzynów z jazz-bandem i Anglików z autocarrami. Z każdego dancingu, z każdej restauracji lub kawiarni rozlegają się drażniące nerwy piszczałki i bębny, nawet niektóre sklepy wprowadziły sprzedaż przy dźwiękach muzyki (Bas Marny). Jest to plaga słuchowa łatwiejsza do zniesienia, niż widok dwupiętrowych autocarrów, napełnionych turystami angielskimi i amerykańskimi, które snują się dzień cały po mieście.

Co kilka kroków staje taki dom przed jakimś gmachem i guide angielski wykrzykuje przez olbrzymią tubę: to jest Joanna d'Arc, którą myśmy spalili na stosie, tu leży Napoleon, którego myśmy wywieźli na Elbę, to jest grób Nieznanego Żołnierza, którego myśmy pchnęli na front, aby bronił naszych interesów. Siedzący na wozie Coock'a Anglicy snują swoje sny o potędze, a Francuzi zgrzytają zębami, patrząc na sprzymierzeńców, którzy stają się najeźdźcami. Najkomiczniejsze jest to, że autocarry te snują się po mieście nietylko we dnie ale i w nocy, ażeby za 25 franków, *nie schodząc* z wozu, przyjrzeć się paryskiej Sodomie. A więc Montmartre... Monico, Rat Mort, Tabarin... i o dziwo nawet na lewym brzegu znalazły się szalone miejsca rozpusty, do których podjeżdżają co wieczór po cichu wielkie wozy Coock'a, ażeby przyjrzeć się jak piją kawę artyści w Café de la Rotonde, skromnej do niedawna malarskiej knajpce uczęszczanej jeszcze przed wojną przez Polaków, albo jak tańczą w Jokey'u.

Niewiadomo czemu przypisać sławę tego ciasnego brudnego sklepiku, gdzie na kilkumetrowej przestrzeni tańczy kilkanaście stłoczonych par z werwą i humorem. Wyfraczeni panowie zaglądają tam co wieczór, opowiadając sobie na ucho, że nawet książę Walji był w tym lokalu. Czyżby sensację stanowiło to, że tu tancerz (malarz, poeta lub drobny commis) ponosi koszty zabawy lub nawet daje pieniądze swojej petite amie, podczas gdy wykwintna dama z Claridge'a lub Ermitage'u po skończonym tańcu dyskretnie wsuwa banknot stufrankowy w rękę zamówionemu przez siebie danseur'owi. Jest to jeden z objawów braku mężczyzn. Nadprodukcja kobiet daje się zauważyć wszędzie: w kawiarniach, na ulicach, w teatrach, music-hallach, dancingach i sklepach.

Staje się to tak aktualną bolączką, że miarodajne sfery zastanawiają się poważnie nad importowaniem mężczyzn z państw północnych. Niezadługo będziemy mogli zapewne rozwinąć ten nowy handel żywym towarem.

Ta niesłychana podaż kobiet uderza też na scenach teatrów i teatrzyków, szczególniej zaś w revue, gdzie obowiązkowo w każdej scenie kilkadziesiąt par nóżek kobiecych musi migać w powietrzu.

Widz siedzący w krzesłach ma ciągle wrażenie, że nogi te (ale jakie nogi) są prawdziwemi filarami widowiska, do nich dorabia się kostjum, głowę, dekorację, muzykę, wogóle wszystko. Zresztą revues te są głównie przeznaczone dla cudzoziemców i starają się przemawiać najzrozumialszym dla wszystkich językiem: przepy-



FERNANDE DIAMANT
w jednym z pięknych swych kostjumów
Fot. Isabey, Paryż



CHARAKTERYSTYCZNA WYSTAWA NÓŻEK PARYSKIEJ REVUE



Fot. Walery

MISS MARION WITHMORE
jedna z pięknych tancerek Casino de Paris

chem wystawy i nagością. Nagość ta jest bar= dzo śmiała, ale podana w tak artystycznej for= mie, tak przyćmiona jaskrawemi światłami, które nic nie oświetlają i bogactwem kostju= mów, które nic nie przykrywają, że najskrom= niejszy purytanin tonie w zachwycie.

Zresztą w music=hallach na wzór amerykań= ski występują nawet gwiazdy poważnych te= atrów, jak naprzykład Simone w revue Alham= bry. W Palace zaś ściąga tysiące widzów ulu= bienica Paryża Raquel Meller, słynna odtwór= czyni Violeterry, nic nieznaczącej piosenki, któ= ra w wielkim triumfie obiegła obie półkule. Z niebywałym wdziękiem i iście hiszpańskim temperamentem przeobraża się ona w coraz to odmienny tym kobiety hiszpańskiej i rzuca w tłum razem z fijołkami strzały z napisem: „Yo t'aime". Strzały te widocznie zatrute są



Fot. Walery

MISS FRANCE WITHMORE
jedna z pięknych tancerek Casino de Paris

jadem miłości, gdyż cała pu= bliczność zostaje pod jej uro= kiem.

Pomimo oblężenia tej chwi= lowej królowej pieśniarek, udało mi się uzyskać z nią chwilkę rozmowy, podczas której zade= dykowała „Pani" swoją fotogra= fję i zdradziła trochę projektów na przyszłość. Utrzymuje ona, że estrada dała jej już dość wra= żeń, dziś pociąga ja głównie film: kilka już poszło w świat, z których jeden pod tytułem „Violeterra" miał niezwykły suk= ces. Dziś pracuje nad nowym filmem, którym obiecuje sobie zrobić wielką sensację. „La terre promise", taki jest jego tytuł, oparty zaś jest na tle życia emi= grantów polskich w Ameryce.

Drugą gwiazdą kabaretową, którą udało mi się zaintereso= wać naszem pismem, jest Sta= nisława Napierkowska, która nanowo czaruje Paryż swoją



Fot. Mamel Frères

EDMONDE GUE
gwiazda Casino de Paris
pierwsza zjawiła się na scenie berlińskiej z gałązką oliwną

smukłą figurką i cudną buzią. Przejrzała egzemplarz z wielkiem zadowoleniem i z przemiłym uśmiechem rzekła: „Szkoda, że z całego pisma zrozumiałam tyl= ko tytuł „Pani", t. j. madame, ale cóż, chociaż pochodzę z ro= dziny polskiej, bo dziadek mój mieszkał jeszcze w kraju, nie nauczono mnie mego rodzime= go języka".

„Pani" przypadła jej bardzo do gustu i obiecała dzielić się z nią wrażeniami swej podróży po Ameryce, którą właśnie przedsiębierze. Jest ona od sze= regu lat gwiazdą paryskiego fir= mamentu teatralnego, choć co miesiąc zjawia się nowa kome= ta, która błyśnie i zgaśnie czę= sto po jednym sezonie. Do tych ostatnich należy: Edmonde Gue i Fernarda Diamant, które bu= dzą ogólny zachwyt — niewia= domo tylko czy na długo.

HEL. ZMIG.



Fot. Sobol, Paryż

RAQUEL MELLER

ZNAKOMITA PIEŚNIARKA

ODTWÓRCZYNI SŁYNNEJ VIOLETERY



RAQUEL MELLER

ulubienica Paryża, jest nietylko znakomitą pieśniarką ale i zdobywa sławę pierwszorzędnej gwiazdy kinowej. Najnowsza jej kreacja w „Ziemi Obiecanej", jak i poprzednia „Fijołek Królewski", napewno objedzie świat cały

Fot. R. Sobol, Paryż



FERNANDE DIAMANT

jedna z najpopularniejszych obecnie tancerek kabaretowych, podbiła Paryż swoją urodą i wdziękiem, jak również pomysłowością swych niezwykle artystycznych kostjumów

Fot. Isabey, Paryż



Fot. R. Sobol, Paryż

STANISŁAWA NAPIERKOWSKA

w swej ostatniej kreacji z revue teatru Ambassadeur

Krótkie Włosy

„Czasy się zmieniają, a my wraz z nimi".

Warszawa jest młodszą siostrą Paryża. Warszawianka wpatruje się w niewiasty z nad Sekwany, i, jak barometr czujna, instynktem swym kobiecym raczej przeczuwa niż wyczuwa modę paryską i jej kaprysy. Niekiedy jednak czujność ta przybiera charakter podejrzliwości: „Nie może być—słyszałam w Warszawie — aby Paryżanki nadal nosić chciały krótkie włosy. Nie wierzą Warszawianki, że kapryśna moda paryska przez kilka sezonów czcić może tych samych bożków i mają naogół rację przewidujące panie. Tym razem jednak zmyliło je samo ujęcie sprawy: krótkie włosy Paryżanek nie są kaprysem mody, lecz wynikiem całego szeregu przyczyn daleko głębiej sięgających. Zmieniły się czasy i zmieniły się kobiety. Epoka nasza żąda od każdej jednostki natężenia energji, czy to w pracy twórczej, czy wykonawczej, czy nawet w sporcie. Kobiety stanęły w szeregach. Istnieją kobiety dyrektorki banków i we wszystkich prawie zawodach współzawodniczą one z mężczyznami. To zrównanie obowiązków, dążność do zrównania praw wymagają od kobiety wielkiej prostoty stroju, a co za tem idzie, chociażby jako dopełnienia do stroju, prostoty uczesania. Stąd bierze swój początek zwyczaj obcinania włosów i jest on w praktycznej Ameryce niemniej przyjęty, niż w Paryżu.



Dlaczegożby kobiety miały powrócić do tego, czego się tak chętnie wyrzekały? Krótkie włosy są nietylko wygodne, hygieniczne, są one prawie zawsze ozdobą nadzwyczajną, harmonizują z ogólnie uznaną linją chłopięcą, dodają kobiecie wdzięku młodości, uroku jakiejś zalotnej gaminerji.



Wszystkie te pobudki, piękne Warszawianki, powodują, że ostatnie Mohikanki długowłose składają swe szczupłe warkocze na ołtarzu rozsądku, mody i wdzięku. Pamiętna jednak obaw zasłyszanych w Warszawie, udałam się do mistrza mistrzów fryzjerskich, rodaka naszego w Paryżu, samego pana Antoine, aby dowiedzieć się, jakie horoskopy stawia ten twórca nowych mód w kunszcie fryzjerskim.

Antoine był podobno ongiś rzeźbiarzem, ale dziś robi wrażenie artysty, gdy kilku ruchami zręcznych rąk układa włosy swych zachwyconych klijentek. Otoczony jest żądną rad i gotową do posłuszeństwa kobiecością, ale opornym się być wydaje na wszelkie pokusy i pozostaje zawsze tylko twórcą i kapłanem mody.

„Czy kobiety zaczną nosić znów długie włosy?" pytam, patrząc na te eleganckie panie w małych kapelusikach i o męskim prawie profilu, „Przenigdy" odpowiada z głębokiem przekonaniem ten znawca kobiet, włosów i Paryża. W dalszym toku rozmowy zaznacza jednak Antoine, że daje się zauważyć wśród kobiet istotnie eleganckich pewna chęć urozmaicenia, że gładko, po chłopięcemu w tył zaczesane włosy przestają już je zadawalniać do strojów wieczorowych i balowych. Antoine pochwala te dążenia pań, bo o ile dbając o efekty Paryżanka zmienia strój swój poranny na poobiedni, a poobiedni na wieczorowy, to dlaczegóżby nie miała ona przedewszystkiem starać się o urozmaicenie w wyglądzie i kształcie głowy? Lecz do tego zbytecznem jest by miała długie włosy. Z krótkich włosów sztuka fryzjerska może stworzyć uczesania o największej prostocie, ale też o największem wyrafinowaniu. Za pomocą loków układanych z własnych włosów, za pomocą warkoczy zręcznie dobieranych, a przedewszystkiem za pomocą grzebieni i innych ozdób osiągnąć można fantastyczne i nader efektowne uczesania.



Tyle p. Antoine, któremu wierzyć należy już chociażby dlatego, że z całego świata otrzymuje on prośby o wskazówki i dyrektywy i jak wyrocznia odpowiada wszędzie: „krótkie włosy"!



W każdym razie co do następnego sezonu zimowego, to nie ulega żadnej kwestji, że młoda i elegancka kobieta o długich włosach uważana będzie w teatrze lub salonie paryskim za ekscentryczną, a ogół kobiet zjawi się w krótko obciętych i gładko zaczesanych włosach. Niech się więc pocieszą te wśród Warszawianek, które już włosy obciąć zdążyły, a te bardziej chwiejne i ku Paryżowi zerkające, polegać mogą na opinji Antoina.

Paryż, w listopadzie.

ZOFJA KR...



NIECO O PANACH



Wielką jest przestrzeń dzieląca nas od Londynu, stolicy mody męskiej, ale różnica w wyglądzie zewnętrznym gentelman'ów z *City* i naszych krajowych *„dandy"* jest jeszcze większą.

Dzieje się to przedewszystkiem dlatego, że mody londyńskie dochodzą do nas via Paryż — Berlin, co nie wychodzi im na dobre.

Mam na myśli ową tendencję do przestylizowywania sylwetki, pociągającą za sobą nieuniknioną przesadę, tak właściwą ludziom pretensjonalnym i nieumiejącym się ubrać. Popularyzowanie owych „krzyków mody", tworzącej się w nieco podejrzanej sferze *vordancer'ów* dancingowych Paryża i Berlina, nie leży w zamiarach „Pani", tembardziej, że są one u nas niemniej popularne od Titiny i że ubrać się w tym sensie można u każdego tandeciarza ze Ś-to Krzyskiej.

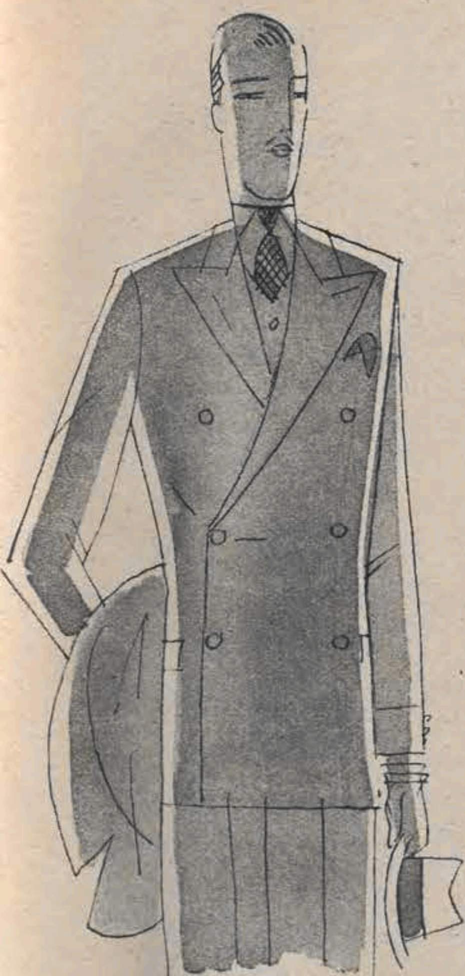
Cały ten watowany, pudrowany i perfumowany romantyzm współczesnych *Incroyabl'ów*, wyrażający się w owych cudacznych paltach z wąziutkiemi paseczkami, malutkiemi, daleko rozstawionemi guziczkami, za nisko zapinanych marynarkach, za wysokich aż pod brodę kamizelkach, *Cow-boyskich* kapeluszach, cały ten zniewieściały wykwint męskiego półświatka, leży poza nawiasem dobrego tonu, zdradza odrazu pochodzenie, sferę, no i... rozum tak ubranego Pana. Przypominają się słowa lorda Chesterfielda: *„Tout affectation dans l'habillement annonce, ce me semble, un defaut dans l'esprit". „La difference, entre un homme de sens et un fat, c'est que le fat s'estime a cause de ses habits, et que l'homme de sens s'en moque, tout en sachant bien qu'il ne doit le negliger".*

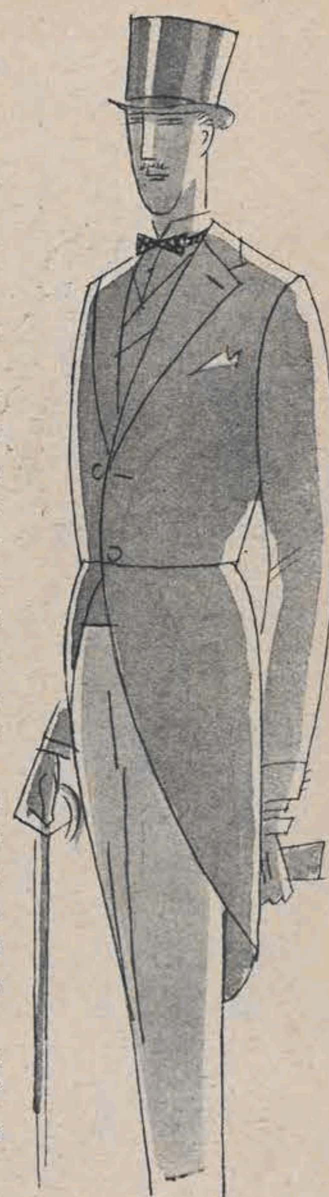




W danym wypadku, strojenie się, jest niemniej kompromitujące od zaniedbania. Londyn się nie stroi Londyn się tylko ubiera. *„The essence of chic is simplicity"*—mówią Anglicy—to też wytworność ich pełną jest prostoty, a prostota pełna smaku, udoskonalonego poczuciem komfortu i praktyczności.

Arystokratyzm mody angielskiej ma dużo taktu demokratycznego, a arogancki *„dandy"* i ośmieszony *„snob"* z klubów „Savoy" i „Abermale" skończył się jeszcze w początkach wieku XIX-go, ustępując miejsca uzdrowionemu sportami *„gentleman'owi"*. Obecny





książę Walji jest tego żywym dowodem. Linja mody od czasów księcia Regenta, jest raczej ewolucyjną, to też zmiany przychodzą prawie niedostrzegalne. Strój dzisiejszy ma w sobie jeszcze dziś wpływy lordów Ra=glana, Mac Intocha, Derby no i króla Edwarda VII. Bądźcobądź w sprawie dystynkcji ubrania, mam do nich więcej zaufania, niż do profesjonalnych dancerów z *Broadway'u, Montmartré'u* lub *Friedrichstrasse*...

Mody, lansowane obecnie przez sklepy *„Strandu"*, mało się właściwie różnią od zeszłorocznych.

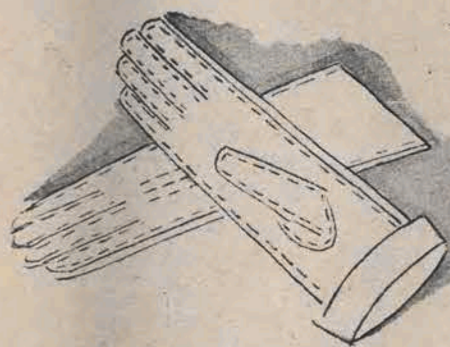
Popularne *„Hamburgi"* (kapelusze szaro=filcowe z czarną wstążką) mają ronda bardziej wałkowate i główkę nieco szerszą. Palta zdradzają tendencje do większej wysmukłości. Marynarki są krótsze, a spod=nie nieco szersze. Kolory dominujące — ciemno=szary i granat. Futra z czarnego sukna przybrane karakułami *(Persiam lamb)*. Linja zlekka wcięta. Przy żakiecie (obowiązującym na oficjalne wizyty, śluby, widowiska sportowe) noszone są dwurzędowe, naukos zapinane, u dołu równo ścięte kamizelki. Do żakietu obowiązuje cylinder i białe lub piaskowe getry.

Przy ubraniach dziennych noszoną jest miękka bie=lizna. Jedwabne koszule i pończochy są w złym tonie i używane są przeważnie pod zwrotnikiem. Bielizna i krawaty są jedynym żywszym w ubiorze akcentem. Czerwony z niebieskim *(Guard)* i buraczkowy *(beet=root)* są dziś najmodniejsze. Modne są też bardzo kraty.

Lakierki prawie wyszły z użycia, obuwie matowe noszone jest nawet wieczorem. Klasyczne *„Braques"* (obuwie typu sportowego) mają często podeszwy z gu=my indyjskiej.

Do rzeczy modnych należą rękawiczki ręcznie szy=te z widocznym szwem, długie, miękkie szale i ciągle jeszcze noszone wyraźnie wydłużone kołnierzyki. Nie trzeba jednak zapominać, że gentelmen niekoniecznie idzie z modą — idze on raczej koło mody.

J. Z.









MODA OBCISŁA I KRÓTKA



Kostjum z wełny Kasha, czarny z białym w kratę, przybrany oposami

Kostjum z bronzowego velour'u, haft popielaty i przybranie z chinchilli

O przygodzie Heraklesa, który znalazł się raz w swojem życiu na rozstajnej drodze, wie każdy i prawie każdy zrozumiał już sens moralny tej przypowiastki. O tem jednak, że pani moda przed rozpoczęciem sezonu (a dzieje się to najmniej cztery razy do roku) stoi bezradna na rozstaju i biedzi się, co wybrać z rozlicznych projektów i na jakie zdecydować się odmiany, nikt nigdy nigdzie nic nie napisał i nikt nie ubrał tego w szatę legendy. Może dlatego, że również znalazł się w rozterce, jakiego kroju ma być taka szata...

Problemat to jednak ważki i pani moda biedzi się i tonie w zadumie jak heros grecki: czy zostać przy smukłej linji, przy sukni-woreczku, w której mieścić się powinny kruche i łomliwe kosteczki vulgo „ciało" niewiasty, czy też pofolgować nieco, by i te, które ku rubensowskim skłaniają się rozmiarom, mogły przyzwoicie oblec swoją sowitą doczesność.

Ha—trudno! Moda już jakby postanowiła na niekorzyść żywej wagi. Musicie, kochane czytelniczki, zająć jaknajmniej miejsca na fotelu, krześle, kozetce i w łóżku. Trzeba—zanikać! Bo tylko w takiem resztkowem stadjum bytowania można nosić obcisłą i krótką sukienkę, co mówię, nie sukienkę a koszulinkę bez paska, z metalicznej lamy, czy jakiegoś innego barwnego i łyskliwego gałganka, zdobionego futerkiem, piórami lub dżetem.

Tylko na granicy szkieletowości znajdująca się pani może się owinąć w obcisły płaszcz, bramowany futrem, lub płaszcz futrzany. Wysoka kryza stuartowskiego kołnierza otuli głowinę i zmizerowaną buzię. Mizerji tej można jedynie zapobiec małem laboratorjum szminek, ołówków, pomadek i t. p. pomocniczych artykułów.

Mężczyźni, którzy to wszystko oglądają w stanie najstaranniejszego wykończenia, mogą okazać jedynie zachwyt i zdumienie dla powszechnych zdolności plastycznych pań, gdyż każda potrafi wymalować, ulepić, wymodelować autoportret bez zarzutu.

Moda wybrała więc jak zawsze to, co zadowoli cały świat, co idzie po linji politycznej smukłości. Jest bowiem i oddźwięk hiszpańskiej klęski w szalu i wachlarzu, jest picassowaty gest z riberowskim marokanizmem. Bo pasiaste materjały są riffkabylowskie, a te kraciaste (mijające już) znowu coolidge'owskie opiewają zwycięstwo.

Poczekajmy, a wkrótce i reymontowska rozpocznie się era i nasze chłopki dostarczą motywów francuskim chuderlaczkom, które na gwałt poddadzą się tuczeniu, by jaknajszybciej przybyło to, co ubyło.

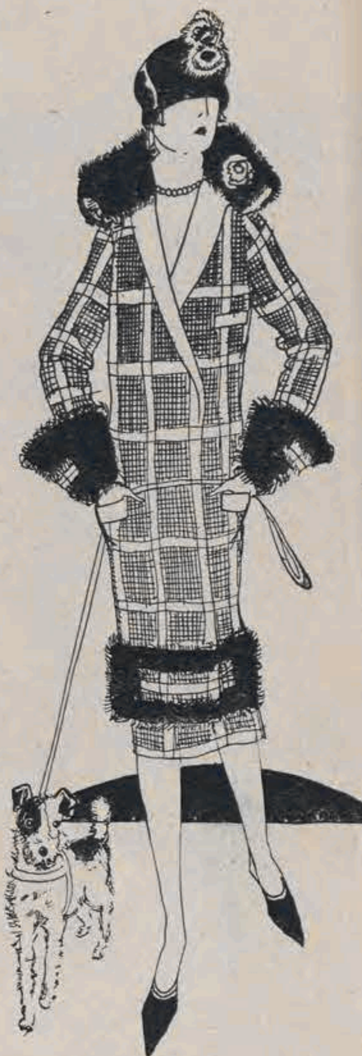
Nagroda Nobla może temsamem mieć w tym roku wielkie zasługi społeczne, w każdym razie powoła do życia w dziedzinie mody skądinąd dobrze znaną i stosowaną zasadę: od przybytku głowa nie boli.

Tak, jak w tej chwili przedstawia się moda, trudno przewidzieć, czy nie dokona się rewolucja nieomal w wigilję karnawału. Narazie wciąż jeszcze ratuje sytuację „cielistych" pań suknia pseudostylowa, bo w cieniu krynolinki można niejedno ukryć.

Empirowate próby podniesienia stanu do wysokości, w której już dawno zaczęła się inna dziedzina aktu kobiecego, nie przyjęły się, narazie bowiem t. zw. stan jest w stanie bezstanowości, inaczej mówiąc, niema stanu, a jest idealna równość, ba, nawet deklaracja praw człowieka i obywatela nie przewidywała takiej „égalité".

Przyznaję się, że ze słów tych przemawia pewna gorycz, bo autorka niniejszego feljetonu konserwatywnie i (wbrew swej woli) wytrwale trzyma się trójwymiarowości, nie tracąc nadziei, że i dla niej wybije kiedyś godzina triumfu. Liczę na laureata Nobla.

NINA

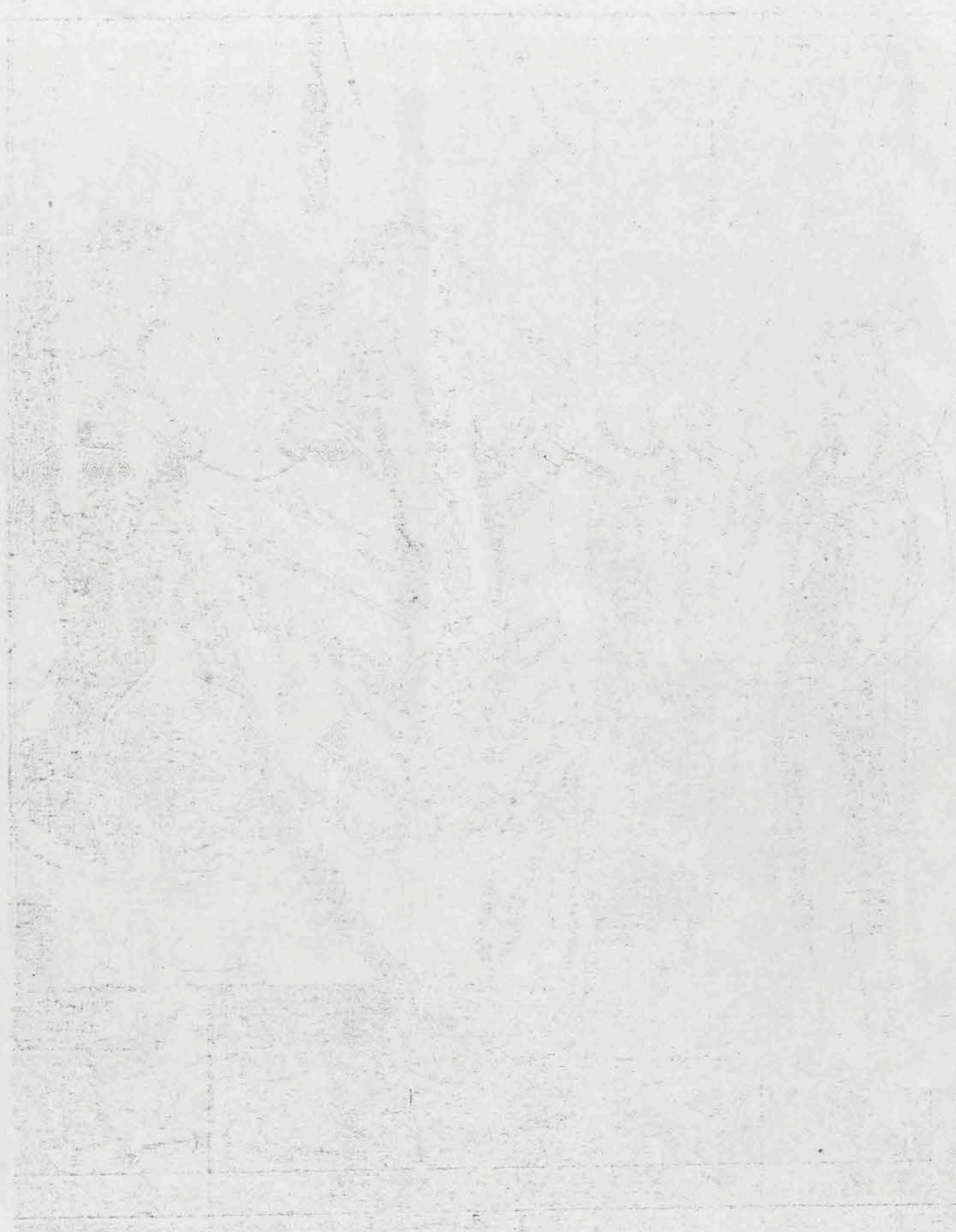


Kostjum sukienny w kratę aplikowaną z jedwabiu, przybrany fokami



„ODWIECZNA ARLEKINADA"

PRZEZ TADEUSZA GRONOWSKIEGO.





MODELE FIRMY „LUDWIKA"

NOWY-ŚWIAT 41



Fot. Manuel, Paryż

Suknia z lamy starosrebrnej z koronką tegoż koloru obszytą imitacją lisa
Model Brandt'a, Paryż



Fot. Manuel, Paryż

Camille Calvat z teatru Commartin w sukni z białej tafty na czarnym spodzie





Fot. Manuel, Paryż

Płaszcz z brokatu czarnego ze srebrem, obszyty imitacją chinchilli
Model Brandt'a, Paryż



Fot. Manuel, Paryż

Płaszcz z brokatu malinowego obszyty srebrnym lisem
Model Brandt'a, Paryż



Fot. Rahma, Paryż

Suknia z białego crèpe satin, haft czarny przechodzący w kolor popielaty, obszyta futrem czornem

Suknia ze srebrnej lamy plisowanej, inkrustacje z koronki. W pasie duże srebrne kwiaty



Suknia ze srebrnej koronki, w dole klosze haftowane czerwonemi pailletami i obszyte futrem.

Suknia z lamy czerwonej i z lamy srebrnej w kwiaty, w dole lama srebrna plisowana i inkrustacje z kwiatów

Kostjum z gabardiny popielatej, przybrany futrem tegoż koloru



Kostjum z czarnego repsu obszyty chinchillami



O PANIACH I O MODACH

Gdy ludzie obarczeni walką o byt myślą o życiu pań, jeżeli nie swawolnych, to w każdym razie swa=wolnie zrzucających z siebie obowiązki oprócz tego jednego jedynego, być światową damą, to pomimo woli zadroszczą im ich dolce farniente. Lecz nie wie=dzą oni, lub zapominają, że dążenie to, jak każde inne, połączone jest z całym szeregiem trudności do zwal=czenia, że moda jest boginią kapryśną i wymagającą i że wyznawczynie jej nieraz ciężkie prowadzą życie. Bo któż nadążyć może za wszelkiemi zachciankami i przeczuć wszelkie kaprysy tej tak niestałej bogini? Tutaj, w Paryżu zaś, gdzie bogini Moda obrała sobie siedzibę, ma swe świątynie i swych kapłanów, zada=nie to nietylko nie jest łatwiejsze, ale przedstawia ra=czej większe jeszcze trudności. Wszelkie nowe obja=wienie jest bowiem tutaj w tej chwili rozmaicie ko=mentowane, wszelka nowa prawda wykoszlawiana na=der szybko, i co wczoraj było udziałem wybranych, dzisiaj staje się przywilejem ulicy. Być kobietą praw=dziwie elegancką, w odróżnieniu od kobiet dobrze ubranych, jest w Paryżu zadaniem bardzo trudnem,

Suknia z bronzowej fulgurante pokrytej złotą koronką haftowaną w zielone i niebieskie kwiaty

Płaszcz ze złotej koronki haftowanej w duże kolorowe kwiaty, w dole obszycie z futra i plisowana koronka



Suknia biała ze świecącego satin, cały pancerzyk haftowany srebrem, pailletami i brylantami

Suknia z crêpe-satin popielago, w dole frendzla popielata w drukowane kolorowe motywy

Kostjum z sukna czarnego z białym haftem



Kostjum z czarnego ottomanu przybrany imitacją chinchilli



a ambicję uchodzenia za kobietę wybitnie elegancką, zwracającą na siebie uwagę przez swą elegancję, nazwać można szaleństwem. A jednak dążą do tego celu niezmordowanie setki, a nawet tysiące kobiet i życie ich nie jest nietylko słodkim bezczynem, lecz stałym mozolnym wysiłkiem. Najbardziej zaś podniecającą chwilą, chwilą, w której piękne panie, jak waleczni żołnierze, natężają siły, aby okazać się na wysokości zadania, taką chwilą decydującą jest początek nowego sezonu.

Codziennie o godzinie 3-ej popołudniu w pięknych, prawie pałacowych salonach przed oczami paryżanek defilują w nieskończenie długich szeregach manekiny, — to wielcy krawcy paryscy zaznajamiają klijentki z wynikiem swych wysiłków wakacyjnych. Każdy z nich uważa się i uważany jest za kapłana mody, każdy więc przemawia innym językiem, w rezultacie zaś wytwarza się kompletny chaos. Wystrojone, uśmiechnięte, ale czujne i natężone, z karnecikiem w ręku starają się panie zorjentować w tym chaosie wrażeń i wyłowić to, co dla każdej z nich jest najdogodniejszem i co im się wydaje szczytem mody, szczytem wdzięku i szczytem elegancji.

Od lat kilku Paryżanki starają się zachować sukienki o linji prostej, podobne do koszulek, które wraz z krótko obciętemi włosami tworzą sylwetkę prawie chłopięcą. Krawcy jednak i inni twórcy mody, widząc że nie uda się odrazu tendencji tej zwalczyć, starają się powoli za pomocą mniejszych i większych uchy-



Palto plisowane z bronzowego crèpe satin, przecięte gładkiemi plisami i przybrane futrem bronzowem

Suknia granatowego crèpe marocain przybrana gronostajami;

Suknia czarna z crèpe de chine'u przybrana czarną plisowaną koronką

Kostjum z popielatego sukna przybrany kratą z futra w dwóch tonach: popielatego i czarnego

Palto z czarnego aksamitu przybrane popielicami

Palto piaskowo-żółte obszyte futrem tegoż koloru





leń wpłynąć na zmianę upodobań. To też zauważamy w tym roku lękliwie i ostrożnie robione zmiany, n. p. suknie i palta ku dołowi zlekka kloszowe, suknie o zlekka podkreślonych biodrach, lub drapowane. Istnieją też wysiłki bardzo śmiałe, jak np. próby niektórych magazynów wprowadzenia strojów, przypominających bardzo styl directoire.

Zasadniczo króluje jednak jeszcze ogromna prostota linji i cały wysiłek twórczy skierowany jest na szczegóły stroju. Materjały używane są jaknajbogatsze, przeróżne aksamity i jedwabie wręcz do brokatów, które noszone są obecnie już nietylko wieczorem, ale z których robione są też suknie poobiednie. Co do kolorów, to widać obecnie bardzo wiele sukien wieczorowych białych i z materjałów jasnych o delikatnych odcieniach, ale nie brak też sukien czerwonych, a czarna suknia poobiednia lub wieczorowa utrwaliła się na dobre. Zaznaczyć jednak trzeba, że o ile hafty metalowe, z nitek metalowych, perełek, dżetu, kamieni barwnych wogóle są bardzo modne, to przy czarnych sukniach wieczorowych wydają się wprost nieodzowne, tworząc egzotyczne, barwne, świecące wzory, węże i znaki prawie że apokaliptyczne.

Cechą dość charakterystyczną nowej mody jesiennej są wysokie, a nawet bardzo wysokie kołnierze u sukien porannych i poobiednich i to zarówno z materjału samej sukni, jak z futra, lub też z szalu. Wogóle szale, o których myślano, że należą one już do przeżytków, powróciły i tworzą, jak zaznaczyliśmy, kołnierze, niejednokrotnie rękawy sukni, lub są, jak dawniej, ozdobą ciemnej jedwabnej sukienki-koszulki. Te poobiednie sukienki, bądź jedwabne, bądź aksa-



Suknia z granatowej wełny przybrana galonem kolorowym i popielatą koronką

Suknia z granatowej gabardiny, zapięta pod samą szyję, boki plisowane drobniutko.

Suknia z marocain beige, dół tuniki zakończony trzema rzędami plisowanych falbanek w różnych tonach aż do bronzowego koloru spodu

Modele pierwszorzędnych domów przez paryzką rysowniczkę specjalnie dla „Pani" szkicowane



Palta z bronzowego fulguranto z futrem bronzowym



Palto z czarnego sukna, nakładane kwadraty z gronostajów

mitne są niejednokrotnie powtórzeniem jakby podszewki palta, zlewając się z nim w jedną całość. Palta zachowały bądź linję prostą, bądź są kloszowe; są przeważnie ozdobione futrem, zarówno jak i kostjumy, mające naogół żakiety długie lub prawie że zupełnie długie, chociaż niektórzy krawcy starają się wprowadzić też kostjum zimowy krótki przybrany suto futrem. Futra są teraz nader często łączone z materjałem w tym samym kolorze, tworząc oryginalne bardzo palta. Są to bądź żakieciki futrzane przechodzące w materjał, bądź też odwrotnie, a czasami rękawy i kołnierz jedynie są z futra; połączeń takich jest bardzo wiele i są nader różnorodne. Noszone są przeważnie futra tygrysie i karakuły, ale prawie wszystkie rodzaje futra mają prawo istnienia.

Do sukien wieczorowych, jako ich uzupełnienie noszone są pantofle z brokatu malowanego i haftowanego aksamitu, wogóle barwne i jaskrawe. Na ulicę zaś noszone jest coraz bardziej obuwie angielskie prawie sportowe. Nic właściwie dziwnego, ponieważ sport zaczyna coraz bardziej wchodzić w modę i światowa dama do garderoby swej zaliczyć musi prosty w linji, a teraz też coraz spokojniejszy w kolorze kostjum sportowy.

Czy paryżanka ma jednak czas na uprawianie sportu? Nie śmiejmy się, pomijając bowiem setki obowiązków światowych, które rozpoczynający się sezon nakłada na kobietę z towarzystwa, to samo zadanie zorjentowania się i stąpania pewną nogą w dziedzinie mody zajmuje ogromnie wiele czasu i los eleganckiej paryżanki nie jest tak bardzo godzien pozazdroszczenia.

ZOFJA KRAMSZTYK

Paul Poiret o sobie

Jakie niespodzianki szykuje nam Poiret w swoim nowym pałacu? Nikt nie umie powiedzieć w jakim kierunku pójdzie jego niewyczerpana fantazja, fantazja, która czerpie swą oryginalność w genjuszu twórczym. Gdyż twórcą był on zawsze i jest nim zawsze.

Wychowany w duchu czystego klasycyzmu, zrozumiawszy lepiej niż ktokolwiek jakie skarby można z niego dla mody wyciągnąć, był on pierwszym, który powiedział, że czas jest wyzwolić się z prawideł panujących i szukać nowej orjentacji.

Zrywając z tradycją, na której wzorowała się niezmiennie moda ostatniego stulecia, poszedł Poiret w nowym kierunku, burząc to, co było dotychczas.

Wszystkie jego czyny i idee, logicznie powiązane przy pozorach oryginalności, dążą do jednego celu.

Świat mody Paryża obracał się od pół wieku między ulicą Royale i Operą. Poiret uważa to tło za niewystarczające i przestarzałe. Daje skok na Pola Elizejskie i otwiera drogę nowym ludziom, pociągając za sobą kilku młodych, którym jego śmiałość dodaje odwagi. Myśl jego okazuje się słuszną, bo Pola Elizejskie stają się powoli centrum mody i przemysłów zbytku.

Pierwsze inowacje Poireta tyczą się dekoracji wnętrza i umeblowania. Trzeba rozpocząć od tła, jeśli się chce rzeczywiście zreformować treść. — Wyblakłe odcienie, spatynowane złoto — to przeszłość. Trzeba nam czegoś nowego, trzeba nam światła i zwłaszcza całej gamy kolorów: jest to prawdziwa rewolucja, którą kładą na karb oryginalności. „Ten oryginał Poiret posuwa się za daleko — mówią z uśmieszkami — lecz czekajmy końca".

A koniec pośpieszył uwieńczyć dzieło odnowienia do tego stopnia, że sami rywale Poireta zmuszeni byli go naśladować. Dziś idee „tego oryginała Poireta", przeważają w urządzeniach „maisons de couture" i instalacjach wyrobów zbytku. Naśladują go, lecz nie mogą go dogonić, gdyż wyprzedza on innych w tworzeniu nowego, w poszukiwaniach harmonji form i kolorów.

Poiret czci niemal bałwochwalczo formy klasyczne, stroi je i ubiera po to, by je uwydatnić, by je wielbić nowemi środkami.

Ta zasada dominuje w każdym nowym jego pomyśle.

Kształty ciała kobiecego, piękno i doskonałość przyrodzona, ginęły pod stosami materjałów ułożonych w krynoliny, w „paniers", w tiurniury: z kobiety widoczna była tylko twarz, i przy wielkich uroczystościach i trochę biustu. Wielkie zasady przyzwoitości tak zadecydowały. Mniejsza z tem, że ciało ściśnięte gorsetem, zmęczone przez metry ciężkich materjałów, deformowało się i degenerowało. Mniejsza też o nieśmiertelne modele sztuki klasycznej, wielbiącej piękno kobiece w najprostszym stroju.

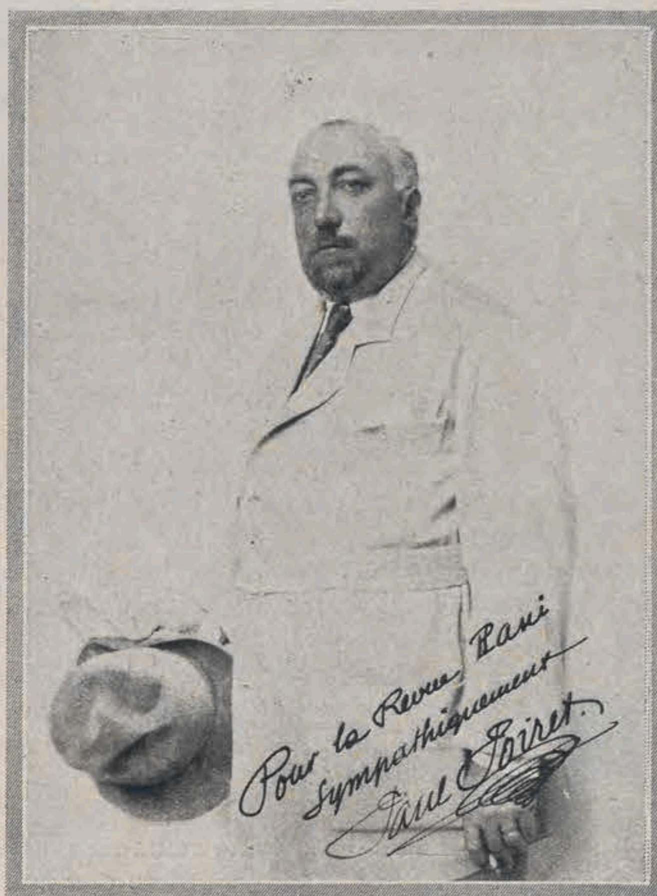
Paul Poiret nie był jedynym przeklinającym barbarzyństwo mody, lecz jedyny miał odwagę zerwania z tradycją i proklamowania swych idei.

Świętoszkowie i podstarzałe piękności oburzyli się. „To cios śmiertelny dla cnoty i przyzwoitości! Jak można ubrać się kilkoma metrami jedwabiu, kiedy nasze babki zużywały całe sztuki na swe toalety!"

Tak mówiono dokoła.

Lecz Poiret wytrwał na stanowisku: młodość i piękno poszły za nim, bo poczuły odrazu, że dla nich pracuje. I ubierał je, stroił w prostotę, w całą gamę kolorów i tonów przyrody, które grupował w harmonijną całość.

Paryż oddał mu słuszny hołd, zdobył sobie miasto całkowicie i panuje w sprawach gustu i elegancji. A zagranica, od Ameryki do Wschodu, ma tylko jedno marzenie: ujrzeć kreacje Poireta.



PAUL POIRET

PAUL POIRET
Tłom. B. K.







MODELE PAUL POIRET

Fot. Lipnitzki, Paryż

Suknia z miękiej mory, drapowana z tyłu

Suknia z popielatej wełny, przybrana futrem

Płaszcz wieczorowy z velour'u popielatego

LETNIE SUKNIE

P. Irenie Tuwim w odpowiedzi na umieszczony pod tymże tytułem w N-rze 6 „Pani" piękny, aczkolwiek nie mający pokrycia finansowego wniosek, oraz dla zasady: „Audiatur et altera pars".

Gdyby się chciało toalet dla żony, we środku lata, —
Musiałoby się moc pieniędzy mieć. Wszystkie pieniądze świata.

Bo żony są, niby kwiaty. Potrafią być ciepłe i chłodne,
Niektóre są, jak wieczory, inne, jak ranki pogodne,

Lecz jeśli ubierzesz swą miłą jeno w listeczek banana —
Stanie się cierpka i gorzka, jak gruszka, zawcześnie zerwana.

Chcę, by nie było barwy chłodnej, ani gorącej,
W której nie kupiłbym dla Niej sukni z materji pachnącej,

Ale gdy myślę, skąd wezmę na te „najmłodsze falbanki" —
Chciałbym być Zeusem, co złotem skrapiał Danae w poranki,

A ona — przecież kobietą była — na strój z krynoliną
zmieniała złoto — albo na suknię, pachnącą brzoskwinią.

O, wtedy nosiłbym w duszy tyle słonecznej pogody,
że mógłbym, jak Foibos, nago chodzić dla rzeźwej ochłody

I oszczędności... Ale nie każdy jest Zeusem! Jak dzwonki
brzęczą mi w uszach dzień cały: chiffon, organda, koronki

I znowu chiffon... Od rana, aż do wieczora i cienia
Pchają mnie myśli do czynów, dla których nie znam imienia.

VIVE

Suknia popołudniowa



Fot. Rahma, Paryż

Suknia z czarnej fulgurante, obręb z czarnego otomanu, przyłączany złotym galonem
Model Melnotte Simonin



Suknia z czarnego crêpe satin, haftowana złotem w desenie chińskie
Model Charlotte

Fot. Rahma, Paryż

O Modzie Jutra



Rok trzydziesty

Wielka kwestja, która zaprząta obecnie cały Paryż, naturalnie cały Paryż mody, to sprawa talji: to coś nieznacznego, „un petit rien" — wstążka, guzik, klamra, pasek, które się nosi dla podkreślenia talji. Znudził się już nam widok talji na biodrach. Chcielibyśmy po dwóch latach zobaczyć inną sylwetkę, zajmującą, nową. Potrochu wszędzie poszukuje się nowej linji, a twórcy mody badają sylwetkę damską, szukając nowego pomysłu i starając się odgadnąć gust paryżanki. Poszukiwania, skierowane często do ubiegłych epok, zwracają się obecnie do dyrektorjatu i wiele wielkich domów przyjmuje linję „directoire" za wytyczną na zimę. Inne, nie chcąc posuwać się zbyt daleko (raczej zbyt wysoko), umieszczają talję w jej właściwem miejscu, poprostu w pasie, inne jeszcze starają się urozmaicić sylwetkę — rozszerzając ją w dole kloszem. Jednem słowem wszyscy szukają, szukają, szukają. Nie da się zgóry przewidzieć jaka linja będzie przyjęta ostatecznie przez paryżankę, gdyż Ona jest tą ostatnią instancją, decydującą o modzie. Czekajmy do grudnia — wtedy wiadomym będzie rezultat wysiłku.

Naogół moda w tym sezonie jest bardzo urozmaicona. Ogromne powodzenie futer, piór i zwłaszcza haftów jest widoczne. Wszystko będzie haftowane tej zimy — suknie, wieczorowe okrycia, kapelusze, rękawiczki, pantofelki. Na wieczór robi się dużo haftów paciorkami i pajetami na lamie, koronkach i tiulach — srebro zwłaszcza jest bardzo „en vogue". Nawet pończochy balowe są wyszywane perełkami i kamieniami (strass). Dużo widzi się strusich piór, które dodają tyle wdzięku tualetom wieczorowym.

Repsy, wełny i futra noszone są w dzień. Futro, zwłaszcza pantera i tygrys, królują w tym sezonie. Płaszcze „trois-quarts" szeroko są przybrane futrem.



Dyrektorjat

Tak! — kolekcje wielkich domów są jeszcze bogatsze i jeszcze skromniejsze niż zazwyczaj. To nie paradoks, choć brzmi paradoksalnie. — Wielka moda, wielki szyk starają się stworzyć suknię jednocześnie wspaniałą i prostą.

Linja prosta jest linją dnia dzisiejszego. Któż wie, co nam jutro przyniesie?

PAUL TECH

Paryż, w listopadzie.



Kostjum Żuawa



RADZĘ PRZECZYTAĆ...

Otwierając na swoich łamach ten nowy dział, Redakcja „Pani" pragnie w tych paru bodaj słowach zastrzec się przed swemi czytelniczkami (zwłaszcza i przedewszystkiem!). Wiemy dobrze, z jaką nieufnością przyjmują kobiety wogóle wszelkie rady. Wiemy też dobrze, jak z nich korzystają. Otóż, kiedy najserdeczniejsza nawet przyjaciółka — tak, zdawałoby się, życzliwa i przyjazna — mówi: „Radzę ci, zmień klamrę przy kapeluszu", lub też: „Stanowczo radzę ci, daj sobie zrobić kostjum u X" — to z pewnością, albo sama kupiła nowy kapelusz z brzydszą klamrą, albo X popsuł kostjum... Nauczone tyloletnią przyjaźnią, łączącą je z najserdeczniejszemi przyjaciółkami, Panie zapewne tak samo sceptycznie zechcą przjmować „rady", w tym dziale zawarte. Otóż nie! Trochę dobrej wiary! Ostatecznie można się nie przyznawać do korzystania z tych rad i, doprawdy, nie będziemy wypominali swoich zasług, jak ta „najserdeczniejsza", która raz dobrze poradziła w najbłahszej i—zresztą oczywistej—sprawie, a później narzuca się przy każdej sposobności, przypominając: „A pamiętasz, tak ci wtedy dobrze poradziłam, posłuchaj się mnie i w tym wypadku!". Otóż nie! nie! Chcemy poprostu przyjść z pomocą (anonimowo!) tej miłej niezaradności i zakłopotaniu, jakie niejednokrotnie maluje się na twarzy Pani, czy to w czytelni, czy w księgarni. „Czy tę wziąść, czy tamtą? Czy aby dobra, czy interesująca? A może to znowuż coś nudnego?... Łatwiej zdecydować się na wybór kapelusza, każąc odesłać wszystkie trzy — trudniej z książkami. Raz zrażona nietrafnym wyborem, Pani nie powróci do tego lub innego poety, lub powieściopisarza. Pod tym względem jest Pani bezwzględna. Krawcom, szewcom, ba... fryzjerom wybacza się łatwiej.

Nie zwraca się też ta skromna rubryczka do Pań, dla których książka jest „wszystkiem". Tych Pań jest podobno coraz mniej i coraz są starsze. Więc jeżeli dla większości naszych czytelniczek książka jest bodaj połową, bodaj cząsteczką życia — pozwolimy sobie, nie utrudzając je zbytnio w tych czasach, zwłaszcza wobec zbliżającego się sezonu ciężkiej pracy karnawałowej — polecić tych parę książek, które „warto" przeczytać.

Billy.

JAN LECHOŃ.

Czarne i srebrne. (Ignis)

Te przepiękne wiersze winny znaleźć najczulszy oddźwięk w każdem kobiecem sercu. Właściwie są pisane dla kobiet. Miłość, śmierć, grzechy... Pani powinna to dobrze rozumieć... po pierwszem przeczytaniu, powróci pani z pewnością jeszcze wiele razy do tej przedziwnej książki i... nauczy się na pamięć „Miłości"... „Modlitwy"... i... „Pychy"...

BIBLIOTEKA BOYA.

Balzak. *Jaszczur.*
Balzak. *Kuzynka Bietka.*

Doprawdy, wydaje mi się zbyteczne namawiać do czytania Balzaka.

Kto raz zanurzył się w tej oszałamiającej atmosferze tysiąca skłębionych namiętności, grzechów, najtkliwszych miłości, obok najzimniejszych, najbardziej wyrafinowanych okrucieństw, ten powraca do każdej nowej książki Balzaka, aby znów przeżyć niezapomniane wrażenia.

„Jaszczur" — historja nawpół fantastyczna, a tak boleśnie realna, i „Kuzynka Bietka", to najcudniejszy Balzac po polsku.

Grzech nie czytać!

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI.

Przymierze serc. (Ignis).

Jeżeli dotychczas Bandrowski „straszył" Panią „trudnym" stylem, wymyślnością akcji (chociaż „Łuk" czytała Pani dwa razy zapewne), proszę koniecznie przeczytać „Przymierze serc". Jest to piękne, proste i czułe (zdradzę Pani tajemnicę): Odkąd podrosły przepiękne bliźnięta, jego synowie, dwa roskoszne chłopaki (dostały nagrodę piękności!), Bandrowski, który bardzo kocha swoje dzieci i pragnie, aby i one mogły czytać kiedyś „bez trudu" jego książki — zaczął pisać bardzo „zwyczajnie".

Niech się Pani nie boi i dla nabrania odwagi i przekonania się przeczyta przedtem „Wakacje moich dzieci" — kto wie, czy przykład Pani Bandrowskiej nie zachęci Pani.

BRUNO WINAWER.

Doktór Przybram. „Książki Ciekawe".

Odrazu Pani pozna, że rzecz się dzieje w Marjenbadzie. Później zrobi się Pani żal biednego, genjalnego wynalazcy, chociaż Pani nic z jego odkrycia nie rozumie. Kiedy jednak taki dziwak zakocha się, zacznie Pani czytać z podwójną ciekawością, aby się dowiedzieć, co też w tej Nelly było „takiego"? Obawiam się Pani opinji o doktorze Przybramie (nie o książkę mi chodzi, bo będzie się Pani podobała, tylko o samego bohatera). Powie Pani o nim to, co przeważnie kobiety mówią o genjalnych ludziach: „...Genjusz, ale dla ludzi..., a dla mnie co? Niech będzie zwyczajny mąż, wystarczy mi!"

WACŁAW GRUBIŃSKI.

Lwy i św. Grojosnaw. (Wende).

Nowa książka Grubińskiego będzie przez Panią powitana z niekłamaną radością... Czytała Pani wszystko, co dotychczas napisał Grubiński. Oczywiście. Ba, jest Pani rozkochana w jego wrażliwości, sty- lu, finezji i znajduje, że jestto właściwie „nasz Grubiński" — t. z. pisarz kobiet... mądrych, a przecież ładnych, naiwnych, a przecież i tak bardzo zepsutych. Tak... Grubiński jest bliski „dzisiejszej" kobiecie... a zapewne i „jutrzejszej".

Chciałaby Pani koniecznie wiedzieć, czy Grubiński jest żonaty... Nie mogę zdradzić jego tajemnicy. Proszę wybaczyć, to nie na- leży do literatury...

I. ERENBURG.

Juljo Jurenito. Ignis.

Książka, jak fantastyczny film. Tajemni- cza, chwilami nawet złowroga, czasami tak cyniczna, że... Z pewnością przeczyta Pani do końca... i wtedy jeszcze raz powróci do świetnej przedmowy Bandrowskiego.

Czasami przedmowę jest lepiej przeczy- tać na końcu.

ANDRZEJ K. CZYŻOWSKI.

Uczta kochanków.

— Czytała już Pani?...

— No i cóż?...

— ? ? ? ?

— Ale swojej młodszej siostrzyczce nie pozwoliła Pani czytać i zamknęła książecz- kę na klucz... w biureczku... męża przyja- ciółki...?

...Skąd „Pani" wie?...

MARCEL PROUST.

Les plaisirs et les Jours.

Nie mam pewności, czy wytrwała Pani w przeczytaniu 10-ciu tomów „A la recher- che du temps perdu"... Jeżeli tak... jeżeli przeczytała Pani bodaj połowę... proszę ko- niecznie przeczytać i tę książkę. Otóż, przed napisaniem tych wszystkich tomów „Swan- na", Proust, jako pierwszą swą książkę, wy- dał ten tom, w którym jest już zapowiedź przyszłego dzieła. 20 lat przed ukazaniem się wiedział, czem będą wszystkie zamiesz- czone utwory. Może to Panią zachęci?

CHARLES DERENNES.

Emile et les autres.

Jeżeli Pani ma w domu małego pieska (szpica zapewne, lub chiffon'a), którego bardzo kocha, lub piękną, czarną, połysku- jącą, „fascynującą" i perwersyjną (uparcie Pani to twierdzi!) kotkę — Miss — książka ta sprawi Pani ogromną przyjemność.

Jest o samych kotach i psach.

Przekona się Pani, że miała najzupełniej- szą słuszność, obdarzając zaufaniem swych ulubieńców. One wszystko rozumieją!...

DAW. GARNETT.

La Femme changée en renard.

Niech Bóg Panią strzeże od podobnego wypadku!. „Ładna historja"!

Doprawdy... świetna!

Będzie się Pani śmiała do rozpuku nad... zaślepioną miłością męża, któremu żona za- mieniła się w lisa, a który, „mimo to", ko- chał żonę w dalszym ciągu do szaleństwa...

Co z tego wyszło?... Małe lisięta?...

W jaki sposób?... Niech Pani przeczyta.

PHILIPPE BARRÈS.

La guerre a vingt ans.

We Francji zjawił się cały zastęp mło- dych pisarzy, synów znakomitych ojców.

Zna Pani zapewne poezje młodego Ro- standa, w ubiegłym roku grano w Paryżu sztuki młodego Bernard'a (syna Tristana Bernard) (sztuka jego „Le printemps des autres" ma być grana w Warszawie), obe- cnie wydał swą książkę młody Barrès. Mi- mo tytułu, zapowiadającego jeszcze raz książkę o wojnie — książka ta jest raczej opowieścią o życiu młodego chłopca pod- czas wojny.

Bardzo interesujące i dla kobiet nawet niespodziewane i rewelacyjne.

(A propos: „Le bal chez comte Orgel"— Radiquet'a — zna Pani oczywiście. Tak, autor umarł, był bardzo młody i piękny.

GEORGES DUBUYADOUX.

Notre-Dame des Poulpes.

Romans! Prawdziwy romans, za jakim zdążyła się Pani zatęsknić.

Rzecz się dzieje w Wenecji!

Miłość, miłość, dużo o miłości! — (mimo to znakomita książka).

C. F. RAMUZ.

La guerison des malades.

Silna, zdrowa, pokrzepiająca książka. To coś, jak odżywcza kąpiel igliwiowym eks- traktem. Wcale się nie ceni tych najprost- szych rzeczy, a przecież to tak dodaje sił i jest przyjemne. Wszystko w tej książce jest proste, przyjemne, rozbrajająco szcze- re. Ta książka z pewnością „dobrze zrobi" paniom. Po przeczytaniu jej postanowi Pani na lato wybrać się na „szczerą wieś", ale do lata zmieni Pani decyzję i pojedzie do Nicei.

FLORENT FELS.

Les vielles tapisseries françaises.

Niezwykle piękne, kolorowe klisze — a także bardzo zajmujący tekst, napisany przez świetnego znawcę.

Książka nadaje się wybornie również i do czytania, nietylko „na stół".

PIERRE DRIEU LA ROCHELLE.

Plainte contre inconnu.

Bardzo śmiała, odważna książka, a przy- tem po męsku gwałtowna.

Jest w niej dużo z współczesnego nastro- ju Francji powojennej. Rewizja pojęć, re- wizja uczuć. U nas jest tak samo, tylko literatury odzwierciadlającej brak. Wobec tego — przeczytać.

BOUI DE CASTELLANE.

Comment j'ai decouvert l'Amerique...

Najgłośniejsza obecnie książka we Fran- cji. Tytuł zdawałby się wskazywać coś w rodzaju niezwykłych odkryć, dokona- nych przez naszego, słynnego już na sze- rokim świecie, ziomka, profesora Ossen- dowskiego... tymczasem jestto zupełnie coś innego. Historja autentyczna, najzupełniej... i sprawdzona!... Młody, bon-vivant paryski, bywalec salonów, barów, domów gry i pa- larni opium, hr. de Castellane goły, jak my dziś wszyscy jesteśmy, udaje się do Ame- ryki. Tam swoim wdziękiem, zaletami to- warzyskiemi, urokiem (tak!... Nie tylko ko- biety...) zdobywa sobie takie powodzenie, tyle naraz kobiet zaczyna za nim szaleć, tyle domów miljarderów zaczyna go sobie wyrywać, że... ...krawaty, kołnierzyki, fraki i garnitury... wszystko to wkrótce jest... à la Castellane. Romans awanturniczy egzo- tyczny, zabawny niejednokrotnie, bardzo Panią zaciekawi i ubawi.

LEON-PIERRE QUINT.

Decheances Aimables.

Jeden z młodych a bardzo utalentowa- nych pisarzy francuskich. Niech Pani ko- niecznie przeczyta i stwierdzi, do którego z naszych młodych prozaików jest tak bar- dzo podobny.—Uderzające podobieństwo.— Będzie się Pani mogła przy najbliższym li- terackim „fajfie" pochwalić...

J. J. BROUSSON.

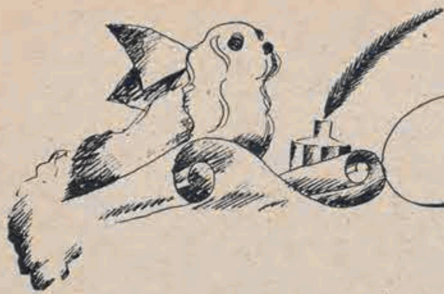
Anatole France en pantoufles.

Po śmierci France'a ukazało się tyle zjadliwych i niesprawiedliwych głosów, któ- re nawet odmawiają zmarłemu pisarzo- wi prawa do wielkości... Obecnie, sekretarz France'a, p. Brousson, wydał bardzo cieka- wą książkę o zmarłym pisarzu. „France po domowemu". — Jest tam sporo zabawnych, nieco może nawet i ironicznych spostrzeżeń, w każdym razie jednak to warto przeczy- tać. Szczególnie, aby się dowiedzieć dlacze- go France ożenił się tak późno po raz dru- gi... To bardzo pouczające!

TAUCREDE DE VISAN.

En regardant passer les vaches...

Zabawny tytuł... Co się może kryć za nim?... Szczęście... tak... prawdziwe szczę- ście, błogość... spokój... Jeżeli Pani tęskni do spokoju (tego najburzliwszego spokoju, jaki daje szczęście) — proszę przeczytać.



Notatnik Pani

literatura

REYMONT LAUREATEM NOBLA. Potężna fundacja Alfreda Nobla, od dwudziestu pięciu lat rozdawczyni najwyższych odznaczeń i najdostojniejszych wyróżnień, trybunał zasługi i kapituła zaszczytu, poza swą istotną doniosłością tylokrotnie podnoszoną i powszechnie uznaną, ma jeszcze swój mit, swoją legendę.

Laureat Nobla, to nietylko najświetniejszy pisarz, najznakomitszy filozof, psycholog, fizyk, chemik, czy jakiś inny uczony, to ktoś jeden ponad wszystkimi i jeden z wszystkich.

Pochwała, zawarta w przyznaniu nagrody szwedzkiej Akademji Umiejętności i Carolineum, obdziela po równej części honorem indywidualność i gromadę, która niezwykłą swą jednostkę wydała.

Jest to zaiste najroskoszniejsza zazdrość, którą można żywić do kogoś i za kogoś.

Zdarza się częstokroć, że więcej godne zazdrości jest samo odznaczenie, niż odznaczone dzieło.

Możnaby kłócić się, dlaczego pośród koronowanych cezarów piśmiennictwa zasiadł Heyse, Benavente, Spitteler lub Tagore, lecz jakże zostać obojętnym na myśl, że oto z pośród wszystkich narodów i państw, wszystkich kultur wszystkich części świata najwyższa część przypada w udziale dalekim prastarym lądom indyjskim, lub górzystej Szwajcarji, małemu, przejezdnemu hotelowi Europy.

A dla nas, Polaków, bliższe są te sentymenty, niż dla kogoś innego. Odznaczenie Reymonta jest przedewszystkiem honorem Polski, najświetniejszem świadectwem wydanem o nas przed światem, najgodniejszą naszą propagandą i najszerszem spopularyzowaniem. Nie chodzi o to, czy Reymont, czy Żeromski, — chodzi o to, że nagroda jest w Polsce.

Głodni jesteśmy uznania i sukcesu, którego odmawiano nam tak bezlitośnie i najokrutniej, — potrzeba nam ciepła i miłości świata, do którego garnęliśmy się odtrącani przez stulecia i przez stulecia za nim podążający, — należy nam się to, czego nie poskąpiono nikomu, a co dopiero tak niedawno stało się i naszym udziałem.

Satysfakcja z ostatniej decyzji noblowskiej jest dla nas tem pełniejsza, że postać, która stanęła o głowę wyżej ponad najwynioślejszemi postaciami literatur obcych, jest wzrostu zaiste olbrzymiego i posągowego.

Pospołu z Reymontem stanęły do konkursu nazwiska tak świetne, że niewątpliwie najbliższe lata przyniosą wielu z nich zaszczyt w tym roku nieosiągnięty. Tem też pełniejszy jest sukces wyprzedzenia Tomasza Hardy, Tomasza Manna, Rainera Marie Rilke, Blasko Ibaneza, Gorkiego i innych.



WŁADYSŁAW REYMONT
laureat Nobla

Reymont dostał nagrodę za „Chłopów", arcydzieło, któremu równych niewiele możnaby wybrać z piśmiennictw świata. Epos ten w triumfalnym podboju przeszedł granice polskie i zawojował sobie najszczersze uznanie i podziw w Niemczech, Rosji, Szwecji, Czechach, Hiszpanji, Anglji i wielu innych krajach, do których dotarła wieść o posągowym Borynie i płomienistej Jagnie.

Cała czytająca Europa musiała ukorzyć się przed tym niezapomnianym nigdy wyrazem plemienności, przed jej niezwyciężoną siłą i potęgą, przed odsłoniętym do najgłębszych, najbardziej ukrytych tajemnic chłopem polskim. Szerokie forum świata uznało właśnie ten wyłącznie i tak bardzo polski obraz polskiego życia za najbardziej porywające widowisko z wszystkich malowideł współczesności.

Co najbardziej może zniewala i porywa w opisie chłopów polskich, to jego wewnętrzny rozmiar, pojemności zaiste niespotykanej.

Cztery tomy pomnikowego dzieła są jakby czteremi stronami świata, rozpostartemi tak szeroko, że zdołały ramionami swemi ogarnąć całą ogromną, nieobjętą rzeczywistość nietylko klasy społecznej i środowiska obyczajowego, lecz nadewszystko całość człowieka. Być może, że chłop niejako wezbrany swem człowieczeństwem zatraca charakterystyczne cechy fragmentu i porywa nas raczej spienioną swoją naturą wyrosłą z ziemi i z ziemią zrośniętą, jak ona soczystą i niewyczerpaną, — lecz „słabość" ta jest właśnie tą wulkaniczną siłą, która przepruła się poprzez dzieło twórcy naszego i epos rodzajowy rozpaliła do czerwoności ludzkiej prawdy.

Na dziele Reymonta można „uczyć się" nietylko chłopów polskich, lecz zaprawdę dać one mogą świetną lekcję wszelkich namiętności ludzi ziemi. Ich jesień, zima, wiosna i lato, ich przeogromny rok, jest kalendarzem odwiecznego świata. Dzieło to jest wielką mapą życia w poddziałce mieszkańców jednej jego dzielnicy.

Dziś oto ci co ją zamieszkiwali weszli w metropolję międzynarodową. Język ich zmienia się na mowy innych narodów, by mogły zrozumieć tajemnicę rodowodu chłopstwa podniesionego przez sztukę do godności najwyższej arystokracji. Książka polska przechodzi do tysięcy rąk, które po raz pierwszy dotykają się czegoś polskiego. Najrzewniejszy nasz temat wędruje przez szeroki świat i przyjmuje się w najodleglejszych jego okolicach jako własna swoista szczepionka.

Zaiste, niewiele podobnych triumfów zna nasze piśmiennictwo, niewielu literaturom może ich zazdrościć.

K

CEZARY JELLENTA — „WIELKI ZMIERZCH". Nakł. Tow. „Rapsod". Jellenta! Człowiek, który zna wszystkie książki świata, myśli ludzkiej wszystkie szlaki i wzloty, który o wielkich ludziach w wielki sposób pisał i mówił, który niegdyś przed wojną rzucił Warszawę, a którego potem w Krakowie niemal na rękach noszono za jego porywające ujęcie Wyspiańskiego.

Jakiż to jubileusz powinnibyśmy obchodzić dziś, gdy komentator Wielkich Duchów Polski, przesyła nam kartki swego pamiętnika? Pamiętnika człowieka, zaskoczonego przez wojnę i notującego zaraz w pierwszych jej dniach znamienne słowa: „w jej koniec nie wierzę i wierzyć nie myślę. Trwać będzie wiecznie, lub się skończy ogólnym zgonem świata, ziemi, słońca"... (Czy się skończyła?).

Tak mówili Niemcy, ale w parę lat po nim, gdy zaczynało być źle: „Moeglich, dass wir zu Grunde gehen werden, aber die Welt mit uns!...".

„Wbijając na pal Belgję — pisze — rozdzierają, jak ongi tatarzy jeńców, wbijają ją niby tamci na kół — na pikielhaubę".

„Widowisko straszliwe, które człowieka zabija, albo uzdrawia: wszelki egoizm zdycha. Żądza wolności i szczęścia wstydzi się siebie samej na widok narodu-bohatera, narodu, który jest cały mózgiem i młotem, narodu nielicznego, który sprawia wrażenie wielkiego państwa przez swą wielkość duchową. Ojczyzna Ruysbroecka i wielkich mistyków, genjalna szkoła malarstwa, kolebka Verhaerena i Maeterlincka, czarna kuźnia i kopalnia węgla z mistycznem niebem poezji arcyludzkiej nad głowami, najprzedniejsze połączenie czarnoty czeluści ziemi z zorzami serafów, nadlatujących z za widnokręgu. Wspaniały, promienny socjalizm Vanderwelda, na którego łączność z rządem i narodem patrząc, wierzy się w jasne proroctwa „Jutrzni" Verhaerena... I oto ten naród ćwiartują i łamią kołem!"

I dalej:

„Ten naród nie zginie. Król Albert będzie może drugim Janem Sobieskim"...

. . . .

Gdybyż te słowa można było przesłać dziś temu królowi, którego nigdy nie tknął Vanderwelde i nikt z hufców jego, uzbrojonych w młoty i kilofy...

Gdybyż te prawdziwie wieszcze słowa można przesłać na ręce tego króla, kardynała Mercier'a, lub wielkiego burmistrza Brukselli, Maxa, od Polski złotemi, na pergaminie wypisanemi głoskami z prośbą, aby zwój ten od Polski złożyli na grobie Nieznanego Żołnierza...

Piękno myśli polskiej, jej uczucia dla tego narodu, Polski podziw, żal i wieszczbę ziszczoną...

. . . .

Byłoby to jednocześnie uczczenie tego polskiego siewcy piękna, wiary w to piękno po tylu latach tej wiary posiewania.

Jellenta, jak kapłan piękna, rozumiał wtedy już, że ten kraj przepaść nie może, bo naród ten na dwóch zbudował swe istnienie podwalinach: na Pracy i Pięknie.

„La vie est à monter et non pas à descendre", pisał Verhaeren pod koniec 1913 roku do piszącego te słowa, przesyłając w dedykacji zakończenie słynnego swego odczytu „O Entuzjaźmie", wygłoszonego w Warszawie w Sali Techników.

Tak też było z Belgją i jest... Elle est là, elle monte... elle monte toujours...

. . . .

Na stronicy 23-ej pisze Jellenta, z którym tymczasem współprzeżywaliśmy na nowo zlekka zacierające się pierwsze dni kataklizmu dziejowego:

„Nie boję się, że Rząd Rzeczypospolitej przeniósł się do *Bordeaux*, a za nim wiele instytucyj państwowego znaczenia, *wierzę głęboko okrzykowi Norwida: „Jeszcze Francja nie zginęła"*...

. . . .

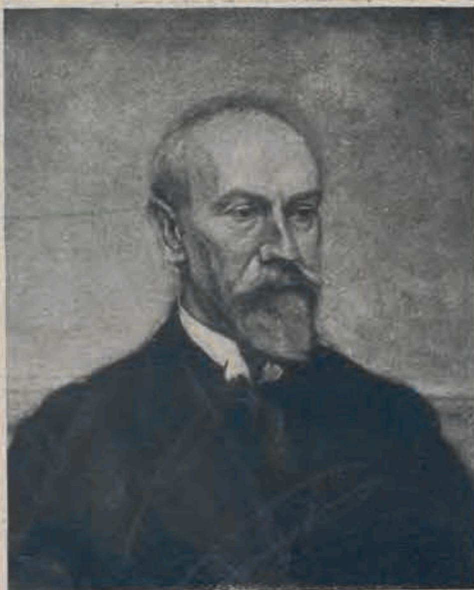
Myśmy wszyscy tego pragnęli, miljonami serc naszych pragnęliśmy dla bohaterskiej Belgji i Francji, wierzyliśmy, obawiając się, czy wytrzymają napór armji gen. von Klucka i słaliśmy tym dwóm narodom uśmiech i pogodę wiary w ich ostateczne zwycięstwo...

. . . .

Generał Kuropatkin witany i żegnany „ikonami" w drodze do Portu Artura upewniał zaniepokojoną Rosję dwoma pamiętnemi słowy: „szapkami zabrosim!", a admirał Togo, wysyłając flotę japońską w kierunku tego samego Portu Artura, rzekł: „piję — (szklanką czystej wody) — za zdrowie i pomyślność synów kraju wschodzącego słońca i kwiatu wiśni"...

. . . .

Piękna wiara Polaka w zwycięstwo dwóch narodów nasuwa wspomnienie tamtej „wojenki"—(jakże niezwykłej w niepojętych bohaterstwach japończyków... Laojan!...)—która już wtedy powinna była być przestrogą dla Rosjan.



Z portretu Vlastimila Hofmana

CEZARY JELLENTA

Jakże piękne są marzenia Jellenty o polskich Prusach Wschodnich i Zachodnich, o Królewcu i Gdańsku, wdół po Toruń, Bydgoszcz...

„Rozsiadła by się znowu Polska—pisze—nad morzem, wiozłaby znów złotą pszenicę sandomierską do złocistego Gdańska, do własnego śpichrza, jak ongi za czasów Klonowicza. Rozszerzyłby się dech Polski na świat cały!...

Zawrót ogarnia głowy, serca silniej biją. Do drzwi kołacze zmartwychwstanie nad brzegami Bałtyku. Królewskie widma Jagiellonów, biorących pod swą tarczę Gdańsk pół-niemiecki na własną jego prośbę — niechaj się radują. Koronna, promienista przeszłość wraca"...

. . . .

Jellenta tak się prezentuje w dni prawie czterdziestoletniej pracy (o, jakże często bardzo ciężkiej, nomadycznej, rozbijanej...) Ale: „la vie est à monter"... Takim jest autor „Wielkiego Zmierzchu", jako pamiętnikarz pierwszych miesięcy wielkiej wojny...

...Utrata Lwowa, lęk o Kraków tak bezmiernie sercu polskiemu drogi...

Polska przeciw Polsce... brat przeciw bratu w trzech walczący wojskach — (pamiętacie pieśń Edwarda Słońskiego — jeden z najlepszych utworów poetyckich o wojnie w Polsce?).

. . . .

„24 grudnia 1914 r. „Bóg się rodzi, moc truchleje!" To właśnie całe szczęście Boga, że się nie rodzi, bo gdyby, na świat znów przyszedłszy, ujrzał tę wędrówkę rannych narodów, wnet skonałby z boskiego wstydu i świętej zgrozy"...

Ale dalej notuje:

„Przed chwilą jeden z lekarzy opowiadał mi, jak ranni Rosjanie prawosławni z takiem samem wzruszeniem patrzyli w piękne drzewko Chrystusowe, jak i katolicy i błagali, żeby im pozwolono leżeć w jego bliskości. Jeden z nich, ciężko postrzelony w obie nogi, ledwo mogąc się z łóżka poruszyć, dotykał ręką świerkowych gałązek, gładził je pieszczotliwie i płacząc, szeptał: „teraz mi lepiej, o teraz mi o wiele lepiej"... A więc jednak Bóg się rodzi...

Nie będę mu bluźnił w ten straszny dzisiejszy wieczór wszechtęsknoty i wszechżałoby. Bo gdybyśmy nie mieli głęboko ukrytej iskry nadziei Bożej i gdybyśmy nie piastowali w duszy wspomnienia lat minionych, lat przeszłych, gdyby z poza nas i z przed nas nie szły ku nam promienie jakiejś wiary, wigilja dzisieisza byłaby tylko powszechną stypą pogrzebową na cmentarzu wielkim, jak trzy części świata"...

. . . .

Zdaje mi się, że do najpiękniejszych należą także i te książki Jellenty, które... wygłosił: odczyty jego tak liczne o wielkich przodowniczych duchach narodów świata. Są to gejzery odczucia i uczucia, są to przekroje serc wielkich, w których Jellenta jak mag pokazywał nam czerwienne róże, rzucając je na głowy nasze, posiewając czar w audytorjach Krakowa, Warszawy, Poznania, czy Drezna...

Z pamiętnika najbardziej umiłowałem te kartki, w których Jellenta dał siebie, dał swe serce własne, Polaka i europejczyka w najdoskonalszem tego słowa znaczeniu...

To są bodaj te najważniejsze i kapitalne wartości, bo wojnę dając, ów portret dają duchowy autora...

Jellencie, jednemu z najbogatszych duchów Polski piszącej, jakże szkodził parnasizm!

W pamiętniku raz po raz zjawia nam się taki, jakim by być powinien, jakim by być potrafił ten pan wielki niezmierzonych włości duchowych... Potentat słowa mówionego, okresu krasomówczego o czarze jedynym w swoim rodzaju, bez katedry profesor literatury europejskiej w kraju, którego jest jednym z najlepszych synów i pieśń jego synów największych i najukochańszych, najistotniej i najcudniej nolskich.

Henryk Leśniewski.

J. KADEN-BANDROWSKI. „PRZYMIERZE SERC". IGNIS. 1924. Przed rokiem niespełna w feljetonie pod takim samym tytułem pisałem o noweli Kadena-Bandrowskiego „Bogowie", ogłoszonej w ostatnim Nr. Skamandra. Nie o samą nowelę chodziło mi wówczas. Zastanowiła mnie głęboka przemiana, dokonywująca się w Bandrowskim. Był to zwrot, pozornie tylko nieoczekiwany i nagły, a przecież głęboko umotywowany najistotniejszemi składnikami twórczości pisarskiej Kadena. Zaznaczyłem odwrócenie się Bandrowskiego od „wypadków do ludzi", to znaczy—od zewnętrzności wydarzeń i roli jego bohaterów wśród tych wydarzeń nieraz wielkich, niemal państwowej wagi (Barcz), od skłębionego splotu psychologizmów (Łuk) ku wydarzeniom prostym, tak nikłym, że nieistniejącym niejako realnie, odwrócenia się od kunsztownej komplikacyjności poszczególnego nawet odruchu „swoich ludzi", ku uproszczeniu, nie jednak wspólnego z równie kunsztownem symplifikowaniem pisarskiem niemającemu.

Były w owej noweli „Bogowie" sympto-

matyczne dla mnie momenty uciszenia się, chęć żarliwa pozbycia się niepokojących zatrwożeń twórczych jakaś pokora pisarska i arcyludzka, znajdująca swój głęboki wyraz w inwokacji: „Dniu, mój maleńki"...

Zdawałem sobie sprawę, że to nie zmęczenie jedynie przesuwa przezornie punkt ciężkości na rzeczy mniejsze, nie sama jeno potrzeba wytchnienia, ale że jest to równoznaczne z ukończeniem jednego, mozolnego etapu twórczości, przystanięcie na chwilę w cieniu minionych już i wygasłych burz, targających jeszcze do niedawna duszę i ciche zbożne przygotowanie do nowej, dla samego jeszcze nieuświadomionej całkowicie drogi, którą przebyć wypadnie. Cały poprzedzający odcinek twórczości, a więc i „Łuk" i Zawody" i „Barcz", tak do siebie w poszczególnych okresach niepodobnej, jakgdyby przecinkiem „Wakacji moich dzieci" został oddzielony od tego, co miało nastąpić niechybnie.

I oto leży przedemną tom nowel p. t. „Przymierze serc".

Na wstępie książki dwie kartki właściwie niejako spowiedzi i zdania rachunku ze wszystkiego, co było dotychczas.

„Tu jestem teraz — i czekam...".

Po przebyciu takiego szmatu drogi, po tylu urojonych radościach i smutkach prawdziwych i częstszych jeszcze udręczeniach i zwątpieniach przychodzi ta chwila, która kiedyś przyjść musi nieodwołalnie, każe głowę odwrócić, spojrzeć za siebie, na swoje wielkie miłości i potężne nienawiści, którym miary nie było wówczas, tak rozsadzały pierś i nieokiełznanym potokiem rozlewały się po całem życiu, po całej pracy, zaciskały pięści w jakieś „młoty miażdżące, ceną tylu wysiłków ujarzmiały niepohamowane wybuchy „sprawiedliwego gniewu", aż wreszcie przywiodły do tego miejsca, na którem się jest teraz i czeka.

„Czy jest ważniejszą sprawą, że pada śnieg, burze chodzą po niebie, płyną deszcze, słońce trwa w letnich pogodach — czy też ważniejsze jest, że świat się rządzi, kraj buduje, a sztywne jego drogi wnikają w przyszłość coraz dalszą?

Czy też jedno nie jest ważniejsze od drugiego, a cenne tylko jest w całym ogromie zdarzeń, że serca nasze biją?..."

I to bicie serc właśnie zatrzymało Kaden-Bandrowskiego pośrodku szerokiego, gwarnego gościńca życia, którym szedł spracowany, utrudzony, ważnością samego naprzód kroczenia przejęty, pochłonięty budowaniem własnej drogi, upartem jej karczowaniem w nieustępliwej, zaciętej, niewdzięcznej i broniącej się „glebie rodzinnej".

„Wynoszę, ciułam, pomnażam". — Tak, wszystko dotychczas było właśnie owem zabieganiem pomnożenia swego dobytku, gospodarskiem przemyśliwaniem nad sposobami „rządzenia się w sobie", przymierzaniem cierpliwem tylu narzucających się sposobów działania, niejednokrotnie bezwiednie rujnujących w swej rozrzutności, kiedyindziej tak oszczędnych, że aż niemal za skąpych.

I oto „ustatkują się sprawy, każdy sprzeciw ułagodzi, przyjaźnie się porównają smutki z radością, nawet się za tobą ujmie, co dotąd naprzekór szło!"

Tego „przymierza serc" spodziewałem się po noweli „Bogowie" — przyniósł je w zupełności tom p. t. „Przymierze serc". Ucichły wszystkie kłębiące się w sercu nawałnice, dłoń, w pięść mściwą złożona, zwarła się z drugą w uścisku, który jest prośbą o wybaczenie wszystkiej dziś już minionej i niepotrzebnej zawziętości, a oczy, patrzące, jak się gubi w oddali własna, nikła ścieżyna, szukają dobrej i spokojnej drogi, którą trzeba przecież odejść kiedyś precz, więc niechaj że w zgodzie i pojednaniu z Duszą świata odejdzie własna, utrudzona boleśnie. I jak po życiu całem wzrok starców mądrych i spokojnych, kierując się ku ziemi, odnajdzie w kłopotach i zabiegach małych, czarnych mrówek własnych kłopotów odbicie, tak uciszona już dusza pisarza odwróci się od dumnych bohaterów wielkich zdarzeń ku tym wspomnieniom małym, które dotychczas nie mogły przebić się przez coraz to inne, nowe, silniejsze przeżycia, ku nikłym i nieznaczącym pozornie wspomnieniom, a które przecież legły na dnie i czekają, aż je dojrzy oko, bo dojrzeć je będzie musiało, kiedy osiądzie muł, uspokoi się zmęczony nurt i niczem niezakłócone przepłyną nieubłagane w swej kolejności, dawne, zapomniane, wspomnienia.

Ku tym wzniosłym, tkliwym, niezrozumiałym naonczas i „dzikim" sercom prowadzi Kaden-Bandrowski swą nową opowieść. Bo nie są to jedynie oderwane nowele, w jakimś wspólnym okresie przeżyć zamknięte. Zarówno Kujon, jak pan Płoński (Jemioła), Roztowicz (Dziki człowiek), czy ta najtkliwsza z wszystkich kobiecych postaci stworzonych przez Bandrowskiego panna Sylwina (Nikt nie chce mojej śmierci), czy nauczycielka Aniela z „Balu" (wszakże to właśnie ta mrówka zapobiegliwa, niezmordowana, najdroższa i najbiedniejsza!), wszystkich tych ludzi łączy z sobą i wiąże w nierozerwalny łańcuch poplątanych ze sobą nieszczęść i rzadkich radości owo przymierze, płynące z serca Bandrowskiego.



J. KADEN-BANDROWSKI

W tenże krąg wciąga Bandrowski i gniazdo „chruściela", odnalezione w trawie pod ciężkiemi butami żołnierskiemi (Musztra) i niezawodny instynkt klaczy, ocalającej żołnierza w ogniu pocisków, przez lęk matczyny o swe źrebię, tuż obok biegnące.

Przymierze owo, zataczające tak szerokie koło, mieszczące w sobie i obejmujące zarówno najtkliwsze bóle dziewiczego serca, jak tragiczny bełkot „Dzikiego człowieka", skomlenie bitego niemca, czy łzy niemocne starego ojca, Bogu upodobnionego w swej męce bezgłośnej i ofiarnej—to już nie sam jeno pomysł literacki, przemycający puste tkliwości — ta żarliwa, gorąca — wszystko jedno chrześcijańska, czy pogańska, w swej bezpośredniości — miłość dla człowieka i bliskość jego cierpieniom bezgranicznym.

I niema już zdarzeń większych, czy mniejszych, serc bogatszych czy biedniejszych—kobyłka równą jest dowódcy pułku, po swojemu kochającemu żołnierzy, a drewniane wyobrażenie Boga, rękami steranego ojca rzeźbione, wyraża te same niewygasające nadzieje, co blada, garbata Sylwina. A przytem ani śladu tej roztkliwiającej, i nawet nieuczciwej często i przykrej łzawości traktowania „maluczkich".

Jest godność ubóstwa i słabości w zestawieniu tych małych ludzi z „możnymi", przekonywująca szczerość, nietylko pisarska, ale i ludzka.

Zdaje mi się, że każda z tych wartości jest sama dla siebie, oddzielnie biorąc, czemś niezmiernie cennem i rzadkiem. Co się zaś tyczy literackiej wartości tomu „Przymierze serc" — to posiada on niepospolite poprostu zalety kompozycyjne.

Bo każda nowela jest „zrobiona" z takim kunsztem, że tylko poważne muzyczne wykształcenie, jakie posiada Bandrowski, mogło mu narzucić ten ład i celowość kompozycyjną każdej poszczególnej noweli.

To, co w muzyce jest rozwijaniem się i zwieraniem tematu, frazesu muzycznego, jego rozlewnością lub spoistością, znajduje całkowity oddźwięk w tem, jak buduje się, rozwija, płynie, czy przystaje naraz wątek kompozycyjny jego nowel. Te same, niemal, co w muzyce przystanięcia nagłe, najboleśniejsze zawieszenia melodji na ćwierć taktu zaledwie, a tak przecież penetrujące, niezbędne i nieomylne w swej celowości. O ile niektóre nowele, jak „Bal", mają w sobie niemal symfoniczność (sam temat rozrasta się i porywa pisarza w miarę przebywania kolejnych etapów radości, smutków, groteski, wreszcie tragedji), o tyle inne, jak „Musztra", są w swej budowie surowe, jak sonaty, przedziwnego spokoju i równowagi, mimo, że temat skrzy się tysiącem barwności, upiększeń przemyślanych i świadomych. Dojrzałość niezwykła idzie od tej książki.

Zarówno dojrzałość głęboko czułego serca, jak pisarska, męska i mądra Wiedza Życia. *Józef Brodzki.*

BRUNO WINAWER. DOKTOR PRZYBRAM. BIBLJOTEKA KSIĄŻEK WYBOROWYCH. Powieść Winawera! — to już sensacja. Kiedy autor dziesięciu sztuk, granych z dużem powodzeniem i u nas i za granicą (to taki przekonywujący argument dla naszej publiczności i krytyki!) zwróci się do powieści — oczywiście pierwszą, nasuwającą się reflekcją jest: „Teatr go znużył, szuka rozwiązania w powieści!".

Racja niestety tylko pozorna! Powieść Winawera ma wszystkie cechy jego sztuk i nawet sceniczność tę samą i podobne tło.

Zazwyczaj krytyka, już dla samej „naukowości" jego sztuk, lub przynależności jego bohaterów do naukowego świata, traktowała twórczość Winawera, jak jakąś intelektualną zabawę... coś niby „szachy".

Specyficznemu upodobaniu Winawera w przystrajanie życia wymyślnemi aparatami naukowemi, terminami trudnemi nieraz do powtórzenia — a często wręcz niezrozumiałemi, przypisywano obce mu pobudki, sprzeczne niejednokrotnie z prawdziwemi.

Przeważnie Winawera uważano za „zimnego ironistę", „mózgowca", „wyrafinowanego humorystę à rebours", najczęściej zajmowano się jego chudością, lub wyciągano głębokie wnioski z docentury, jaką kiedyś zajmował.

Ach tak — jeszcze i „smutny, wisielczy humor", jako nieodłączny epitet, figurujący przy każdej sposobności.

Ukazująca się obecnie, już druga powieść M. Winawera (Ślepa latarka — wyszła przed 3 laty), nasuwa szereg myśli o istotnych wartościach jego twórczości. Odmawiano mu tak długo wszelkiej „uczuciowości", zdolności do malowania scen tkliwych, czy nawet do stwarzania kobiecych postaci, że i ta powieść będzie przyjęta zapewne również tak samo, z uznaniem dla doskonałego dowcipu, wymyślności akcji, świetnych sytuacyj — przyczem pominiętą zostanie raz jeszcze ta, —pozornie nieistniejąca w nim,— właściwość, o której chcę tym razem przypomnieć i postarać się ją umotywować.



„EGZOTYKA"

RYSUNEK WYKONANY DLA „PANI" PRZEZ AL. RZEWUSKIEGO

We wszystkich dotychczasowych utworach Winawera naukowość miała nietylko ironiczny charakter. W naukowych koncepcjach, pomysłach była swoista utopijność. Czy to zmiana klimatu za pomocą specjalnej dźwigni, przesuwającej punkt ciężkości kuli ziemskiej, czy rozumowania „obłąkanego" według wszystkich prawideł psychjatrji Inżyniera R. H., czy nawet groteskowości wynalezionego „Roztworu prof. Pytla", lub mistyfikacja „Rycerza z Łabędziem" — wszystkie te pomocnicze, zewnętrzne i przypadkowe zbiegi okoliczności miały swą głęboką, nieubłaganą logikę, którą wprowadzał Winawer do zgóry urojonego założenia. Stwarzając logikę absurdalności, rozsadzając „normalność" rozumowania, czy rozwoju wypadków wprowadza Winawer jednocześnie pierwiastek jakiegoś niepokojącego anarchizmu —zapewne, czysto intellektualnego— ale niepozbawionego swoich wartości czysto emocjonalnych, swoiście wzruszeniowych.

I ten właśnie rys, wraz z utopijnością pomysłu jest tą swoistą sferą uczuciowości od której odsądza go uparcie krytyka, a za nią i publiczności. W nowej swej powieści, „Doktór Przybram", Winawera jest swobodniejszy, aniżeli tego wymaga scena, nieznosząca żadnych dygresyj — dlatego też jawniej i dobitniej występują te cechy, których nie wahałbym się nazwać „ukrytą poetyckością" Winawera. „Prometeizm" dra Przybrama, te „zimne promienie", mrożące ludzkości nowe źródła światła — czy to nie ten sam aparat poetyckości, jakim posługują się poeci—w innej, oczywiście, postaci, innych kształtach i kategorjach. Po odrzuceniu całej dekoracyjności i ornamentyki poetyckiej — czyni to Winawer z zaciekłą niemal pedantycznością — doktór Przybram, — jak „Hiob", czy Serafin są wytworami poetyckiej wyobraźni, uniemożliwiającej istnienie najbardziej fantastycznemu wymysłowi, fikcji. Wydobycie tych samych źródeł natchnienia, jakie znajdują poeci w abstrakcji, z nauki, to znaczy z tajemnic już odgadniętych — jest dla Winawera taką samą potrzebą, więcej — koniecznością, jaką dla muzyka stanowi harmonja muzyczna, dla plastyka — linja i t. d. Świat Einsteina, Marconi'ego czy Edisona dla Winawera — tego człowieka nauki — przekształca się w wyobraźni w utopijne możliwości, a raczej niemożliwości — wśród których dotychczas pozwalano przebywać jedynie poetom. Bardzo symptomatyczna pod tym względem jest powieść Słonimskiego — poety „Torpeda czasu".

Prometeizm Winawera ma pozatem wszelkie cechy współczesnej poezji, która bynajmniej nie uważa fal radjowych za temat poetycko niższy od cierpień Werthera.

Bezszelestne reakcje chemiczne, nieubłagane, celowe i tajemnicze, znaki wypisywane na pokratkowanych skrawkach papieru przez stalowy rylec seismografu, obroty wielkich, poważnych i skupionych nieledwie w zamyśleniu — wielkich kół zębatych, ta cała sfera wzruszeń, jakie płyną z mechanicznej mądrości „martwych" przedmiotów, stworzone przez żywy mózg człowieka — to owa właśnie poetyckość, której objawy dostrzegam w „naukowości" i „zimnym intellektualiźmie" Winawera. Że nie pisze wierszy, to niczego nie dowodzi.

Podobno pisał je kiedyś, będąc studentem — a to nigdy nie mija bezkarnie, nawet kiedy się jest docentem fizyki.

Józef Brodzki.

Apulejusza Madaureńczyka: METAMORFOZY albo ZŁOTY OSIOŁ. Z oryginału łacińskiego przełożył Edwin Jedrkiewicz. Rzecz o Apulejuszu napisał Jan Porandowski. Nakładem Tow. Wyd. „Ateneum". Cena 10 zł.

Po raz pierwszy pojawia się w języku polskim całkowity przekład tej najkapitalniejszej powieści łacińskiej, z której tylko jeden fragment — cudna baśń o Amorze i Psyche — był dotychczas tylokrotnie tłumaczony. „Złoty Osioł" jest jedną z najciekawszych książek w literaturze świata, na którą wywarł wpływ ogromny. Przyswojenie go piśmiennictwu polskiemu jest wielką zasługą p. Jędrkiewicza, który dał przekład żywy i barwny. Wstęp Jana Porandowskiego doskonale wprowadza czytelnika w środowisko, w którem ta powieść powstała. Książkę tę weźmie do ręki każdy, kto pragnie się zapoznać z jednem z najciekawszych arcydzieł i kto chce znaleźć lekturę zajmującą, a krzepką i zdrową, jak zdrowym jest śmiech pisarza starożytnego. Szata zewnętrzna książki bardzo staranna.

„MALARSTWO NOWOCZESNE" WACŁAWA HUZARSKIEGO. Jako specjalny, gwiazdkowy tom doskonale prowadzonej „Bibljoteki Dzieł Wyborowych" ukaże się w znacznie powiększonych rozmiarach i z licznemi ilustracjami dawno oczekiwana praca Wacława Huzarskiego p. t. „Malarstwo nowoczesne". Dzieło, obejmujące epokę od Wielkiej Rewolucji do czasów najnowszych ze szczególnem uwzględnieniem sztuki polskiej, jest pierwszą u nas pracą tego rodzaju. „Malarstwo nowoczesne", które poza prenumeratą ukaże się w ograniczonej liczbie egzemplarzy, wzbudzi niewątpliwie wielkie zainteresowanie zarówno ze względu na treść, jak i na osobę autora, który, jako znawca sztuki nowożytnej, zajął ostatniemi czasy stanowisko pierwszorzędne, łączące w sposób rzadki dwie podstawowe zalety w uprawianej przez siebie dziedzinie: wiedzę techniczną zawodowego malarza z umiejętnością syntetycznego ujmowania zjawisk artystycznych.



Fot. Pęcherski

BRUNO WINAWER

JARZĘBINA. Hanna Mortkowiczówna. 1924. Nakładem Tow. Wydawniczego w Warszawie.

Pierwszego tomiku poezyj i pierwszej miłości płoszyć nie należy.

Może to nie być jeszcze tak jak być powinno, ale doświadczenie poucza, iż wprawa czyni mistrzem, a po pierwiosnkach zakwitają najpiękniejsze róże.

Wiersze p. Hanny Mortkowiczówny są jednak takie, jakiemi być powinny. Posiadają bowiem wiele wdzięku niefrasobliwej młodości, nietylko w tem, co autorka pisze, ale w jaki sposób posługuje się słowem i wierszem.

Precz wszelkie formy! Były one dobre kiedyś w czasach trupiego klasycyzmu, o którym opowiadał stary i strasznie nudny nauczyciel. Czyż najgrzeczniejsze nawet dzieci nie mogą sobie wymyśleć swej własnej zabawy?

Więc młodej autorce sprzykrzyły się wszystkie teorje poetyczne i rozumy literackie, liczy już nawet ponoś aż dwudziesty rok życia, więc śmiało obejść się może bez przewodników. Samodzielność autorki nie jest żadną niesforną swawolą, poetka posiada własne poglądy na życie i zjawiska.

Poglądy te są zaś nawskróś malarskie. Pisze, jakby malowała krajobraz.

Wiosna jej:

„Bielą się roztopiła w niebieskim błękicie,
I błękitna czekała na nieznane życie,
Lecz złoty promień słońca błękit w zieleń zmienił,
Więc utonęła ufnie w majowej zieleni.
I tonęła w niej cicho pod słońca pieszczotą
I topiła w niej srebro, biel, róże i złoto".

Lato w pojęciu autorki jest palącą się plamą jaskrów, bursztynu i czarnej ambry.

Zachód słońca:

„Złotą kurzawą światła w zieleń sadów bryźnie
I zakwitnie na niebie jak czerwona róża".

Wrażliwość młodej autorki, jej nieprzymuszona prostota w wypowiadaniu swych myśli, oraz poczucie muzykalności wiersza, układającego się nieraz w bardzo misterne aliteracje i asonancje, dają pewność, iż „Jarzębiny" są tworem szczerego, młodego talentu, który powitać należy jaknajprzyjaźniej. *Cz.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE. Tygodnik pod red. d-ra M. Grydzewskiego. Jak w krótkim czasie pismo może wywalczyć sobie pierwszorzędne stanowisko w szeregu poważnych literackich wydawnictw, stać się bardzo popularnem i dziś już niezbędnem, dowiodły „Wiadomości Literackie", redagowane przez d-ra M. Grydzewskiego, a które dobiegły właśnie 50. numeru od czasu założenia.

Pismo to zaraz od pierwszej chwili nie przestawało ulepszać zarówno swego wyglądu, jak i rozszerzać swych łamów.

Niema istotnie ani jednego wydarzenia z zakresu literatury, zarówno oryginalnej, jak i obcej, które nie znalazłoby niezwłocznie najbardziej rzeczowego omówienia w „Wiad. Literackich".

Zwłaszcza każdy objaw literatury polskiej, teatru, malarstwa i wielu spraw związanych bezpośrednio z literaturą zostaje poruszany w tem piśmie przez najlepsze pióra.

Po za działem systematycznie prowadzonych „Wywiadów" z każdym autorem, który, czy to wydaje swą książkę, czy poruszył jakiś temat aktualny dla naszego życia, recenzjami z wszystkich niemal ukazujących się polskich książek, „Wiadomości Literackie" w bardzo obszernym dziale informują o każdem nowem dziele literatury zagranicznej.

Sensacyjnemi wprost są numery specjalne tego pisma. W 4 dni po śmierci Conrada „Wiadomości Literackie" wydały numer specjalny o tak niezwykłej treści i ilości artykułów pierwszorzędnych piór (z Żeromskim na czele), że nietylko żadne z pism polskich, ale nawet pisma literackie angielskie nie mogły dorównać hołdowi, złożonemu w ten sposób wielkiemu pisarzowi przez polskie pismo.

Numer specjalny poświęcony H. Sienkiewiczowi i A. Francowi był również ewenementem. Najlepszym dowodem tego, jakim autorytetem cieszy się to pismo zagra-

nicą służy dowód, iż pisma zagraniczne w całości przedrukowują artykuły, powołując się na powagę źródła.

Numery poświęcone plastyce (salonowi jesiennemu w Zachęcie, wystawie uczniów architektury), numer architektoniczny, lub „Książki polskiej" — to te piękne rezultaty, jakie kiedykolwiek udało się osiągnąć na tem polu polskiemu wydawnictwu. Dział polemiczny tego pisma, Gilotyna, Książki najgorsze, camera obscura — zjednały sobie wielu zwolenników nieustraszonych, odważnych sądem, a niektóre polemiki, jak np. z powodu artykułu K. Irzykowskiego „O niezrozumialstwie" w szeregu świetnych artykułów przyczyniły się do rozbudzenia nieco ospałej atmosfery literackiej w Warszawie. Pismo jest przytem niemal za rozrzutne, dając w każdym numerze szereg klisz, zdjęć i reprodukcyj.

W porównaniu z pismami zagranicznemi, jak „Nouvelles Littéraires", „Candide", lub „Journal Litteraire"—„Wiadomości Literackie" wytrzymują wszelką konkurencję, spełniając swą rolę najsumienniej i najdokładniej.



JÓZEF PANKIEWICZ — KRAJOBRAZ

Kiedy się pomyśli, że pismo to istnieje zaledwie rok, a już zdobyło taki teren działania, ma za sobą taki ogrom pracy dokonanej — skupiło dokoła siebie tylu ludzi, nabiera się wiary w możliwość realizowania nawet tak szaleńczych pomysłów, jak wydawanie literackiego pisma w Warszawie.

Wyszedł numer pierwszy (inauguracyjny) miesięcznika MUZYKA (redaktor M. Gliński), który zawiera: artykuły F. Busoniego, St. Niewiadomskiego, Igora Strawińskiego, Karola Szymanowskiego, Adama Wieniawskiego, recenzje z opery i koncertów, sprawozdania korespondentów własnych z uroczystości muzyczno-teatralnych w Wiedniu, z premjery baletu L. Różyckiego „Pan Twardowski" w Kopenhadze i z nowej opery Ryszarda Straussa, „Intermezzo", wystawionej w Dreźnie. Treść numeru uzupełniają: „Impresje muzyczne", „Trybuna Artystów", „Przegląd prasy" i kronika. Dział ilustracyjny zawiera między innemi nieznane rysunki Fr. Chopina. W dodatku nutowym nowa kompozycja Emila Młynarskiego „Pasterz do Zosi" (do słów K. Brodzińskiego).

„LISTY Z TEATRU". Kraków ciągle się kłóci z Warszawą — nie chce ustąpić swego prawa pierworództwa w sztuce—zwłaszcza w sztuce teatralnej. Jest to wyścig warszawskiego przepychu i bogactwa wystaw i dekoracyj z wielkiemi tradycjami czasów Stanisława Wyspiańskiego.

Z tej rywalizacji wyrosły „Listy z teatru"; wydaje je teatr im. Juljusza Słowackiego pod redakcją wytwornego teatrologa i krytyka Tadeusza Świątka — przy każdej spesobności ważnej premjery lub wznowieniu. W ten sposób jeden zeszyt poświęcony był cały Tadeuszowi Rittnerowi, drugi—Wyspiańskiemu, trzeci — Dostojewskiemu. Wielki moskal ma wkroczyć na scenę krakowską przeróbką „Idjoty". Polecam ludziom, szukającym analiz głębszych, perspektyw szerszych i odwagi cywilnej w tłuczeniu zwykłych banalnych tablic krytycznych, artykuł Konstantego Srokowskiego p. t. „Dostojewski wobec współczesności". To jest ujęcie rzeczy i człowieka naprawdę współczesne i naprawdę niczawisłe, i zrobione w zupełnym pleinairze. Nadto zwracam uwagę na świeże oryginalne pióro Witolda Wandurskiego, który tutaj poucza uczciwie i subtelnie o „Nowoczesnym dramacie niemieckim", a w pierwszym zeszycie o „Rittnerze", tak jak już przedtem interesująco odezwał się w „Życiu teatru" w kwestji malarstwa scenicznego.



JÓZEF PANKIEWICZ — MARTWA NATURA

„Listy z teatru" dają cenne, poważne, niewarszawskie przyczynki. Artykuły Emila Haeckera, Stanisławy Wysockiej, świetny protest Lorentowicza przeciwko krytykom i teatrom, obłudnie sprzyjającym twórczości rodzimej, a w gruncie rzeczy — jej wrogim. Tadeusza Sinki, Jewreinowa i innych zapewniają skromnemu pismu — walor trwały i powagę w oczach ludzi, czujących i myślących zmysłem i kategorją — istotnej miłości dla wielkiego stylu sztuki.

C. J.

Książki nadesłane do Redakcji „Pani":

ST. A. KEMPNER. Rozwój gospodarczy Polski od rozbiorów do niepodległości. Warszawa, 1924. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

JAN KOCHANOWSKI. Pisma Zbiorowe. Wydał Aleksander Brückner. Tom pierwszy i drugi. Warszawa. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

PISMA BOL. PRUSA. Emancypantki. T. I. Bibljoteka Tygodnika Ilustrowanego. Wydawnictwo Red. Tyg. Ilustrowanego. Warszawa. Zgoda 12.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI. Dzieła, tom pierwszy. Warszawa, 1924 r. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

KAZIMIERZ TETMAJER. Poezje. Serja ósma. Warszawa. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

KORNEL MAKUSZYŃSKI. Rzeczy Wesołe. Warszawa, 1924 r. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

ANTONI MALCZEWSKI. Marja. Powieść ukraińska. Warszawa. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

APULEJUSZA MADAURENCZYKA Metamorfozy albo Złoty Osioł. Z oryginału łacińskiego przełożył Edwin Jędrkiewicz. Nakładem Tow. Wyd. Ateneum.

JÓZEF KORZENIOWSKI. Kollokacja. Warszawa. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

STAN. WITKIEWICZ. Na przełęczy. Nakł. „Bibljoteki Polskiej". Warszawa, 1924 r.

NIETZSCHE FRYDERYK. Narodziny Tragedji. Przełożył Leopold Staff. Warszawa. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

CEZARY JELLENTA. Wielki Zmierzch. Nakl. Tow. „Rapsod".

EDWARD KOZIKOWSKI. Koniec Hortensji Europy. Poezje. Wyd. „Czartak". Warszawa—Kraków.

Książki dla dzieci i młodzieży:

HELENA SOBAŃSKA. O Maleńkiej Marcysi i o gwiazdkach z Nieba. Bajka w 3-ch aktach. Warszawa. Instytut Wyd. „Bibljoteka Polska".

ZOFJA SIKORSKA. Ania i jej przyjaciele. Powieść z życia skautów. Warszawa. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

JERZY ORWICZ. Wódz Narodu. Powieść z czasów młodości Tadeusza Kościuszki. Wyd. M. Arcta w Warszawie.

ANTONI GAWIŃSKI. Lolek Grenadjer. Czarodziejska historja dla chłopców. Wyd. M. Arcta w Warszawie.

O Janku Wędrowniczku. Opowiadania swoim dzieciom MARJA KONOPNICKA. Wyd. M. Arcta w Warszawie.

JULJUSZ GŁOWACKI. O Janku, co psom szył buty. Bajka. Wyd. M. Arcta w Warszawie.

JAN GRABOWSKI. Finek. Opowiadanie. Wyd. M. Arcta w Warszawie.
B. DYAKOWSKI. O Dawnych Łowach i Dawnej Zwierzynie z ilustracjami W. Nowina-Przybylskiego. Wyd. M. Arcta w Warszawie.

sztuka

W szeregu wystaw mniej, lub bardziej retrospektywnych, które przyniósł miesiąc ubiegły, pierwsze pod względem ogólnego znaczenia miejsce zajmuje zbiór dra Kahanowicza, wystawiony pod nazwą „KOŚCIUSZKO W AMERYCE" w pałacu Staszica. Obok znacznej ilości dokumentów i listów, dotyczących Kościuszki, znalazła się tam kolekcja obrazów, śród których zwłaszcza dzieła sztuki polskiej zasługują na bliższą uwagę.

Wiek XVIII reprezentowany jest przez nieznanego bliżej *Michała Nowosielskiego*. Dwa jego krajobrazy, sygnowane i datowane: „Roma 1779", należą do typu pejzażów historycznych i spokrewnione są w sposób widoczny z twórczością Huberta Roberta. Ten rodzaj sztuki był w Polsce, jak się zdaje, dosyć rozpowszechniony: uprawiali go między innemi Vogel i Mańkowski; nie mamy jednak dotychczas żadnego z tej dziedziny dzieła o tak wczesnej dacie. Z wieku XVIII pochodzi również „Przechadzka w ogrodzie", dzieło o wyraźnych pokrewieństwach ze sztuką Watteau. Obok postaci w strojach francuskich spostrzegamy tam również szlachcica w kontuszu, co pozwala przypuszczać, że obraz ten powstał w Polsce. Gdyby przypuszczenie to było słuszne, w takim razie nasuwałoby się samo przez się nazwisko Norblina, jako autora.

Do pierwszej połowy wieku XIX należy doskonała i charakterystyczna „Bitwa" *Orłowskiego*, dziwnym skojarzeniem dążności przypominająca „Bitwę pod Puerta del Sol" Goyi.

Większość obrazów w zbiorach dra Kahanowicza pochodzi jednak ze szkoły naszych realistów z ostatniej ćwierci wieku ubiegłego. Z pośród czterech obrazów *Chełmońskiego*, trzy należą do nieco zbanalizowanej produkcji paryskiej „na eksport", z rozhukanemi końmi i śniegiem; jeden z nich — przedstawiający napad wilków — zdaje się być nawet falsyfikatem. Scena nocna natomiast ma wszystkie zalety subtelnego tonu i świetnej obserwacji, właściwe tym ulubionym Chełmońskiego motywom, których nie malował nikt przed nim i nikt po nim. Poza tym obrazem na uwagę zasługuje *Wierusza-Kowalskiego* jeździec w stroju rokokowym — powstały pod wyraźnym wpływem Maksymiljana Gierymskiego, oraz dwa obrazki *F. Streitta*, jednego z pierwszych, a dzisiaj zapomnianych przedstawicieli owej szkoły, która odkryła piękno i charakter wsi polskiej i polskiego miasteczka.

Obszerny okres malarstwa naszego reprezentowała również ostatnia wystawa w *Salonie Gutnajera;* reprezentowała go przy tem utworami wartości zupełnie pierwszorzędnej. „Portret męski" *Matejki*" jest dziełem z okresu, kiedy indywidualność mistrza krakowskiego dochodzi do pełnej świadomości. Silne wpływy sztuki barokowej łączą się tu z owem napięciem wyrazu, które Matejko dać potrafił tam nawet, gdzie obojętna poza portretowa nie dopuszcza żadnej dramatyczności gestu. Przeciwieństwem tej romantycznej ekspresji jest *Grottgera* „Portret narzeczonej", spokojny, skupiony, wyraźnie idealizowany i posiadający tyleż słodyczy, ile portret Matejki zawiara napięcia i rozmachu.



WŁ. SKOCZYLAS RYNEK W MIASTECZKU

Spory zbiór *J. Kossaka* mieści najwybitniejsze niemal prace, powstałe po powrocie artysty z Paryża. Dwa obrazy pod wspólną nazwą „Stadnina" są szczytem obserwacji urodzonego animalisty; realizm ujęcia nie przeszkadza tu zwykłej u Kossaka harmonji kompozycyjnej.

Z obrazów *Brandta* pierwsze miejsce zajmował „Wesoły kwaterunek"; sposób obserwowania życia chłopskiego, kompozycja, barwa i ton — wszystko świadczy w tym obrazie o poważnych studjach nad sztuką flamandzko-holenderską — zarazem zaś toruje drogi kształtującemu się realizmowi.

Realizm ten, zupełnie już świadomy i zrywający ostatecznie z tradycją malarstwa historycznego, znajduje świetny wyraz w wystawionych obok dziełach *Chełmońskiego*. To zestawienie wykazuje wyraźnie, jak ścisły związek zachodził między twórczością obu artystów; jak konsekwentnie rozwija realista — Chełmoński pierwiastki, zawarte w twórczości swego starszego o lat dziesiątek kolegi, wiernego jeszcze tradycjom romantycznym.

Inny odcień realizmu, graniczący już wyraźnie z naturalizmem, reprezentowali na rzeczonej wystawie Gierymscy. *Maksymiljana Gierymskiego* „Powrót z polowania", scena kostjumowa z rodzaju tych, w których celowali Meissonier i Menzel, jest zdumiewającym przykładem ścisłości, którą osiągnąć można w tego rodzaju rekonstrukcjach. „Przekupka pomarańcz" *Aleksandra Gierymskiego*, przy swym ścisłym, rzeczowym realizmie, posiada zalety tonu i faktury, zmuszające do porównań z wielką tradycją sztuki rodzajowej flamandzko-holenderskiej.

Obrazy *Siemiradzkiego, Wierusza - Kowalskiego, Ajdukiewicza, Alchimowicza* w dziale retrospektywnym, oraz większe zbiory *Malczewskiego, Falata, W. Kossaka* stanowiły dopełnienie tej wysoce ciekawej wystawy.

Przejście pomiędzy sztuką retrospektywną, a twórczością współczesną stanowi WYSTAWA KARYKATURY POLSKIEJ w kamienicy Baryczków. Chronologicznie i artystycznie pierwsze wśród eksponatów miejsce zajmuje spory zbiór szarż i rysunków charakterystycznych *Orłowskiego*. Dar obserwacji, niezatarty przez studja akademickie lub muzealne; bezpośredniość natury młodej i rozmiłowanej w życiu; humor wreszcie pogodny i niefrasobliwy czynią z Orłowskiego pierwszorzędnego artystę w tym wesołym dziale. Jego kolekcja typów i głów charakterystycznych jest nieocenionym dokumentem epoki Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Z podobnym darem obserwacyjnym, choć z mniejszym rozmachem ujęta jest serja karykatur *Jakuba Sokołowskiego*, przedstawiająca tę samą epokę. Przewijają się tu wszystkie znakomitości owczesne, od generalicji począwszy, a kończąc na urzędnikach i palestrze.

Trzecim karykaturzystą, lub raczej humorystą zawodowym, reprezentowanym na wystawie, jest *Kostrzewski*. Wystawione u Baryczków rysunki budzą żal, że niepośledni ten talent, o którym świadczą niezbyt liczne obrazy olejne, rozproszył się tak zupełnie w drobnych rysunkach, rozsiewanych co tydzień dziesiątkami po wszystkich pismach humorystycznych.

Do działu retrospektywnego należą jeszcze doskonałe, choć przygodne rysunki humorystyczne *Matejki, J. Kossaka, Norwida, Wys*-



WŁ. SKOCZYLAS MOTYW Z BOLONJI

pańskiego. W dziale współczesnym — obok grotesek *Wojtkiewicza* — wysuwają się na pierwsze miejsce karykatury *Sichulskiego.* Są to, obok Orłowskiego, najwybitniejsze bodaj na wystawie dzieła. Poczucie charakteru, graniczące z rodzajem wizjonerstwa realistycznego; rysunek żywy, pewny, a zarazem groteskowo-kapryśny, osobliwy wreszcie odcień humoru podnoszą tę serję karykatur do poziomu istotnych dzieł sztuki.

Obok Sichulskiego wyróżniają się: *Mackiewicz,* którego nieporównane typy wojskowe z różnych formacyj stanowią ciekawe „pendant" do kolekcji Jakuba Sokołowa nie czujący charakter głowy, a umiejący zarazem posługiwać się plamą czarno-białą w sposób istotskiego; *Głowacki,* rysownik świetnie artystyczny; *Wierciak* z serją Solskiego w rolach popisowych, *Grabowski* z galerją typów wojskowych, ruchliwy *Jotes,* swoistym humorem odznaczający się *Szygell* i wielu innych.

Wystawa zorganizowana jest i ułożona bez zarzutu.

Z najnowszą produkcją Pankiewicza i Skoczylasa zapoznaje nas czynny jak zawsze i ruchliwy SALON GARLIŃSKIEGO. Obrazy *Pankiewicza,* stanowiące plon ostatniej jego wycieczki artystycznej na południe Francji, wykazują dalszy, wysoce konsekwentny rozwój artysty, który, rozpocząwszy działalność jako impresjonista ze szkoły Moneta, poprzez szereg zmian i ewolucji powrócił niejako do punktu wyjścia swej twórczości, wzbogaciwszy ją jednak całym zapasem zdobyczy i doświadczeń, zgromadzonych przez trzydzieści pięć lat pracy. W obecnej fazie swego rozwoju zaliczony być może Pankiewicz do typu post-impresjonistów, łączących zdobycze kolorystyczne impresjonizmu z nowoczesnem zrozumieniem formy i z nowoczesnem ujęciem kompozycji. Kompozycja ta, w której realizm łączy się z niezawodzącą nigdy harmonją, doskonały odpowiednik znajduje w kolorystyce Pankiewicza, i ona bowiem, wychodząc z założeń realistycznych, przetwarza je jednak zawsze na wartości dekoracyjne. Dopełnia tej świetnie zrównoważonej sztuki faktura prosta, pozornie skromna, jednocześnie zaś wyzyskująca do najdalszych granic możliwości techniki olejnej.

Inny zupełnie typ sztuki reprezentuje *Skoczylas.* Jak Pankiewicz w impresjonizmie, podobnie znajduje Skoczylas punkt wyjścia w owej analizie formy, tak znamiennej dla ostatniego piętnastolecia; a formy te układają się u niego w rytmy pewne, wyraziste i jasne. Charakterystyczne są dla tej rytmiki kompozycyjnej zwłaszcza krajobrazy oparte na motywach Kazimierza Dolnego, gdzie artysta dowolnie zupełnie przesuwa szczegóły o ile tego wymaga harmonja układu.

Odrębny dział stanowią na wystawie studja dziewcząt przy pracy; z póz i ruchów, zaobserwowanych w naturze, wydobywa tu Skoczylas wielkość i majestat, przypominający mimowoli nieśmiertelną „Jesień" Francesca Cossy z Muzeum berlińskiego.

Dopełniają wystawy bogate w kolorze studja z Włoch i Konstantynopola.

Wacław Huzarski.

WYSTAWA STUDENTÓW ARCHITEKTURY w Politechnice warszawskiej jest owocem wycieczek zagranicznych, organizowanych przez Związek Słuchaczów pod przewodnictwem profesorów. Znajdujemy tu studja z Francji, Włoch, Anglji, z Turcji europejskiej i azjatyckiej. Dwie cechy zwracają przedewszystkiem uwagę na tej wysoce interesującej wystawie: doskonała orjentacja, sprawiająca, że w podróżach swoich notują studenci te właśnie motywy, które dla sztuki danego kraju są istotnie charakterystyczne, oraz wysoka kultura rysownicza, umiejętnie łącząca tradycję ze zrozumianą w sposób właściwy nowoczesnością. Widoczne jest w tych pracach przejęcie się rysunkiem architektonicznej epoki klasycyzmu, głównie sztychami Piranesiego; jednocześnie zaś zrozumienie bryły i formy jest całkowicie nowoczesne. Świetna technika tych rysunków jest poważną zasługą pracy pedagogicznej prof. Kamińskiego. Ogólny poziom artystyczny wystawy wskazuje, że na Politechnice warszawskiej architektura rozumiana jest nietylko jako konstrukcja, ale również jako sztuka.

Wacław Huzarski.

Z WYSTAWY KARYKATUR



W. WOJTKIEWICZ — PESYMIŚCI

teatr

UCZCIWY MIESIĄC WARSZAWSKICH TEATRÓW. Można wiele dawnych grzechów zapomnieć warszawskim teatrom dla ostatniego miesiąca, kiedy na dwóch scenach jednocześnie grano Szekspira, a na trzeciej, po Słowackim — Fredrę i Zorillę, później w Teatrze Polskim zluzował Szekspira Bernard Shaw, a u Bogusławskiego—miły, staroświecki Kamiński. Jeśli to jest nagroda dla nas, żeśmy w przeszłym sezonie nie wygwizdali paru przedstawień — to nasza święta cierpliwość nie poszła na marne.

Był to oczywiście przypadek — ale z tych wszystkich wieczorów zrobił się poprostu pouczający festiwal, zaczęty słusznie Fredrą, w którym jest najczystsza rasa zarazem polskiego życia i teatru; jego „Dożywocie" zagrał Teatr Narodowy doskonale w stylu, w tym właśnie tyle osławionym i opłakanym, a tak nie do utrafienia dla młodszych autorów. Bezradni albo bezduszni reżyserowie próbują ostatnio sztucznie odmładzać starzejącego się jakoby Fredrę przez stylizację. Niezmiennie świetny Solski bawił zabawni a smaczni: pp. Zieliński i Bednarczyk — przed innymi zaś przepolski pan Chmieliński w rezonerskiej napozór roli Orgona — wszyscy mówiący wierszem doskonale — pokazali, co to znaczy nie rozumieć, ale czuć świat i ludzi Fredry— to cały sekret t. zw. stylu.

Zdaje się zresztą, że jeśli Teatr Narodowy, że mu nie wypomnimy zarżniętego reżyserską piłą „Mazepy", utrzyma się w swej ambicji reprezentowania szlachetnego patosu i klasycznych form teatru — może się stać dzięki świetności swych artystów naszą akademją i poezji dramatycznej i aktorskiego rzemiosła; tem chcielibyśmy go widzieć nie na złość innym teatrom, ale właśnie dla ich wspólnego dobra.

Niespodziewanie jednolita, tragiczna — jak chyba od śmierci starego Leszczyńskiego-niczyja — opanowana w ruchu, głosowo postawiona i porywająca gra Węgrzyna w „Don Juanie" Zorilli — była właśnie takim popisem, których od Teatru Narodowego będziemy się spodziewać więcej. W żarliwym, zapalonym prawdziwą namiętnością, świecącym brylantami rymów dramacie Zorilli nikt pozatem nie grał według tej wysokiej miary — reżyser pozwolił nawet pani Ordon-Sosnowskiej na nutę z „Zagrody Sobkowej" w dramacie hiszpańskim, a ślicznej pannie Majdrowiczównie na zbyt już lekceważącą bezduszność — ale i w głębokim natchnieniu Węgrzyna i w olśniewającym przepychu i fosforycznych światłach przekładu Miłaszewskiego było dosyć poezji, aby wykąpać w niej i zaczarować nią cały spektakl.

Jeśli tej właśnie poezji brakło „Henrykowi IV" Szekspira w teatrze Polskim, to naturalnie nie z winy kulturalnego i świetnie zorjentowanego w tekście pana Ordyńskiego, ani dlatego, że szlachetnie deklamujący i wyniosły p. Leszczyński nie miał tym razem dość rozmachu, ani nawet, że dekoracje p. Frycza nie były tak pyszne, jak mogły nieraz doskonale nie być, a właśnie w „Henryku" być powinny.

Nikt dotychczas nie pokazał na scenie „Henryka IV" tak, aby miały dosyć koloru i życia jednocześnie, — wzniosłość i śmieszność, które w większości dramatów Szekspira splatają się jak w życiu — nierozdzielnie, a właśnie w „Henryku"—jakgdyby grały osobno. Pan Ordyński zrobił główną postacią Falstaffa, ale Zagłoba, którego na pamięć znamy, jest jego rodzonym synem, który przeszedł ojca — dlatego nie bardzośmy się śmieli z zabawnego p. Zelwerowicza gdyby nam pokazano misterjum władzy królewskiej — ktoby to zrozumiał!!

Dlatego też nie weźmiemy panu Schillerowi za brak pietyzmu tej odwagi, z jaką nagiął do swego gustu „Opowieść zimową"

Z WYSTAWY KARYKATUR



K. SICHULSKI — IRENA SOLSKA



Fot. J. Malarski

MARJA MAJDROWICZ
jako Donna Suez (Teatr Narodowy)



Fot. J Malarski.

JÓZEF WĘGRZYN
w roli Don Juana (Teatr Narodowy)

Szekspira — nie wiem, czy ci, którzy tak hałasowali przeciw, co za głupie słowo, „futuryzmowi" tego przedstawienia — mogliby znieść dziś już zupełnie nie do pojęcia makabryczność tej bajki, gdyby ją teatr nie zrobił właśnie tą bajką, to znaczy nie zatopił w nieziemskich światłach i nie odebrał nawet jej ruchom — wszelki, poza pięknem, sens i prawdopodobieństwo. Teatralnie było to zrobione, nawet nie jak na popularną scenę, prześwietnie, cały młody zespół był chwalebnie posłuszny w scenach zbiorowych, conajmniej poprawny w solach, piękny patos miała pani Kunina, a pani Horecka ton ciepły i głęboki; elektryczność grała jak urodzony i rutynowany aktor.

A później w „Skalmierzankach" Kamińskiego dawna scena „Nowości" zadrgała życiem nie tem sztucznie szalonem z operetki, ale szczerem, prawdziwem, młodem, nawet krytykę biorącem za zimne serce. Pan Schiller znów okazał prawdziwą twórczość, odkrywając w niby naiwnym romantyzmie Kamińskiego jego baletowo-pseudoklasyczne pochodzenie; zamiast ckliwej, nudnej komedyjki zagrali dowcipną i pikantną ciuciubabkę pudrowanego petit-maitre'a z wieśniaczkami: pani Żabczyńska, pełna temperamentu i dowcipu, w miejscu nie mogąca ustać, akurat dobra w tej roli — za konwencjonalna pani Mazurkiewiczowa, piękny jak z obrazu Watteau pan Żabczyński, wesoły i prawdziwie krakowski, pan Solarski — to już jest specjalna sztuka aktorów Bogusławskiego, że robią teatr — z teatrologji.

A „Święta Joanna" Shawa pokazała czem jeszcze dzisiaj jest teatr i to nie dla zjadaczy wrażeń, ale właśnie dla tego zadumanego człowieka, któremu tak pohopnie teoretyzująca współczesność chce do myślenia zostawić tylko książkę, a na zabawę posyła go do kina. W „Świętej Joannie" Shaw, który sam się nazwał „lepszym Szekspirem", napełnił klasyczną, z wzniosłości i komizmu stopioną formę szekspirowską, żywą, współczesną treścią, mroki wiecznie żrących się namiętności rozświetlił światłem zwycięskiej myśli nowego człowieka, który coraz więcej wykrada Bogu sekretów zarówno jego miłości jak i koniecznego okrucieństwa.

W „Świętej Joannie" myśli grają jak namiętności i dlatego głupi ludzie nie widzą, że to jest prawdziwy dramat, bo nie rozumieją ani lepszych ludzi, ani tego, że ideały mają też swoje życie. Dlatego też okrzyczano Shawa za wroga katoli-



JERZY LESZCZYŃSKI
w roli Henryka IV (Teatr Polski)

Fot. St. Brzozowski

ZMARTWIENIA PANA HAMELBEINA
St. Krzywoszewskiego (Teatr Letni)



MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA
w pijamie z prac. G. Zmigrydera

cyzmu — podczas gdy w „Joannie" jest on tylko jego genjalnym dramaturgiem.

Śliczna p. Malicka, grająca Joannę w teatrze Polskim, była chlubnie staranna i bardzo artystyczna, pp. Justjan, Stanisławski i Samborski oddali wiernie wszystkie finezje djalogu, a całe przedstawienie było tak zarazem dramatyczne i inteligentne, jak to się należało Shawowi, który przedewszystkiem pozwala się cieszyć z tego, co miało być sensem tych stu wierszy: Nie jest tak źle na świecie z teatrem. Możemy sobie powiedzieć: I w Warszawie także.

Jan Lechoń.

SKALMIERZANKI. Na każdą premjerę w teatrze im. Bogusławskiego przychodzą nie tylko teatromani, lecz i artyści z pod znaku innych muz. Wiedzą, że zobaczą coś ciekawego i nowego, to znaczy: coś starego z umiłowań p. Schillera, ale przetransponowanego na nowe środki artystyczne.

„Skalmierzanki" mają blisko sto lat. Jan Nepomucen Kamiński pisał wesoło i z tą filozofją swojską, która czaruje, jeśli ją zestawić z obłudą dzisiejszą. Pamiętam, w pewnym domu obywatelskim w pułtuskiem nagradzano trzemaset rublami każdą dziewuchę, która przez trzy lata była absolutnie cnotliwą. Ceremonja odznaczenia odbywała się w obecności całego dworu, karbowych, oficjalistów i zrównanego z włodarzami guwernera. Zawsze tedy znajdowała się jakaś dziewczyna tak sprytna i gorliwie chodząca do kościoła, że pani dziedziczka-kolatorka wypłacać mogła ową premję. W „Skalmierzankach" tak naiwnych jaśniepaństwa niema. Dają nagrodę za niecnotę — i okazuje się, że wszystkie panny wiejskie wiedzą dobrze, co to kochanek. Tak to rozumiem — to jest staropolski humor i to jest tężyzna otwartego poglądu na świat.

Gdzie taka szczerość panuje w sztuce — tym razem nazywa się ona „komedjo-operą" — tam jest wogóle dużo szczerości i wesela. Nawet pan dziedzic Żurosław, lalka francuska, marzący ustawicznie o Szwajcarkach z kantonu Szwyc—zatęsknił za miłością polską i nawraca się w końcu na swojszczyznę. Tylko dlaczego p. Żabczyński, mający tyle dobrych warunków scenicznych, mówi tak gardłowo i tak zwane „żydoczenie" uważa za właściwość manjery sielankowej?.

Dzięki tak gremjalnie ujawnionej niecnocie skalmierzanek, Żurosław mógł się ich wyrzec i pojmuje za narzeczoną Wandę Wesołowską. Proszę iść zobaczyć i spróbować nie śmiać się, jak p. Zabiełło-Mazurkiewiczowa podryguje; ta śpiewaczka nie uchybi nigdy stylowości dawnych aryj i piosenek, ale jako aktorka ma swoje koncepty niezrównane. A jaka rutyna i znajomość rzeczy jest w grze p. Micińskiej, jako Marcinowej, wybornym typie ambitnej i ciepłej, ale niczego jeszcze wdówki. Wymienię jeszcze p. Żabczyńską, jako jej córkę, p. Zbyszewskiego jako ekonoma, p. Solarskiego, młodego garncarza; jest to aktor ale niezawodny i z zadziwiającą rezygnacją znosi swojskie pranie po gębie. I wreszcie p. Jarnińskiego, jako głuchego bakałarza-organistę.

Reżyserja, którą program łączy z nazwiskiem p. Strachockiego, potrafiła wyzyskać sceny zbiorowe, a zabawę z konikiem zwierzynieckim na powitanie młodego dziedzica uczyniła widowiskiem świetnem i zabawnem. Wogóle, jak to się dzieje stale w teatrze im. Bogusławskiego, taniec, ruch, wesele, bogaty kolor zawsze, po jakiejś scenie mniej wdzięcznej lub zajmującej, dają młodą, malowniczą hulaszczość, która wywołuje oklaski przy otwartej kurtynie.

Dekoracje, uproszczone pejzaże Andrzeja Pronaszki, są pełne soczystości i utajonego światła i nie wstydzą się wcale czerwieni, która z jaskrawemi chustami, kieckami i kierezyjami harmonizuje wprost przedziwnie, a w rysunku, lekkie są, jak sam ruch i tan.

Muzyka w „Skalmierzankach" jest kompozycji Buschnego. Nie udawajmy, że go znamy — dawny to, zapomniany mistrz, „autor wielu popularnych swego czasu polonezów" — jak objaśnia libretto. Był, oczywiście, pod wpływem i czarem Mozarta, więc już zabezpieczył się przeciw jałowości. Jego tematy są miłe i zajmujące. Orkiestra znalazła się znowu na dawnem miejscu, miedzy widownią a sceną. Powrót bardzo pożądany i szczęśliwy. Dyrygował młody kapelmistrz, pewnie p. T. Zalewski.

C. J.

„ZMARTWIENIA PANA HAMELBEINA". Byłem jednym z niewielu warszawian, którzy tę sztukę teraz dopiero poznali. Gdybym chciał być koniecznie modnym, powiedziałbym: siedziałem zgorszony, wyszedłem oburzony. Otóż nie, bawiłem się doskonale i zdziwiony byłem, że Stefan Krzywoszewski taką porządną rzecz napisał. Nie, żebym go uważał za niezdolnego zasadniczo do komponowania zręcznie i inteligentnie—lecz, że ostatnie jego eksperymenty powagi były mało fortunne. Tu on jest w swoim żywiole. Znawca ludzi, wytrawny dziennikarz, wybitnie jasny i zdrowy rozsądek, obserwator — wykombinował rzecz sceniczną, trochę płaską, niby na kawałach opartą, a przecież tchnącą komicznie-żałosną prawdą. Kalkulował przytomnie i sprytnie, odnowił komedję nowem źródłem komizmu — akcjomanją i dowcipami polityczno-ministerjalnemi, zrobił to i owo, ale dał bądź co bądź niezafałszowany pretensjami szmat parodystyczny życia nowobogackich i ich środowiska.

Pan Hamelbein z firmy „Markus, Hamelbein i Spółka w Ozorkowie" obfituje w dobre efekty sceniczne. Jego żona śliczmie pokazuje uda, wystawa pyjam bawi kolorystycznie oko widza; popisy kabaretowe asekurują przeciw nudzie i t. d. Jeśli tę sztukę traktować jako farsę—będzie najlepszą z polskich fars, jeśli—jako lekką komedję, również ma szanse długowieczności. Zbudowana jest na doświadczeniu, które powiada: mniejsza o środki i drogi—chcę, żeby to tchnęło życiem i nie było całkiem papierowe.

ZMARTWIENIA PANA HAMELBEINA
St. Krzywoszewskiego (Teatr Letni)



MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA
I JUNOSZA-STĘPOWSKI

Pan Hamelbein zgromadził w sobie tylu wybitnych artystów, że jego dzwoneczki u czapki dźwięczą jak szczere złoto: Ćwiklińska, Brydzińska, Junosza - Stępowski, Fertner, Skonieczny, Chaveau i t. p. garściami wpychali to złoto do kasy teatru Letniego i kieszeni autora.

Cez. Jel.

ŚPIEW ŁABĘDZI OPERETKI. Kiedy „Zemstę Nietoperza" Jana Straussa grają w wielkiej Operze wiedeńskiej, a „Bettelstudenta" Millöckera w wiedeńskiej „Volksoper" — to jest to apoteoza operetki po jej zejściu z tego świata, skończeniu się okresu jej rozkwitu. Aktem zaś wcześniejszym jest „Hrabina Marica" Kalmana w warszawskim teatrze „Nowości". To nie apoteoza, lecz śpiew łabędzi tej dogorywającej formy muzyczno-teatralnej.

Albowiem z typu operetki nie wiele tu zostało. Niema już podłoża komedjowego, jak u Lehara, Falla, Straussa, niema pola dla artystów, umiejących rysować figury charakterystyczne. Niema satyry i niema dowcipu. Niema oryginalnego konceptu treści, jak w „Madame Pompadour" lub „Wesołej wdówce". Tego wszystkiego niema. Zabił inwencję, komedję i dowcip p. Stolz, Kallman, Walter Kollo i im podobni. Pozostał po nich „kawał", małżeństwo księcia lub księżny z nieksiężną lub nieksięciem i t. p. I bardzo dużo cygańskiej, węgierskiej, rozdzierającej, sentymentalnej muzyki. Szablon treści pucybutowo-głupiej i szablon muzyki katzenjammerowej — oto wielki kościec dzisiejszej operetki.

Cóż miały czynić „Nowości" z „Hrabiną Maricą" po „Księżnej Czardaszce" i „Bajaderze", żeby zatuszować ciągłe u Kallmana przekładanie z lewej kieszeni do prawej i z prawej do lewej? Chwycić wiatr czasu i unieszkodliwić muzykę przez taniec, feerję,

wystawę i malowidło sceniczne. „Hrabina Marica" to już koniec operetki, uwieńczony przepychem dla oka i bardzo efektownie i po malarsku pomyślanemi grupami. Śród nich króluje p. Kazimiera Niewiarowska swoim wdziękiem gamena i blaskiem swego ciała. A gdy wejdzie na scenę w wielkiej aureoli obręczy dokoła głowy i w stu trenach z strusich piór — to nawet grać i obracać się nie może — tylko czaruje, oślepia i rozdziawia ludziom gęby. Marica jest magnesem o niemalejącej sile przyciągania — lecz już nowym rodzajem widowiska. Jakgdyby chciała dać zapomnienie całego wstrętu i kłopotu realnego życia. Widownia jest codzień od dwóch miesięcy pełna. Wszyscy koryfeusze grają; pp. Sokołowska, Redo, Morozowicz, Szczawiński, Mierzejewski, Sendecki, Manowska. Może już nie pamiętam, tylu ich jest i takie jest bogactwo środków artystycznych i urozmaicenie obsad, porządna robota malarska i reżyserska. Tak Warszawa śpiewa pieśń łabędzią Operetki..

C. J.

muzyka

OPERA. Teatr Wielki po letargu letnio-jesiennym, który tak łudząco był podobny do śmierci, nie nabrał jeszcze rumieńców życia. Jeszcze jest szary, blady i ciężki. W repertuarze — żadnego skoku ani ruchu. Defilują przed nami wszystkie już ponad wytrzymałość ludzką ograne opery. Publiczność przeważnie trzyma się zdala. Nie wiele pomaga co wtorkowa świetność lóż pierwszego piętra, wypełnionych dyplomatycznemi dekoltami i frakami. W lożach tych gwarno, gdyż misje bawią się sobą cercle'owo, a wreszcie widowni niemrawo od zakłopotania publiczności, niewiedzącej jak się zachować i jak słuchać opery. Niespodziana „kartka" wyrwała tych ludzi nagle z domowego zaniedbania i tak oto przyszli i w krzesłach zasiedli, smutni, jako owe przez szczury nadjedzone dekoracje podtatusiałych arcydzieł Verdiego, Halevego, Mejerbeera et caetera.

W takiej atmosferze, z której nastrój wypompowano aż do pustki torricellowskiej, i biedny krytyk staje się pomimowoli — czarnowidzem i defetystą. Nie może więc nie zauważyć, że „Goplana" Żeleńskiego, tego najlepiej wyrównanego z kompozytorów polskich, tego polskiego Mendelsohna, już nazbyt nielitościwie obeszła się z „Balladyną" Słowackiego i za wiele poświęciła w większej tragedji zbrodni i ambicji dla dobra swojskiego snu nocy letniej. Współczułem z p. Budziszewską, gdy jako Balladyna właśnie, ta niezmordowana i rozżarta makbetycznie samozwanka nie wie, co z sobą robić przez długi szereg końcowych scen i siedzi na uboczu, w sposób godny kopciuszka.

Innego znów wieczoru, gdy po kilku latach niegrania wznowiono „Erosa i Psyche" Ludomira Różyckiego, trudno było oprzeć się wrażeniu połowiczności. To nie jest dośpiewane i dopowiedziane do końca. To blade widma tematów raczej niż tematy same, owinięte dokoła zasadniczego motywu przewodniego tęsknoty, który również został bez potęgi i gorąca — i zatrzymał się na progu skromnej, zawodzącej melancholji. Widocznie wiele się zmieniło w nas i dokoła nas od owych chwil, kiedy triumf „Erosa i Psychy" na scenach niemieckich sugestjonował nas i wydawał się triumfem absolutnym. Nie — dzisiaj widać, że Różycki nic z siły swego zwykłego kolorytu orkiestrowego i swojej namiętnej kantyleny w pieśniach nie przeniósł na muzyczną charakterystykę osób działających i bohaterów. Wiele tu zresztą winna zła od samego początku obsada, która wniosła trochę wdzięku i ciepła, ale nie wniosła duszy. A Psyche bez duszy, w istotniejszem znaczeniu tego słowa, to—przyznacie—eksperyment niebezpieczny, przy którym Eros musi stracić skrzydła, a słuchacz zodowolenie.

Innym razem — w „Tanhäuzerze" Wagnerowskim podziwialiśmy p. Zboińską-Ruszkowską. Oto księżna i oto prawdziwa Elżbieta. Nie tylko jako postać i gra, lecz przedewszystkiem, jako śpiew. Znakomita sopranistka skądciś wzięła nowe zasoby świeżego głosu; brzmi on metalicznie i majestatycznie. To ciągle jeszcze „wielka klasa".

I dlatego zróbmy p. Zboińskiej zarzut, że śpiewa Aidę. Tutaj nawet tak skończony, doskonały kunszt wokalny nie może nagrodzić dysonansu w aparycji scenicznej. I znowu wyraźnie uczuliśmy niedopatrzenie ze strony dyrekcji czy reżyserji opery.

Już teraz — gdy zazwyczaj dopiero w czerwcu — przesuwają się występy gościnne, ale nie są fortunne. Pan Umberto Urbano, baryton, zaczął od partji Jagona w „Otellu" Verdiego. Smukły, wysoki, płowowłosy, prawie że seraficzny Włoch był w takiej właśnie prezencji czy charakterystyce dość szczególnym materjałem na psubrata Jagona, który swą przewrotność aż do świadomej szatańskości doprowadza. Tych braków indywidualności i, co za tem idzie, gry, nie wynagrodził bynajmniej śpiew. Był poprawny, często zwłoska odważający się na otwarte tony, ale niczem nie brał. Ani siłą, ani wyrazem, ani materjałem. Głos p. Urbano jest ledwo średniej mocy, a emisją piersiową bardzo przypomina p. Ordę, który daleko więcej miał talentu.

Zawiódł również p. Belina-Skupiewski. Była przecież po nim pamięć pięknego głosu i osobliwie ładnych i dźwięcznych nut górnych. Tym razem wysokie rejestry dopisały, ale cała „celeste Aida", jak i arja nad Nilem świadczyły albo o silnej niedyspozycji krtani, albo o czemś, mniej przejściowem, bo o jakiemś psuciu się głosu. Jeśli w tym śpiewie Radamesowym nie było zwyczajnej ostrożności artysty zakatarzonego, to była to pewna bezdźwięczność i wodnistość średnicy.

Ignacy Dygas wyjechał do Ameryki. Belina-Skupiewski nie zdobył lauru wirtuoza— bez rywali więc został p. Gruszczyński.

I trzeba dodać, zachowując cały żal do tego artysty, że nie objął berła po sławnym Caruso, do czego był predestynowany nie tylko według mego zdania, lecz i według mniemania wszystkich wybitnych znawców zagranicznych—że Gruszczyński do dnia dzisiejszego jest śpiewakiem, największą i najpełniejszą dającym satysfakcję w operze warszawskiej. Jego wielka intuicja dramatyczności i heroicznego gestu—nie stała się, niestety, intuicją, rozumiejącą własne skarby głosu i jego przedziwnej barwy; nie sięgnęła po pracę i studja, żeby zajaśnieć światu całemu. Ale śpiewak doskonały i pełny posągowej dostojności—jeszcze jest, choć z głosem, przez nadmiar występów nieco osłabionym. Trudną partję Otella przeprowadził z artyzmem i czystością tonu, z siłą i przejęciem, jakgdyby dla niego napisał sędziwy już maestro tę operę, tak o niebiosa wyższą od „Aidy" w swych arjach oryginalnych, wspaniałych, szczerych i wielkiej treści szekspirowskiej nie uchybiających.

Niemniej interesujący był Gruszczyński w partji księcia w operze Młynarskiego „Letnia noc" — był zresztą jej głównym filarem, gdyż nikłe libretto tak zbagatelizowało—niesłusznie—i samą kompozycję, że tylko tęgi i lubiany solista mógł całości dodać siły atrakcyjnej. Zwłaszcza pięknie wypadł śpiew w pięknej też arji do portretów przodków. Dobrze bowiem jest zaznaczyć przy sposobności, że „Letnia noc" padła ofiarą pewnych chwiejności i niezręczności taktycznych dyrektora opery i ściągnęła na siebie surową krytykę. P. Młynarski ucierpiał niesprawiedliwie. Jego muzyka jest w najlepszym smaku, o charakterze poetycko-entuzjastycznym, ma jednolitość charakteru i świetną instrumentację. Płynie łatwo i nigdy nie jest błahą. Powtarzam—stała się jej wielka krzywda. Ma prawo być graną częściej i nieprzesadzać w skromności.

Ale oto w ostatniej chwili przybył nowy, istotny tenor — podobno z Poznania. Pan Sowilski może mieć przyszłość przed sobą, jeżeli nie będzie śpiewał nosowo-gardlanie i ładniej będzie wymawiał. Inaczej wysoki jego głos, w górnych nutach krystalicznej mocy i czystości i wogóle łatwy — będzie zostawiał słuchacza zimnym. We wdzięcznej partji Eleazara widać było wyborny materjał i — brak wyższego smaku.

Partnerką p. Sowilskiego była p. Margot Kaftal. Jestto, mimo swe nierówności głosowe, najlepsza z „Żydówek", bo wnosi w nieco ospałą atmosferę i starzyznę dzieła—życie dramatyczne i temperament w śpiewie. Ma



STANISŁAWA DOBROWOLSKA

Kierowniczka znanej w szerokich kołach artystycznych Warszawy *szkoły śpiewu p. Stanisława Dobiwa-Dobrowolska*, po dwuletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych, powraca do kraju, by wznowić swą pracę pedagogiczną.

Otrzymaliśmy szereg wycinków z prasy Chicagoskiej i Nowojorskiej, omawiających działalność artystyczną i pedagogiczną p. Dobrowolskiej. Czytamy tam, że: „pani Doliwa bez reklam żadnych, bez których Ameryka nie umie się obejść, pracuje po cichu, ale daje wielkie rezultaty" („Słowo Polskie"). „Popis szkoły śpiewu p. S. Dobrowolskiej (22 maja r. b. w Nowym Jorku) był jednym więcej dowodem, jakie nadzwyczajne wyniki może w zadziwiająco krótkim czasie uzyskać umiejętna, sumienna, a świadoma swego celu praca" („Głos Narodu"). Oprócz pracy pedagogicznej, która zgromadziła koło niej poważny zastęp uczennic, zarówno Polek, jak i Amerykanek, wzięła p. Dobrowolska udział w szeregu koncertów, o których prasa tamtejsza równie gorąco wspominała.

ona swoich, bardzo licznych zwolenników, z którymi, jak i z nią samą, liczyć się należy.

Ponieważ w dalszym ciągu trwają występy gościnne, o których nic nowego, ani ciekawego powiedzieć się nie da, więc niech tu padnie niedyskretne słowo o jednej z audycyj nowych adeptów opery. Audycja jest rzeczą prywatną i nazwisk ujawniać nie ma się prawa. Ale głucho rzec mogę, że trzy siły śród tego licznego zastępu są prawie zupełnie gotowe: prawdziwy sopran dramatyczny, który w arjach z „Aidy" całkowicie wytrzymał próbę siły i wyszkolenia; prawdziwy, typowy, jak się rzadko spotyka, bas, i prawdziwy mezzosopran, który jako Dalila zastanowił wieloma tonami głębokiej dramatyczności. Z wszystkich trojga powinna być pociecha. Mezzosopranowi zaleca się uszlachetnienie wymowy. Nie należy wstawiać wszędzie zbędnych sylab, np. zamiast „do jego stóp", „Doi jego stóp" i t. p. Wogóle widać, że u nas umieją uczyć śpiewać, lecz nie umieją uczyć mówić. Dwie panie zaciskały zęby tak, że człowiek się bał o swą skórę. Jeden z tenorów, bardzo muzykalny i z kulturą— snadź kresowiec, nie zrozumiał jeszcze piękności mowy polskiej. Ale z niego będzie dobry i inteligentny śpiewak.

Obiecują nam ważne premjery: Ravela i Strawińskiego. W te wierzę, gdyż zapewnienie przychodzi z różnycn stron. Natomiast obiecywany od lat kilku „Zygfryd" wagnerowski będzie jeszcze prawdopodobnie trwał w okresie inkubacji sporo czasu...

C. J.

KONCERTY. Pod względem świetności programów może żaden inny sezon muzyczny nie mógłby rywalizować z tegorocznym. W Filharmonji wielkie wieczory symfonij hołdują wyraźnie twórczości najnowszej, współczesnej ze wszystkiemi jej zapędami krańcowemi. Filharmonja zrzekła się zupełnie klasycyzmu. Punktem kulminacyjnym tego wyraźnego kursu była gościna Igora Strawińskiego. Jego oba koncerty były łatwo zrozumiałą sensacją zarówno dla ciekawych i domyślających się, jak i dla rzeczywistych melomanów. Słynny kompozytor, tak wielbiony i czczony przez muzyków paryskich, dyrygował sam orkiestrą i nadał interpretacji swojego „Żar-ptaka" i fragmentów z suity baletowej „Pietruszka" („Piotruś") oślepiający wprost siłą i życiem koloryt. W swoich rzeczach jest on kapelmistrzem niewątpliwie nadzwyczaj sprężystym i bystrym, zaś jego kompozycje utwierdzić mogły słuchacza w przekonaniu, że wyższość i szczęście Rosjan polega na tem, że obok śmiałości form i kombinacyj dźwiękowych, posiadają siłę żywiołową, jakgdyby wziętą z dna a raczej bezdna duszy ludowej. Przez baśnie i fantazje ślepiące Strawińskiego przewiewa wicher ogromnego tworzywa ludowego. Koncert fortepianowy — oburzył muzyków swą dzikością i jakoby niedorzecznością. Może to jest niedorzeczność w roku Pańskim 1924, w roku zaś 1925 już nią być przestanie.

Wykonany na innym koncercie szkic symfoniczny „Pacific" A. Honeggera, jest ściśle futurystyczną apoteozą potęgi, która z potworem maszyny na przedzie przemierza całą szerokość Ameryki północnej, od morza do morza. Jest to poemat znacznie mniej muzyczny, niż dzieła Strawińskiego; autor rosyjski wytrąca przeciwnikom wspaniałemi brzmieniami i harmonjami tę broń z rąk, która się nazywa: ależ to nie muzyka. Nie można tego samego powiedzieć o Honeggerze. Ale i on tchnie na nas siłą elementarną, a pamiętam, że na wiosnę po pierwszem wogóle wykonaniu „Pacific'u" przez orkiestrę Kussewickiego — publiczność (w Operze paryskiej) domagała się w porywie — bisowania utworu.

Z temi kapitalnemi bądźcobądź pracami rywalizował kilkakrotnie Ravel; ostatnio zaś powtórzona symfonja hiszpańska znowu wypadła czarownie i zachwycająco, jako wdzięk, malowidło, nastrój, zwięzłość i brzmienie. Dyr. Fitelberg poprowadził ją arcydzielnie.

Połowiczne już tylko wrażenie zrobiła symfonja włocha Respighi'ego. Znakomicie instrumentowana, zresztą nie zaznaczyła żadnej wybitnej indywidualności ani nawet oryginalności. Słyszeliśmy ciągle, pomimo że były dobrze schowane, echa Wagnera, Czajkowskiego, Skrjabina i t. p.

Pewną niespodzianką w odwrotnym sensie była symfonja prof. Joteyki p. t. „Szkice morskie". Zmusiła do poważnego liczenia się z nią, — dzięki bogatej barwie i szerokiemu, roztoczystemu ujęciu tematów malarsko-nastrojowych.

Symfonja Mahlera, nierówna, w pierwszej części nawet nieco pospolita, co się temu zgasłemu przedwcześnie mistrzowi wiedeńskiemu, często zdarza — w dalszych była niejako uroczystym hołdem, złożonym



WIKTOR BIEGAŃSKI

wielkim duchom opiekuńczym, jak Beethoven, Brahms, Bruckner. Nie, żeby zawierała odgłosy ich tematów, — lecz że szlachetnie i dostojnie podejmowała ich styl.

Poematy całe możnaby wypisać o kwartecie Rosego, który koncertował w Konserwatorjum, i więcej jeszcze o kwintecie paryskim, który swemi akordami, siłą, niebywałym fletem i harfą stwarza rzeczy nieprawdopodobnej doskonałości i wzniosłej czystości.

Nieco o solistach. Dwóch skrzypków święciło triumfy. Najpierw sławny, a może jeszcze więcej osławiony Kubelik, dwukrotnie wypełnił wielką salę Filharmonji. Nic dziwnego; mocna to spółka: rutyna, kabotynizm i dwóch sprężystych impresarjów, którzy wiedzieli dobrze, że twarz natchnionego mędrca (na afiszu i reklamach), dzierżącego skrzypce istotnie przedziwnego dźwięku — zrobi swoje. Kubelik nie daje żadnej satysfakcji. Nawet jego słynna technika wystygła i jest mierna, a interpretacja — zwłaszcza w koncercie Beethovena — zupełnie powszednia, prawie że trywialna. Do krzyczących banalności należy też własny koncert skrzypcowy tego przekwitłego już bohatera amerykańskiej reklamy.

Potem, znacznie później, grał na skrzypcach Flesch, dziś już więcej amerykanin, niż lipszczanin. Do niedawna jeszcze wzór akademickiej czystości i obojętności stylu, dziś zdobył już poezję, pierwszorzędne piękno i pełnię tonu, oraz frazowania. Wirtuoz to dużej miary, która rośnie.

Na jednym z ostatnich koncertów taką samą zmianę czy ewolucję, czy szczęśliwy zwrot zauważyliśmy w grze prof. Melcera. Nagle wypełnił lukę, powstałą przez nieobecność zapowiedzianej śpiewaczki p. Kiuryny. Tylko artysta takiej jak Melcer wysokiej godności i tylko człowiek takiej jak on miary, zdolny był zasiąść do fortepianu przed widownią, która było rozczarowana zmianą programu. Grał koncert Chopina z blaskiem i ciepłem, które musiały zastąpić nowić.

Co do p. Kiuryny, twierdzono, że nie dopuszczono jej do występu, ponieważ miała śpiewać pieśni niemieckie — po niemiecku. Choć to nie brzmi prawdopodobnie, ale pewnie tak było. Filharmonja ulękła się. U nas wolno śpiewać i stale się śpiewa po rosyjsku, po francusku, po włosku, po angielsku, po hiszpańsku, czasem nawet po polsku, ale po niemiecku, ale—w języku arcypieśni Schuberta, Schumana, Wagnera, Brahms'a, Hugona Wolffa — nie wolno. Jest to zresztą w całkowitej zgodzie z ogólnym smorgońskim układem stosunków.

Śpiewali też: wielki, największy mistrz techniki śpiewaczej, który nawet ze złośliwością lat, bierze się nieraz (o, nie zawsze!) zwycięsko za bary — Battistini i świetny też wirtuoz, choć stylem o parę stopni niższy, tenor Smirnow.

Cez. Jel.

Kino

WIKTOR BIEGAŃSKI. Dnia 7 grudnia p. Biegański wygłosił w sali Tow. Higjenicznego wobec bardzo licznego audytorjum niezmiernie interesujący odczyt o zakulisowych sprawach ekranu. Przywabione tytułem, na odczyt przyszły wszystkie Fern Andry, Mia Mary i Pole Negri... in spe... aby dowiedzieć się o tajemnicy „kina".

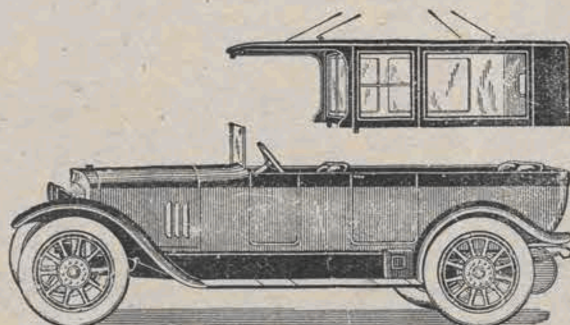
Tymczasem p. Biegański sprawił im niespodziankę nietyle przykrą, ile pożyteczną.

Odczyt zawierał bardzo ciekawe wiadomości z zakresu historji rozwoju kina, techniki scenicznej kina, pracy autora i reżysera... Rozczulające przeźrocza ukazywały bezradne maleństwo „Kino w pieluszkach"... stopniowo potworek rósł, rósł... aż urósł do rozmiarów „Dziesięcioro przykazań"... lub „Hrabiny Paryża". Odczyt bardzo ciekawy będzie powtórzony w wielu miastach prowincjonalnych.

Niewątpimy o dużem powodzeniu.

P. Biegański bardzo przysłuży się rozwojowi naszego „kiniarstwa" — studząc zapały bohaterów, a zagrzewając do owocnej i produktywnej pracy.







SPÓŁKA AKCYJNA
FABRYK
METALOWYCH

Norblin, Br. Buch i T. Werner

ROK ZAŁOŻENIA 1809

Zarząd i Fabryka w Warszawie, Żelazna 51

MAGAZYNY:
W Warszawie: Krakowskie-Przedmieście 67, Marszałkowska 127, Nalewki 29; w Łodzi: Piotrkowska 11.

PRZEDSTAWICIELE:
We Lwowie: Tow. Handlowo-Ajenturowe, Pańska 11; w Poznaniu: W. Ławicki, Ogrodowa 13.

POLECA W WIELKIM WYBORZE:
SZTUCIEC GRUBO SREBRZONY GŁADKI I STYLOWY. GALANTERJĘ: KOSZE, KOSZYCZKI, CUKIERNICE, ZASTAWY, LICHTARZE I T. P.

URZĄDZENIA DLA HOTELI: RONDLE, PÓŁMISKI, IMBRYKI, MLECZNIKI I T. P.

PRZEDMIOTY KOŚCIELNE: MONSTRANCJE, KIELICHY, DZWONKI I T. P.

NADTO WYKONYWA NA ZAMÓWIENIA:
BLACHĘ MIEDZIANĄ I MOSIĘŻNĄ. DRUT MIEDZIANY I MOSIĘŻNY. KABLOWANIE DRUTÓW MIEDZIANYCH. SZYNY I SZTANGI MIEDZIANE I MOSIĘŻNE.

Fabryka amunicji karabinowej

Magazyn Konfekcji Damskiej
Władysława Sudyk
WARSZAWA
NOWY-ŚWIAT 12

PRZYJMUJEMY ZAMÓWIENIA TERMINOWE Z POWIERZONYCH MATERJAŁÓW NA SWETRY, BIELIZNĘ, I T.P.
ROBOTA WYKWINTNA
WYKONANIE SOLIDNE I PUNKTUALNE.



HERMAN i GROSSMAN
WARSZAWA, MAZOWIECKA 16

REPREZENTACJE
Steinway & Sons
Rud. Ibrach
C. J. Quandt
Grotrian Steinweg

NAJWIĘKSZY WYBÓR


Trykotaże
Pończochy


KAWIOR ASTRACHAŃSKI
SERY WYKWINTNE, KONSERWY, RYBY, SPIRYTUALJE I ARTYKUŁY CODZIENNEGO UŻYTKU POLECAJĄ W DETALU NAJTANIEJ
Kuryluk i Bobrowski S. A.
HALE MIROWSKIE, HOTEL POLONJA I KREDYTOWA 16.





WYTWÓRNIA
WYKWINTNEJ POŚCIELI **Wł. Wrotnowski**

Rok założenia 1837. — WARSZAWA, PLAC SASKI Nr. 1. — *Rok założenia 1837*

APEL DO PIĘKNYCH PAŃ

NIE KUPUJCIE NIGDZIE
PERFUM i KOSMETYKÓW
NIE PRZEKONAWSZY SIĘ O CENACH i WYBORZE TOWARÓW w FIRMIE

„POLONIA"
DROGERJA i PERFUMERJA
NIECAŁA 3 TEL. 118-39.

LEKARZE SPECJALIŚCI

zalecają do pielęgnowania ciałka dziecięcego

Puder i Mydło Bébé

Szofmana,

PUDER LECZY WSZELKIE DOLEGLIWOŚCI SKÓRNE, ZAŚ MYDŁO ZAPOBIEGA TAKOWYM.

OKAZYNJA

Wyprzedaż Gwiazdkowa!

PALTA ZIMOWE WEBROWE	OD	50 ZŁ
PALTA CIEPŁE ZAMSZOWE	OD	100 ZŁ
SUKNIE WEŁNIANE . . : .	OD	25 ZŁ
SUKNIE GABARD. STROJNE .	OD	40 ZŁ
BLUZKI I DŻEMPRY	OD	7 ZŁ

BR. UNKIEWICZ

Filja: KRUCZA 30. Tel. 121-71. Centr.: HOŻA 54.

ZAMIAST TRANU

dla dzieci oraz osób wątłych i anemicznych poleca się znany od lat wielu

JECOROL

Magistra A. Bukowskiego

APTEKA: MARSZAŁKOWSKA 54. TEL. 13-19.

SPRZEDAŻ W APTEKACH I SKŁADACH APTECZNYCH.

Wystrzegać się naśladownictwa!